

Aleksandra Szatek

Odwrócony Mag



novaeres
WYDAWNICTWO INNOWACYJNE

Szałek Aleksandra

Odwrócony Mag

Rozdział pierwszy

Długo nie mogłam zasnąć, ale pierwsze promienie słońca zadziały na mnie jak budzik. Spojrzałam na zegarek. Wskazówki drgały ledwie w granicach siódmej. Powinnam się wyspać. Ten dzień miał być na swój sposób wyjątkowy.

Mieszkałam z rodzicami i młodszą siostrą w małej miejscowości na północy Stanów Zjednoczonych. Wszyscy się tu bardzo dobrze znali, więc lokalne nowinki rozchodziły się jak świeże bułeczki. Pierwsza o wszystkim zawsze wiedziała pani Stella, kioskarka. Mieszkańcy zaopatrywali się u niej w codzienną prasę. Wraz z wiadomościami ze świata i z kraju otrzymywali dodatkowo kilka miejscowych plotek, ewentualnie komentarzy i pytań z ust ciekawskiej sprzedawczyni.

- O, ja to słyszałam, że ty, moja panno, dzisiaj się wybierasz do wielkiego miasta. I po co, żeby wywijać na parkiecie? Żeby to chociaż prawdziwe studia były, a nie jakieś tam wygibasy - usłyszałam zza stosu gazet.

Kioskarka była otyłą kobietą, z lekko obwisłą brodą, która zlewała się nieco z szyją. Broda drżała jej gwałtownie, gdy mówiła, nachylając się do klienta.

- Tak, to prawda, dzisiaj wyjeżdżam. Dziękuję, pani Stello, za gazetę i proszę, tu są pieniądze, już wyliczone - dodałam, chcąc jak najszybciej uniknąć dalszego indagowania.

Pani Stella, mówiąc o wygibasach na parkiecie, miała na myśli balet. Wielkie miasto to Nowy Jork, w którym znajduje się najślynniejsza szkoła baletowa w Stanach, i który dzisiaj miał być celem mojej podróży. Tańczę od dziecka. Sztukę pokochałam dzięki rodzicom. Mama jest pianistką, a ojciec malarzem. Dorastając pod okiem artystów nic dziwnego, że *Jeziro Łabędzie* obejrzałam w wieku ośmiu lat. Nie miałam pojęcia, jaką historię opowiada ten spektakl, ale zakochałam się w ruchach, które wykonywały tancerki. Od tamtej pory wiedziałam, co chcę w życiu robić. Oczywiście w mieście, w którym się wychowywałam nie ma żadnej szkoły tańca. Rodzice wozili mnie codziennie na lekcję do Holabird, sąsiedniego, dużo większego miasta. Nie pamiętam, żebym opuściła chociaż jedno zajęcia. Rodzice wiele dla mnie zrobili, szczególnie ojciec, który sprzedał wszystkie swoje obrazy, abym mogła opłacić studia.

Tego dnia pogoda była piękna. Od rana świeciło słońce, które wywabiło na ulice wszystkie okoliczne dzieciaki. Szłam szybko z gazetą do domu, sama nie wiedząc czemu się tak spieszę. Chyba stres mnie popędzał. Kontrastowałam z całym otoczeniem, które jak zwykle poruszało się w tempie ślimaka. Mijałam spacerujące mamy ze swoimi pociechami w wózkach

i staruszkę, która zawsze o tej porze szła do kościoła. Był to na swój sposób miły widok, którego na pewno będzie mi brakowało. Oprócz odgłosów dziecięcych rowerków z jednej strony, a z drugiej biegających szkrabów na placu zabaw, nic nie mąciło ciszy. Samochód przejeżdżał tędy tylko wtedy, kiedy ktoś z mieszkańców postanowił opuścić na weekend miasto lub gdy pracował parę kilometrów dalej.

Zbliżała się godzina mojego odjazdu.

- Kochanie, dzwoń do nas codziennie! Nie przemęczaj się, a gdy będziesz miała jakikolwiek problem, wiedz, że masz nas - powiedziała matka na pożegnanie.

Powtarzała, że mnie bezgranicznie kocha za każdym razem, gdy dokądkolwiek wyjeżdżałam. Nawet na wycieczkę szkolną. Zegnała mnie zawsze w ten sam sposób. Ja z plecakiem stałam przed autobusem szkolnym, gdy inni uczniowie spoglądali w okna, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie ruszymy. Kierowca niecierpliwie wychylał się, sprawdzając, czy może już zamknąć drzwi, a matka robiła w danej chwili to, co uważała za najważniejsze. Obcałowywała mnie, życzyła miłego pobytu, a w ostatniej chwili wrzucała kanapki i saszetkę z pieniędzmi do mojego plecaka. Trudno było mi opuszczać taki dom, w którym traktowano mnie, jakbym była kimś wyjątkowym.

Teraz byłam już dużą dziewczynką, ale gdy zobaczyłam podjeżdżający autobus, który miał mnie zawieźć

na lotnisko, wiedziałam, że ostatnie chwile z rodzicami będą wyglądały tak samo jak wtedy, gdy byłam dzieckiem. Ojciec pożegnał się ze mną w mniej spektakularny sposób, ale z taką samą czułością jak matka. Nie mówił zbyt wiele, ale wiedziałam, że ciężko znosi mój wyjazd. W końcu jego starsza córka osiągnęła wiek, w którym zaczyna się samodzielne życie. Na do widzenia przesłałam im dłonią buziaka, pomachałam i zapewniłam, że przyjadę na Boże Narodzenie.

W autobusie zajęłam miejsce przy oknie, jak zawsze, gdy nadarzała się taka możliwość. Mogłam wtedy, gapiąc się na drzewa i ptaki, snuć marzenia. Tym razem myślałam o pierwszym roku, który miałam spędzić na nowej uczelni. Po paru minutach spoglądania w przestrzeń zaczęło mnie kłuć ze strachu w brzuchu. Nigdy nie wyjeżdżałam sama w nieznane, gdzie ludzie mogli okazać się mniej przyjemni niż to sobie wyobrażałam. Stresowałam się zresztą zawsze, gdy nie wiedziałam, co mnie czeka.

Podróż minęła bardzo szybko. Zanim się zorientowałam samolot wylądował już na miejscu.

- Proszę pani, to chyba pani bagaż, wszyscy pasażerowie już swoje zabrali - powiedziała jakaś kobieta, najpewniej z obsługi, kiedy weszłam do hali przylotów.

- Tak, tak, przepraszam, zamyśliłam się.

- Pani pierwszy raz przyjechała do Nowego Jorku? Skinęłam twierdząco głową i zaczęłam się zastanawiać skąd o tym wiedziała. No jasne, to oczywiste,

wyglądałam pewnie na przerażoną. Czułam, że mam wilgotne dłonie, które o siebie nerwowo pocierałam. Nie sposób więc się nie domyślić, że czułam się mało komfortowo.

Przed złapaniem taksówki, która zawiozłaby mnie do akademika, weszłam do toalety. W lustrze zobaczyłam swoje odbicie. Miałam potargane włosy, a na twarzy widać było zmęczenie. Z torebki wyjęłam grzebień i próbowałam przywrócić włosom ład. Było to trudne, gdyż nic się gorzej nie rozczesuje, jak splątane loki. Choć je lubiłam, to bywały uciążliwe, szczególnie w takich momentach. Zazwyczaj nie przejmowałam się swoją fryzurą, ale dziś było inaczej. Chciałam dobrze wyglądać. Zrobienie dobrego wrażenia na początku mojego tutaj pobytu uważałam za najważniejsze.

W hali przylotów były tłumy ludzi. Hałas był tak potężny, że ledwie słyszałam własne myśli. Od razu przypomniał mi się dzisiejszy ranek i błogi spokój. Uważałam wówczas, że dzieci na rowerze zakłócały ciszę, ale teraz się zorientowałam, że nie wiedziałam czym jest gwar i chaos. Nieustannie słyszałam głos informujący pasażerów o godzinach przylotów i odlotów samolotów. Przy wszystkich stanowiskach stały kolejki ludzi, czekających na odprawę.

Taksówki stały w długich szeregach przy wszystkich wyjściach. Potarłam czoło i ruszyłam przed siebie. Przecież w końcu znalazłam się w Nowym Jorku, o którym zawsze marzyłam. Podeszłam do najbliższej

taksówki. Kierowcą był ciemnoskóry czterdziestolatek z mocno oszpeconą przez dawne poparzenia twarzą. Wzięłam głęboki oddech i poprosiłam z najbardziej obojętną miną, na jaką tylko potrafiłam się zdobyć, o kurs do akademika. Siedziałam milcząca na tylnym siedzeniu, bojąc się zerknąć w lusterko, w którym mogłabym zobaczyć jego potworną twarz.

Akademik znajdował się obok uczelni. Bliźniacze budynki wyglądały, jakby były połączone w jeden wielki gmach. Otaczający je teren był bardzo rozległy. Dookoła snuli się lub siedzieli grupkami na równiutko skoszonej zielonej trawie studenci. Śmiali się i rozmawiali.

Szłam przez campus z wielką, szurającą o asfalt walizką. Hałas wywołał ogólne poruszenie, nic więc dziwnego, że w moją stronę odwróciło się mnóstwo twarzy. Zaczęłam wyklinać w duchu, że nie sprawiłam sobie porządniejszego bagażu. Wstydziałam się, że zwracam na siebie uwagę. Pomyślałam, że jednak nie zrobiłam dobrego wrażenia. Wszyscy zapamiętają mnie jako potarganą pannę ze średniowieczną walizką.

Oddaliłam się od grupek studentów, pochylając nisko głowę. Weszłam do recepcji.

- Julie Ellis - wymamrotałam.

- A tak, czekaliśmy na panią. Na liście nowych studentów nie zostało przekreślone tylko pani nazwisko, a to znaczy, że dotarła pani tutaj jako ostatnia - powiedziała oschle recepcjonistka, już na wstępie wzbudzając moją w stosunku do siebie niechęć.

Przecież nie wszyscy mieszkali blisko uczelni. Ja mieszkałam daleko stąd i musiałam długo podróżować autobusem, a następnie samolotem. I na koniec jeszcze przebić się przez tłum gapiów z bagażem większym ode mnie. Poza tym termin rejestracji upływał

O dwudziestej, a w tej chwili brakowało jeszcze kilka minut do osiemnastej. Oczywiście nie wypowiedziałam tego, co pomyślałam na głos. Nie chciałam od razu podpaść. Prawdę mówiąc, nie potrafiłabym wydusić z siebie słowa, nie miałam odwagi nawet się tłumaczyć.

- Chodź za mną. Tu masz klucz do pokoju. Zamieszkaś z Alice Clarke. To córka pana Victora Clarkea. Wiesz, mam nadzieję, o kim mówię?

- Wiem, oczywiście - odpowiedziałam. Wzięłam klucz i się modliłam, żeby Alice nie było

w pokoju. Chciałam chwilę mieć tylko dla siebie. Marzyłam o kąpieli i wyjęciu swoich wygniecionych ubrań z walizki. Poza tym niepokoiła mnie jeszcze jedna rzecz. Wyobrażałam sobie, że córka Victora Clarkea musi być z natury nieprzyjemna. Pomyślałam, że mam pecha. Będę dzielić pokój z najprawdopodobniej najbardziej marudną

i wyniosłą dziewczyną na tej uczelni. Uważałam bowiem, że charakterem będzie przypominała swojego ojca.

Pamiętałam, jak pierwszy raz się z nim osobiście zetknęłam. To było rok temu, kiedy starałam się o możliwość odbycia kursu tańca w Los Angeles. Przyjmowano tam tylko dwadzieścia uczennic. Zostało wolne jedno miejsce, o które starałam się ja i jeszcze jedna dziewczy-

na. Trzeba było wyjść na scenę i zaprezentować przygotowany przez siebie układ. Przewodniczącym jury był pan Victor Clarke, legenda baletu. Nie ma tancerza, który nie wiedziałby kim jest ten człowiek. Osiągnął w tańcu wszystko, co było możliwe. Gdy tańczył, nie można było od niego oderwać oczu. Był profesjonalistą i tego wymagał od innych.

Trzy minuty przed wyjściem na scenę moje blond loki wysunęły się ze spinek, podtrzymujących upięty uprzednio kok. Na początku kilka zdenerwowanych fryzjerek próbowało upiąć moje włosy na nowo, ale im się to nie udawało. Zabrakło paru minut, abym mogła doprowadzić się do ładu. Weszłam więc na scenę z rozpuszczonymi włosami, na dodatek lekko spóźniona. Gdy pan Clarke mnie zobaczył, od razu wskazał palcem drzwi.

- Proszę wyjść, panno Ellis, nie ma tu miejsca dla spóźnialskich - powiedział stanowczo.

Wiedziałam, że to koniec. Nawet gdybym zatańczyła wtedy najlepiej, jak potrafiłam, nie przeszedłabym, bo on już podjął decyzję i zapewne by jej nie zmienił. Był to najbardziej uparty i najmniej ludzki człowiek, z jakim miałam do czynienia. Popłakałam się z wściekłości. Przez głupią fryzurę straciłam taką szansę! A ja ćwiczyłam ten układ tyle miesięcy!

Zgodnie z moim życzeniem nie zastałam Alice w pokoju. Ale jego wygląd mnie zaskoczył. Podobno baletnice, tak w tańcu, jak i w życiu trzymają rygor. Dbają

O szczegóły, są dokładne i zdyscyplinowane. Dlatego doznałam szoku, gdy zobaczyłam okropny bałagan i to zrobiony w ciągu najwyżej dwóch dni! Wszędzie leżały ciuchy, na niepościelonym łóżku, na krześle, a nawet na podłodze. Nierozpakowana torba była otwarta i ukazywała całą garderobę. Trampki, jeansy, luźne bluzki i kolorowe czapki zaścielały cały pokój.

Sama nie należałam do osób, które przywiązują nadmierną wagę do porządku, więc się ucieszyłam, że nie będzie z tym problemu. Zdażyłam wziąć prysznic i zaczęłam rozpakowywać torbę, kiedy z korytarza dobiegły mnie dźwięki głośno puszczanej muzyki. Słyszałam śmiechy i głosy różnych osób. Pomyślałam, że chciałabym ich poznać i móc spędzać razem z nimi czas.

Nagle ktoś szarpnął za klamkę i wpadł z impetem do pokoju. To była Alice. Nie zauważyła mnie, bo stała w otwartych drzwiach odwrócona do mnie plecami i kończyła przekomarzanie się z jakimś chłopakiem.

- Przegrałeś! Dlatego jutro, nawet jak zadzwonię o czwartej nad ranem, masz odebrać, zebrać swoje cztery litery i przyjechać po mnie, aby grzecznie zabrać mnie z imprezy i odstawić do akademika. I pamiętaj, masz przy tym nie marudzić! To ma być dla ciebie zaszczyt, że mogłeś coś dla mnie zrobić, coś, o co inni mogliby się pozabijać! - mówiła głośno. Zaśmiała się i pokazała język stojącemu za drzwiami chłopakowi.

- A teraz wybaczone, ale moje oczy muszą odpocząć od twojego widoku!

Tymi słowami moja współlokatorka pożegnała kolegę i zamknęła mu drzwi przed samym nosem.

- O, cześć! - krzyknęła, gdy odwróciła się w moją stronę. - Nie zauważyłam ciebie. Ty musisz być Julie! Jestem Alice. Miło mi cię poznać! - Rozchichotana, podała mi rękę.

Robiła wrażenie wesołej osoby. W końcu ktoś całkowicie różniący się ode mnie!

- I co, jak ci się podoba nasz pokój? Ekstra, nie?! Dziwię się, że jeszcze szcurów nie ma pod łózkami! Zobacz, gdy będziemy słodko spały tynk z sufitów może spaść nam na głowy! - mówiła, wskazując palcem ku górze.

- Rzeczywiście nie najlepiej to wygląda. Ale nie wyobrażałam sobie luksusowi nie należę do osób narzekających. Mnie wszędzie jest dobrze, ale akurat szcurów się boję, więc Jępiej, żebym na żadnego nie trafiła - odpowiedziałam.

Nie za bardzo wiedziałam, co mam mówić, więc nawiązałam do wypowiedzi Alice. Mam problemy z nawiązywaniem nowych znajomości, a gdy natykam się na kogoś, kto mógłby godzinami gadać na każdy temat, to czuję się jeszcze bardziej onieśmielona.

Alice odznaczała się wyjątkową urodą. Była średniego wzrostu. Miała długie, czarne, proste, sięgające jej do połowy pleców włosy, i duże zielone oczy. Była, jak na tancerkę przystało, bardzo smukła.

- Zwróciłaś uwagę na tego gościa, który stał za drzwiami? To najprzystojniejszy facet jakiego znam.

Lekko w sobie zadufany, twierdzi, że każda na niego leci. Nie wiem czemu mnie akurat o tym powiedział, może chciał wzbudzić we mnie zazdrość? Trochę mu się to, nie powiem, udało. Zresztą, zobaczymy, mam w końcu cały rok, może uda mi się go poderwać. On tylko mieszka w naszym akademiku, a studiuje dziennikarstwo na uczelni przy moście Waszyngtona. Nareszcie nie tancerz, faceci baletmistrze są wyjątkowo asekualni, nie? - oznajmiła z uśmiechem Alice.

- Chyba masz rację - odparłam niepewnie. Nie wiedziałam, jak mam zareagować na jej pytanie. Nie byłam osobą, która potrafiłaby coś konkretnego powiedzieć o chłopakach.

- Na dziś jest zapowiedziana impreza integracyjna. Masz ochotę na nią pójść? - zapytała Alice.

- Gdzie się ona odbędzie? - zapytałam szczerze zainteresowana pójściem. W końcu tam, skąd przyjechałam odbywały się co najwyżej niedzielne festyny, a największą atrakcją był przyjazd cyrku i wesołego miasteczka.

- W klubie o nazwie... czekaj, bo zapomniałam, Angels&Demons - oznajmiła lekko się krzywiąc.

- Ciekawa nazwa! Jasne, z chęcią pójde - odpowiedziałam.

Wstyd mi było przyznać się przed Alice, że pierwszy raz będę w klubie. Po prostu nie było mowy o takim lokalu w mojej śmiesznej, małej miejscinie. Jedynie w tak zwanym centrum ktoś kiedyś otworzył Cafe Bar, ale to też nie przetrwało. Nie było chętnych, aby tam

przychodzić. Mieliśmy tylko budki z lodami, na które mieszkańcy miasteczka przychodzili w weekendy.

Był wieczór i przygotowywałam się do wyjścia na imprezę.

- Żartujesz, że pójdziesz tak ubrana?! - Usłyszałam nagle głos przerażonej moim wyglądem Alice.

Czułam, że się czerwienię.

- A czemu nie? - wycedziłam.

- Bo takie koszule nosiło się w latach osiemdziesiątych tamtego stulecia! A co to za rajstopy? Nie za grube? - mówiła Alice, ledwie powstrzymując wybuch śmiechu.

Spojrzałam w lustro. Wyglądałam rzeczywiście koszmarnie. Jak uczennica szkoły zakonnej. Nie miałam odpowiednich ubrań na tę imprezę.

- Masz, załóż tę bluzkę i spodnie, powinny być na ciebie dobre. Jutro pójdziemy na zakupy, żeby uzupełnić twoją garderobę - powiedziała z uśmiechem Alice, najwidoczniej zauważając moje zakłopotanie.

Pożyczanie ubrań od koleżanek było dla mnie czymś nowym. Trochę się krępowałam, ale gdy siebie w nich zobaczyłam, to nie mogłam jej odmówić, a raczej sobie, skorzystania z okazji. Czułam się bosko!

Alice wyszła z łazienki zrobiona na bóstwo. Na jej widok od razu przestałam się ociagać z poprawą własnego wyglądu i zabrałam się do robienia makijażu.

- Julie, może rozpuścisz włosy? Zwijasz je w kok, a masz takie piękne loki.

- Masz rację, dziś i ja zamierzam zadbać o siebie bardziej niż zwykle - powiedziałam z entuzjazmem. Czasem czyjś idealny wygląd potrafi zachęcić do poprawy własnego. - Zrobisz mi makijaż? - zapytałam.

- Oczywiście, już nawet wiem, jakiego koloru cienia użyję.

Alice widocznie lubiła się malować. Jej kosmetyki dosłownie nie mieściły się w szufladzie. Dziś mogła poćwiczyć na mnie. Po chwili obie siedziałyśmy na moim łóżku i Alice zabrała się do dzieła. Dzisiaj była moją osobistą wizażystką.

- Spójrz! Wyglądasz jak anioł - powiedziała, podając mi lusterko.

Popatrzyłam na siebie. Nie mogłam uwierzyć, że to ja. Moje włosy sięgały do pasa. Nie zdążyłam zauważyć, że już tak urosły. Oczy, dzięki przydymionemu makijażowi stały się wyraziste i bardziej niebieskie niż zwykle. Uroku dodawały mi długie kolczyki w uszach. Musiałam przyznać, że wyglądałam pięknie.

Dochodziła godzina dwudziesta pierwsza. Na korytarzach zrobiło się głośno. Non stop ktoś otwierał i zamykał drzwi. Przed akademikiem stały grupki studentów. Wszyscy obrali ten sam cel: klub Angels&Demons. Pamiętam, jak tam dotarłyśmy. Alice podawała mi kieliszki z wódką i zapoznawała ze swoimi znajomymi. Ich imiona wlatywały mi jednym uchem, drugim wylatywały. Później wysączyłam jeszcze jakiegoś drinka.

Panował ciągły hałas. Muzyka brzęczała mi w głowie jeszcze następnego dnia. Trudno powiedzieć, czy mi się podobało. Na pewno taka noc była pierwszą w moim życiu. Najdziwniejsze było to, że nie wiem, jak dotarłam z powrotem do akademika.

Obudziłam się jak zwykle wcześnie rano, z niesamowitym bólem głowy. Z reguły zrywałam się szybko z łóżka, ale dziś miałam z tym problem. Spojrzałam na moją współlokatorkę. Alice jeszcze spała, nadal ubrana w króciutką spódniczkę, spod której było widać koronkową bieliznę. Do takiego widoku też nie byłam przyzwyczajona. Zaczęłam się zastanawiać, czy będziemy w stanie zwlec się z łóżek i pójść na uczelnię.

- Alice, wstajesz? Współczesny rozpoczyna się za pół godziny
«- szeptałam, szturchając ją lekko w plecy. -Obudź się.

- Która godzina? - odezwała się, nie otwierając oczu.

- Siódma trzydzieści.

- Z kim mamy pierwsze zajęcia? - spytała, na wpół jeszcze śpiąc.

- Z twoim ojcem - odpowiedziałam zdziwiona. Byłam pewna, że spojrzała wcześniej na plan zajęć.

- Żartujesz! ? - krzyknęła przerażona. - Jak się spóźnię nawet trzy minuty to mnie zabije! Kurwa, podaj kosmetyczkę! Dzięki, że mnie obudziłaś, byłoby już pomnie!

Alice poderwała się nagle z łóżka, jakby ją prześcieradło poparzyło. Poczekalam aż doprowadzi się do ładu. Zmyła wczorajszy makijaż i wyszczotkowała zęby. Używając gumek i kilku spinek uczesała się w kok. Założyła luźną, czerwoną bluzę z napisem „Nike” i wciągnęła jeansy. Wszystko zajęło jej najwyżej

dziesięć minut! Wyglądała naprawdę świetnie. Nagle odwróciła się do mnie i śmiejąc się powiedziała:

- Ty to jednak jesteś cicha woda!

- Alice, jeśli mam być szczerą, to jeśli chodzi o wczorajszą wieczór, mam pustkę w głowie. Nie pamiętam nic - odpowiedziałam z niemałymi wyrzutami sumienia.

- No, nic dziwnego, sporo wypiliśmy! Ty ponadto popijałaś przy barze i to cię tak zmogło.

- Przy barze? Z kim?

- Z moimi znajomymi. Każde z nich witało cię z kieliszkiem w ręku.

- Mam nadzieję, że nie narobiłam głupot - powiedziałam.

Alice spojrzała na mnie z zagadkowym uśmiechem, ale nic nie powiedziała.

Zgodnie z planem zajęcia z tańca współczesnego miały zacząć się o ósmej. Bardzo się denerwowałam, bo prowadzącym był Victor Clarke. Widząc poranną panikę Alice doszłam do wniosku, że nie tylko ja odczuwam stres przed tymi zajęciami.

W szatni, zanim się pojawiłyśmy, panowała wesoła atmosfera. Uśmiechnięte dziewczyny zapoznawały się ze

sobą. Dopiero nasze wejście, a właściwie Alice, wywołało nagłą ciszę. Dziewczyny zaczęły się jej ukradkiem przyglądać, po czym zerkały na siebie porozumiewawczo, że to właśnie córka Victora Clarkea. Alice udawała, że tego nie widzi, ale ja zauważyłam, że posmutniała.

Wszystkie dziewczyny przebierały się w milczeniu. Wyglądały podobnie. Były szczuplutkie i świetnie ubrane - trochę na luzie, trochę uwodzicielko i seksownie. Każda założyła krótkie getry, które odsłaniały zgrabne nogi, i stylową koszulkę, która miała opadający swobodnie na ramię, odrobinę nonszalancko dekolt. Tylko ja miałam na sobie długie legginsy i powyciąganą starą koszulkę z ogromnymi słonecznikami z przodu.

Punktualnie o ósmej Victor Clarke otworzył salę. Wszystkie dziewczyny, które do tej pory stały w grupkach, weszły do środka i w pośpiechu zajmowały miejsca na parkiecie. Clarke, stojąc w progu, odprowadzał każdą wzrokiem. Jego twarz nie wyrażała żadnych innych emocji, poza pogardą. Są ludzie, którzy samą swoją miną i postawą wzbudzają lęk. Victor Clarke należał właśnie do takich osób. Poza tym jego blada cera i czarne przenikliwe oczy powodowały, że wszyscy się go bali. Człowiek truchlał, gdy tylko Clarke na niego spojrzał. Każdy się bał, że w każdej chwili może być za byle co wyrzucony z zajęć. Mimo to większość z nas marzyła od dzieciństwa, aby móc tu się znaleźć.

- Proszę ustawić się w szachownicę, tak abym każdą z was widział, jak spojrzę w lustro - powiedział oschle.

Dziewczęta zaczęły na bosych palcach przesuwając się o kilka centymetrów, aby zająć idealną pozycję, o jaką prosił pan Clarke. Od początku były ustawione właściwie, co nie zmienia faktu, że zaczęły stapać niemal w miejscu, aby tylko było wiadomo, że się poruszyły i spełniły jego polecenie.

Clarke włączył spokojną muzykę. Sam stanął przy lustrach na środku, w dość dużym odstępnie od nas. Rozpoczęła się najpierw rozgrzewka. Standardowe rozciąganie, następnie krążenie głową, wymachy ramion i tak po kolei aż do stóp.

Nagle niespodziewanie Clarke krzyknął:

- Czy wy sobie żarty ze mnie stroicie?! Panno Ellis, czy panią wie, że jest na sali ćwiczeń, a nie w kinie z koleżankami? Lewą nogę proszę podnieść tak wysoko, jakby pani chciała sięgnąć do sufitu. Jeszcze wyżej!

Patrzył na mnie i czekał aż idealnie wykonam ćwiczenie. Podszedł do mnie z wypisaną irytacją na twarzy, niedelikatnie chwycił moją nogę i mocno pociągnął, aż palce stóp rzeczywiście wskazywały sufit. Skrzywiłam się z bólu.

- Ma boleć! Ciało nie może być waszą przeszkodą, nie może stawiać oporu! Te z was, które jeszcze o tym nie wiedzą, powinny się zastanowić, co tu właściwie robią! Alice, podejdź tu, proszę. Czy mnie się wydaje, czy ty cuchniesz alkoholem?!

Wszystkie dziewczyny stanęły jak wryte. Były pewne, że córka będzie jego faworytką. Nie spodziewały się

takiego zachowania ze strony pana Clarkea. Zaczęły szeptać między sobą, że gdyby miały takiego ojca, to na pewno tańczyłyby lepiej i korzystały z jego wiedzy, ile tylko by się dało.

Alice spuściła głowę i zaczęła tłumaczyć się ojcu, że wczoraj był ostatni dzień wakacji i nie mogła odmówić znajomym wyjścia do klubu.

- W takim razie wybacz, ale ja nie mogę sobie odmówić okazji do natychmiastowego wyproszenia cię z sali - powiedział z grobową powagą i wskazał palcem drzwi.

Reszta zajęć upłynęła spokojnie. Pan Clarke nikogo już nie wyprosił za drzwi. Najpierw ćwiczyliśmy indywidualnie choreografię, a później każde z nas musiało na środku sali ją zaprezentować. Oczywiście uwag było co nie miara, ale i tak cieszyliśmy się, że jakoś te zajęcia przetrwaliśmy. W końcu zegar wskazał godzinę dziesiątą, co oznaczało koniec ćwiczeń. Wykończone i spragnione wody skierowałyśmy się do szatni.

Weszłam tam jako pierwsza i zobaczyłam siedzącą przy swojej szafce Alice. Twarz miała schowaną w dłoniach i płakała. Podbiegłam szybko do niej, chcąc ją pocieszyć. Po drodze się zorientowałam, że dziewczyny patrzą na nią z cynicznymi uśmiechami i z wyraźnym niesmakiem.

- O co wam chodzi, co się tak gapicie?! - krzyknęłam, a rzadko mi się zdarza podnosić głos.

Jedna z dziewczyn, wysoka i chuda Judith podeszła do nas, zarzuciła ręcznik na szyję i jako jedyna odpowiedziała na moje pytanie.

- Nie dostałyśmy się tutaj tylko i wyłącznie dlatego, że naszym tatusiem jest Victor Clarke, ale dlatego, że ciężko pracowałyśmy. Poza tym doceniamy to, że możemy szkolić się pod jego okiem i wykorzystujemy każdą minutę, aby być na tej sali razem z nim. Nikt nie działa mi tak na nerwy, jak córeczka sławnego tatusia, która nie jest w stanie docenić faktu, że dostała się tu mimo tego że prawdopodobnie nie ma ani talentu, ani odpowiednich umiejętności. I że zabrała miejsce innym chętnym do nauki kandydatom i ma po prostu wszystko w głębokim poważaniu. Dezorganizuje zajęcia, bawi się nocami w najlepsze i ma stuprocentową pewność, że semestr zaliczy bez mrugnięcia okiem. O to nam właśnie chodzi!

Kilka dziewczyn weszło pod prysznic, udając, że nie słyszą tej rozmowy. Trudno było więc stwierdzić, czy zgadzają się z opinią Judith. Pięć innych tancerek przysłuchiwało się wypowiedzi koleżanki i zdecydowanie się z nią zgadzały. Judith triumfowała, a ja ze współczuciem pochyliłam się nad Alice, chcąc dodać jej otuchy. Masowałam jej plecy i zapewniałam, że wszystko będzie dobrze, i że nie ma sensu przejmować się ich gadaniem. Od razu poprawił jej się humor.

Gdy wszystkie dziewczyny były pod prysznicami, mogłam chwilę porozmawiać z Alice.

- To nieprawda, że dostałam się tu, bo mam sławnego tatusia. Ojciec w stosunku do mnie zawsze był bardzo wymagający. Kazał mi spędzać po kilka godzin na sali dziennie. To były naprawdę mordercze treningi. W końcu taniec przestał być moją pasją, a stał się mordęgą. Gdzieś zatraciła się granica między zwykłymi zajęciami a prawdziwymi katuszami. Często brakło mi sił, a raz nawet wyładowałam w szpitalu z wycieńczenia. Ojciec patrzył na mnie wtedy z jeszcze większą pogardą niż dziś. Jestem tu, bo mi tak kazał. Powiedział, że nie opłaci mi innych studiów, że za dużo czasu mi poświęcił, żebym teraz rzuciła taniec. To nie są moje ambicje, tylko jego. - Szłochała, a łzy ściekały jej po policzkach. - Wiesz, najdziwniejsze jest to, że się go boję. Nigdy nie miałam z nim dobrego kontaktu. Nie traktował mnie jak ojciec córkę, tylko jak surowy trener nieutalentowaną uczennicę. Poza tym boję się jego humorów, ale podświadomie nie chcę go zawieść - mówiła.

Usłyszawszy jej słowa zaczęłam bardziej doceniać swoje relacje z rodzicami, bo nie musiałam im niczego udowadniać. Kochali mnie taką, jaką byłam.

Życie w akademiku toczyło się jak dawniej. Napotykałam na swojej drodze różnych ludzi. Dowcipnych, poważnych, głośnych, stonowanych... wszyscy jednak mieli jedną wspólną cechę. Uważali, że o ich życiu nigdy nie decydował przypadek.

Pogoda była coraz gorsza. Deszcz bębnił o szyby. Jesienne, brunatne liście unoszone przez wiatr wirowały długo w powietrzu, zanim opadły na chodniki, parapety i dachy. Szłam z parasolem w ręce na uczelnię, kiedy zobaczyłam, że po drugiej stronie jednej z najbardziej ruchliwych ulic stoi pies i ma wyraźną ochotę przejść przez jezdnię z tylko dla niego wiadomych powodów. Był to piękny, brązowy golden retriever. Najprawdopodobniej miał swojego właściciela, bo na jego szyi widziałam obrozę. Pomijając błoto, które oblepiało jego łapy, wyglądał na zadbanego. Jako że nie był to bezpański pies i zapewne zawsze był uprzednio prowadzany na smyczy, nie miał w zwyczaju rozglądać się zanim postanowi ruszyć przed siebie.

Wiedziałam, co się zaraz stanie. Pogoda była koszmarna. Deszcz i mgła ograniczała widoczność kierowcom, a mokry asfalt wydłużał drogę hamowania. Wycieraczki we wszystkich samochodach ledwie nadały się przecierać szyby. Pies znalazł się przed samą maską czerwonego opla. Ogarnęły mnie strach i panika, która trwała niecałą sekundę. Nagle nastąpiło uderzenie. Pies przeturlał się na drugą stronę ulicy i z niesamowitym skomleniem bezwładnie wpadł do pobliskiego rowu. Z jego głowy płynęła czarna krew. Samochód z piskiem opon zatrzymał się przy krawężniku, blokując uliczny ruch.

Natychmiast podbiegłam do zwierzęcia i położyłam jego zakrwawioną głowę na swoich kolanach. Patrzył na mnie, a ja czułam, jak wycieka z niego życie.

Położyłam dłoń na jego głowie i obserwowałam, jak powoli znikają jego obrażenia. Jak z powrotem zaczyna tlić się w nim życie, jak nabiera sił. Jego łapy zaczęły drgać, a wokół całego ciała pojawiła się jasna poświata. Wszystko to trwało minutę, tak że kierowca czerwonego opla nie zdążył wygramolić się z samochodu, gdy pies był już zdrów jak ryba.

Kierowcą samochodu był otyły, czterdziestoletni mężczyzna. Podszedł do nas. Zdziwiło mnie, że idzie z tak wściekłą miną.

- Ty kundlu, nic ci nie jest?! - krzyknął zdenerwowany.

Siedziałam tuż obok psa, ale kierowca jakby mnie nie widział, zupełnie mnie zignorował. Nawet nie spojrzał na mnie przez ułamek sekundy, jakbym była powietrzem ...

- Nie - odpowiedziałam zdezorientowana. Facet nadal nie patrzył w moją stronę, jakby mnie nie usłyszał, jakbym mówiła do ściany. Osłupiałam ze zdziwienia.

Mężczyzna wrócił do swojego auta, obejrzał zderzak, po czym wsiadł do samochodu, odpalił silnik i kręcąc wciąż głową, odjechał.

Stałam z bijącym mocno sercem, oparta o drzewo. Wszystko widziałam jak przez mgłę, to działo się tak szybko i było takie dziwne!

Popędziłam na zajęcia. Czas nie stanął w miejscu, wskazówki przesuwały się z taką samą częstotliwością jak przedtem. Przy wejściu na uczelnię spotkałam Alice.

- Oskar zaprosił mnie dziś na koncert. Zabiera ze sobą kumpli. Pomyślałam, że może pójdziesz z nami?

- Dobrze - odpowiedziałam, choć dopiero później dotarło do mnie o czym mówiła Alice. Nadal oszołomiona analizowałam w myślach wypadek na ulicy.

- Okej, okej, aż dziw, że się od razu zgodziłaś! -dorzuciła i skrzyła w stronę uczelnianej biblioteki. -Idziesz na historię baletu? - spytała jeszcze, zanim zdążyłam stracić ją z oczu.

- Idę.

- Fajnie, to widzimy się na wykładzie! Zajmij mi miejsce obok siebie, gdybym się spóźniła. - Pomachała ręką i zniknęła w tłumie studentów.

Oskar to chłopak, z którym Alice przekomarzała się za drzwiami pierwszego dnia mojego pobytu w akademiku.

Byłyśmy już z moją współlokatorką na takim stopniu zażyłości, że nasze garderoby utraciły status odrębności i stały się dobrem wspólnym. Nie było mowy o użyciu argumentu typu „to moja bluzka”; od jakiegoś czasu funkcjonowało jedynie uzasadnienie: „byłam pierwsza”. Oczywiście stało się tak dopiero po zmianie zawartości mojej szafy, czyli uprzednich zakupach. Dlatego, gdy tylko Alice zajęła obok mnie miejsce, rzuciłam pospiesznie:

- Zamawiam niebieską bluzkę z dekoltem.

- Jasne! Dziś jest twoja! - odpowiedziała, chichocząc.

Lubiłam Alice. Czułam się przy niej swobodnie. Moja przyjaciółka, mimo mojej małomówności, chyba też mnie polubiła. Po prostu akceptowałyśmy siebie, takimi jakimi byliśmy i starałyśmy się wspierać mimo różnicy charakterów. Po zajęciach wróciłyśmy do akademika. Musiałyśmy zdążyć się wyszykować na wieczorne wyjście. Do łazienki pierwsza pobiegła Alice, ja w tym czasie zadzwoniłam do rodziców.

- Cześć, kochanie! - usłyszałam. To była typowa reakcja mamy na widok mojego numeru telefonu na wyświetlaczu jej komórki.

- Cześć, mamuś! Co u was słychać? - zapytałam. Zawsze zaczynałam od tego rozmowę.

- U nas wszystko w porządku. Niedługo odwiedzi nas ciotka Martha z wujkiem Robem. Wiesz, jak uwielbiamy te ich wizyty - powiedziała ironicznie mama.

Ojciec źle znosił wizyty wujostwa. Nie znosił przechwałek wujka ani wścibstwa ciotki. Mama miała do tego zdrowsze podejście, po prostu ignorowała ich złośliwości.

- Oj, to widzę, że tato musi uzbroić się w cierpliwość. Przekaż mu ode mnie, żeby nie zapomniał wyprasować koszuli, bo na dzień dobry wujek albo ciotka skrytykują jego wygląd.

Dochodziła godzina dwudziesta pierwsza, czyli pora kiedy na korytarzach robiło się głośno. Studenci kręcili się od pokoju do pokoju, zbierając ekipę do wyjścia.

Wyszliśmy z Alice razem ze wszystkimi. Nawet nie przypuszczałam, że niemal cały akademik opustoszeje i wszyscy jednogłośnie będą chętni pójść na koncert debiutantów.

Gdy dotarliśmy na miejsce, czułam, że wydarzy się coś niezwykłego. Światła kreśliły na niebie różnobarwne kółka. Tłum studentów skakał niemalże w miejscu w rytm muzyki. To było istne szaleństwo! Alice stała cały czas za mną. Obok niej znajdował się Oskar. Patrzyłam, jak na niego zerka w ten specyficzny dla zakochanych sposób. Gdy cokolwiek szeptała mu do ucha, unosiła jedną nogę do góry, a gdy on jej odpowiadał, zawsze się rumieniła. To było urocze. Zazdrościłam jej.

- Julie, mam prośbę... Mogłabyś czasem zwrócić uwagę, czy Oskar na mnie patrzy? Plis! - szepnęła do mnie.

Na początku, naiwna nie rozumiałam, o co jej chodzi.

- Jak to, czy patrzy? - dopytywałam nieświadoma tego, że częstotliwość spojrzeń chłopaka na dziewczynę świadczy o stopniu jego zaangażowania. Na szczęście zaraz się domyśliłam, o co chodziło Alice, więc się uśmiechnęłam i przytaknęłam na znak zgody.

Ponieważ wzięłam sobie do serca prośbę Alice, to starałam się ukradkiem obserwować zachowanie Oskara. Szczerze mówiąc, bałam się, że zacznie mnie podejrzewać, że go podrywam. Skoro częstotliwość spojrzeń jest taka ważna, to Oskar mógłby pomyśleć, że właśnie zyskał nową wielbicielek. Ilekroć zerkałam na niego kątem oka, to zawsze stał w tej samej pozycji. To znaczy

jedną rękę włożył do kieszeni, a w drugiej trzymał plastikowy kubek z piwem. Jediną czynność, jaką wykonywał, było przechylenie kubka, aby pociągnąć kolejny łyk piwa. Niestety, nie zauważyłam, aby jego wzrok zatrzymał się dłużej na Alice, chyba że jako reakcja na jej bardzo mało subtelne próby przypadkowego szturchnięcia, dotknięcia lub zahaczenia.

- Oskar, potrzywasz mi torebkę? Sznurówka mi się rozwiązała - powiedziała w pewnej chwili Alice, nie wytrzymując najwidoczniej ciszy, jaka panowała między nimi od dłuższego czasu. Podążając za jej wzrokiem, zauważyłam, że sznurówka miała się całkiem dobrze.

- Poczekaj chwilę, dopiję piwo - rzucił od niechcienia, nie zdając sobie sprawy, że jego odmowa bardzo Alice rozczarowała.

- Daj kochana, potrymam ci - powiedziałam. Nie chciałam, żeby Alice stała dłużej z tą osłupiałą miną i wyciągniętą ręką, na której miała zawieszoną torbę.

W tym samym momencie poczułam na sobie spojrzenie kogoś stojącego w oddali.

- Widzisz tego chłopaka? - zapytałam, błędząc wzrokiem po tłumie stojących studentów.

- Którego? - zapytała Alice, kompletnie nie domyślając się o kogo mi chodzi.

- No tego, co tam stoi i gapi się na mnie, widzisz go? - dopytywałam zniecierpliwiona.

- Widzę, no jasne, już wiem o kogo ci chodzi. Chyba nie myślisz, że się na ciebie gapił? - zapytała ironicznie.

- Jak to? No przecież dlatego zwróciłam na niego uwagę. Nie masz tak czasem, że wyczuwasz na odległość, że ktoś się na ciebie gapi?

- Mam, Julie, ale chyba nie chcesz mi wmówić, że wpadłaś mu w oko ?!

- O co ci chodzi, Alice!?! - krzyknęłam. Czułam się urażona.

- Jezu, nie wiesz kto to jest, prawda?

- Nie wiem, a powinnam? Jest jakimś superbohaterem? - Tym razem to ja nie ukrywałam sarkazmu.

- A żebyś wiedziała. Co ty, telewizji w domu nie masz? - zapytała zdziwiona.

Miałam telewizję, ale nikt jej nie włączał co najmniej od dwóch lat.

- Mam - odpowiedziałam, czekając z ciekawością na jej dalsze słowa.

- To powinnaś wiedzieć, kim jest ten chłopak i nie myśleć o nim, jako o normalnym.

- A to on jest nienormalny? Oznacza to, że jest upośledzony? Nie wygląda.

- Nie żartuj, Julie! Jest normalny, aż nadto.

- No to o co chodzi?

- To Patrick Varner - powiedziała Alice z naciskiem.

Dopiero wtedy zorientowałam się o kim mowa. Nazwisko to wraz ze zdjęciami pojawiało się we wszystkich kolorowych magazynach, które dotarły nawet do mojego rodzinnego miasteczka. Wydawało mi się, że wyglądał na nich lepiej niż w rzeczywistości. Może

wyretuszowali je dla potrzeb marketingu. Powodowana ciekawością oglądałam się za siebie, ale chłopak rozpułynał się w powietrzu. Nie dostrzegłam go w tłumie juź ani razu. Bardzo Źałowałam, że tak nagle zniknał z mojego pola widzenia.

Kiedy póżnym wieczorem wracałyśmy do akademika po skończonym koncercie, nagle usłyszalyśmy:

- Dziewczyny, wiem, że do odważnych świat należy, ale nie boicie się same wracać po ciemku? - zapytał chłopak siedzący w mijanym właśnie przez nas samochodzie.

Poczułam się, jakby czytał w moich myślach. Nie zdążyłam odpowiedzieć, kiedy wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwiczki, zapraszając nas do środka. Skłonił się w naszą stronę w geście powitania i bardzo miło uśmiechnął. Natychmiast rozpoznałam znaną powszechnie twarz Patricka.

- Dziękujemy ci bardzo, tajemniczy wybawco, ale jesteśmy juź niemal na miejscu. Źałujemy że nie pojawiłeś się czterdzieści minut wcześniej, trzy kilometry na zachód, skąd zaczęłyśmy swoją męczącą wędrówkę - odpowiedziałam, udając obojętną i kompletnie niezainteresowaną.

Próbowałam odgadnąć, w jaki sposób udało mi się sklecić tak długą wypowiedź, w tak krótkim czasie, bez chwili zastanowienia. To była chyba jakaś tajemnicza, dotąd ukryta głęboko umiejętność, która pojawiła się na widok tego chłopaka. Czyżby to była reakcja na widok kogoś, kto ewidentnie wpadł mi w oko? Nigdy wcześniej nie miałam ochoty na kontynuowanie rozmowy z kimś, kogo tylko co poznałam.

Nie byłam w stanie wytłumaczyć mojego nagłego zainteresowania jego osobą. Na pewno robił wrażenie dobrze wychowanego, ale prawdziwego wyjaśnienia należałoby chyba szukać w jego wyglądzie. Był piękny. Miał oliwkową karnację i duże czarne oczy, z niezwykle długimi rzęsami. Do tego należy dodać malinowe usta i piękny uśmiech, który ujawniał dwa urokliwe dołeczki, i białe zęby. Był dosyć wysoki; budową ciała przypominał atletę.

- Drogie panie, w takim razie pozwólcie, że potowarzyszę wam do końca tej męczącej drogi, bo chyba w istocie taka była, biorąc pod uwagę, że ledwie poruszacie ze zmęczenia nogami - powiedział.

A mnie jego żartobliwe wypowiedzi przywołały na myśl wszystkich bohaterów z powieści Jane Austin.

- W takim razie, drogi panie, skoro już poruszamy się w klimatach charakterystycznych dla dziewiętnastego wieku, pozwól, że odpowiem ci następująco: Zaiste wielki to będzie dla nas zaszczyt móc z takim jegomościem odbyć dalszą drogę. Mam nadzieję, że przebywanie w naszym towarzystwie okaże się mało męczące i nużące. Czy mogę poznać imię wybawcy? - zapytałam, udając, że nie mam pojęcia z kim właściwie rozmawiam.

- Patrick - odpowiedział, śmiejąc się.

Zastanawiałam się, czy się domyślił, że bardzo dobrze wiem kim on jest, czy po prostu uważał, że jego popularność nie jest tak duża, aby wszyscy go rozpoznawali. Nie wiedziałam więc, czy był rzeczywiście skromny, czy tylko takiego udawał.

- Dokąd właściwie idziecie?

- Do akademika przy szkole baletowej - odpowiedziałam.

- Jesteście tancerkami? - spytał wyraźnie zaniepokojony.

- Tak, a co? Chciałbyś przyjść na jakiś nasz występ? - spytałam, sama sobie się dziwiąc, że tak nagle wypaliłam z tą propozycją.

- Bardzo chętnie, a kiedy on się odbędzie?

- Na koniec semestru, czyli za trzy miesiące - powiedziałam.,

- Trzy miesiące! Nie wydaje ci się, że dość długo każesz mi czekać, żebym mógł cię drugi raz zobaczyć? - zagadnął figlarnie, podnosząc brew. Kącik ust zadrżał mu delikatnie, a swoje wielkie, ciemne oczy wlepił prosto w moje.

Zapewne pod wpływem stresu i onieśmienia, które opanowało mnie po raz pierwszy odkąd zaczęliśmy rozmawiać, spuściłam oczy i zaczęłam poruszać nogą tak, jakbym chciała odgarnąć piasek z chodnika.

- A kto powiedział, że to będzie nasze drugie spotkanie? Może to będzie kolejne, po tych licznych, które odbędą się wcześniej? - mówiąc to nie zdawałam sobie

sprawy, że właśnie z nim flirtuję. Dopiero po chwili się zorientowałam, że dałam Patrickowi świetny pretekst do zaproszenia mnie na randkę. Zaraz jednak przypomniałam sobie słowa Alice, która wyraźnie dała mi do zrozumienia, że jest on dla mnie nieosiągalny.

- Aha. - Zwolnił kroku.

Nie sposób było nie zauważyć, że się nad czymś zastanawiał. Jedną rękę oparł o biodro, drugą pocierał skroń, lekko zmarszczył brwi. Bałam się, że powiedziałam coś nie tak. Może go wystraszyłam swoją aluzją, ale szybko rozwiął moje wątpliwości.

- Wiesz, nie potrafię wyjść z podziwu, jak sprawnie ukryłaś w tej wypowiedzi pewną sugestię... - Nie kończąc zdania, które wprawiłoby mnie w zakłopotanie, uśmiechnął się przyjaźnie.

Patrzył mi głęboko w oczy. Poczulałam się bezradna wobec uczuć, które zaczynały mnie ogarniać. Jego odpowiedź była bardzo sprytna. Wymuszał na mnie bezpośrednio dokończenie zdania albo przynajmniej nawiązanie do mojej sugestii, która stawała się jawną prośbą o randkę.

- Skoro już karty zostały odkryte, to mógłbyś to jakoś skomentować. Ułatwi to nam komunikację. - podjęłam grę.

- Oj, uwierz mi, że nie omieszkam... Jutro, godzina dziewiętnasta przy tej bramie? - rzucił, zatrzymując się przed wejściem na teren jakiegoś prywatnego ogrodu.

- Jutro, dziewiętnasta przy tej bramie - powtórzyłam.

Czułam wielką radość, ale i ogarniała mnie niepewność. Może to tylko kwestia uroku chwili? A jutro oboje będziemy zakłopotani. Ten niewinny flirt wyda się nam absurdalną, żalną wymianą zdań między obcymi sobie ludźmi. Mój lęk został rozwiany jego uspakajającym wyrazem twarzy, na której nie widniały żadne obawy. Zaczęłam podejrzewać, że moje myśli były reakcją na strach przed pierwszą w życiu randką.

- Jak będę się chwalił kolegom, że mam randkę, to jakie mam podać imię swojej ukochanej? - zapytał, stojąc nadal przy bramie.

- Julie - odpowiedziałam.

- Julie - to specyficzne imię dla zakochanej kobiety. Miejmy nadzieję, że nasza znajomość nie zakończy się tak, jak tej nieszczęsnej pary - zażartował.

- Też życzyłamby sobie nieco łaskawszego zakończenia. Tymczasem do zobaczenia, nieznajomy!

- Do zobaczenia, Julie - odpowiedział i poszedł w stronę zaparkowanego auta.

Odwróciłam się raz jeszcze, jakby tknięta przecuciem, że go już nigdy nie zobaczę. Pragnęłam go na zawsze zapamiętać.

- Czy ja właśnie umówiłam się na randkę z Patrickiem Varnerem? - zapytałam, nie wierząc jeszcze w swoje szczęście.

- A żebyś wiedziała. Jestem w nie mniejszym stopniu zaszokowana - odpowiedziała Alice.

- Jesteś bardzo niedelikatna - wtrąciłam nieco zbita

z tropu. - Wiem, że nie należę do piękności, ale mogłabyś być miłsza.

- To nie o to chodzi, że nie uważam cię za kolejny cud świata albo za modelkę z wybiegu, tylko o to, że to Patrick Varner! Wiesz, ile dziewczyn za nim szaleje?! To gwiazda, Julie, największa gwiazda młodego pokolenia wśród aktorów! Daj sobie z nim spokój! Zamąci ci tylko w głowie - powiedziała.

W duchu przeczuwałam, że Alice może mieć rację, ale uparcie odsuwałam od siebie tę myśl. Chciałam przynajmniej spróbować i nie miałam zamiaru zrezygnować z takiego spotkania.

Zaczął się kolejny dzień, kolejne zajęcia i stresujące spotkanie z panem Clarkiem.

- Witam was. To będą ciężkie dwie godziny. Rozpoczynamy choreografię do grudniowego występu. Muszę jak najszybciej podjąć decyzję, której z was przydzielę główną rolę. Radzę się zatem starać! Chcę widzieć krew, pot i łzy! Będę was obserwował - powiedział.

Trudno skupić się na wykonywaniu doskonałych ruchów, kiedy wiesz, że nie zostanie dostrzeżone to, co zrobiłaś bez zarzutu, a jedynie to, co było nie dość dobre.

- Pamiętaj o dłoniach, Julie! Jakbyś po coś sięgała! Na tyle cię tylko stać?! A gdybyś miała podać rękę tonącemu, to co, też byś ją tylko niemrawo wystawiła?! Musisz poczuć, że gdy ją wyciągniesz o milimetr dalej,

to wyrwiesz ją ze stawu, rozumiesz? To jest twoja granica. Inaczej tonący pójdzie na dno. A wyraz twarzy? Co w takiej chwili czujesz? Strach, panikę, cierpienie! No właśnie! To czemu do jasnej cholery jesteś taka nijaka, taka obojętna!? Wyraź to! Pokaż emocje! Co jest z wami?! - krzyczał.

Na pewno sam nie miał problemu z wyrażaniem emocji. Jak nikt inny potrafił udowodnić każdemu, że to, co w życiu robi jest jedną, wielką pomyłką. Gdybym rozpoczęła pracę na kasie w supermarkecie, to on stwierdziłby, że taką przygaszoną postawą odstrasza klientów, po czym dodałby, że płacą mi tu chyba przez przypadek. I nagle, stojąc wykończona dzisiejszym wysiłkiem, nie poczułam strachu ani paniki, tylko złość połączoną z bezradnością.

Jego przygniatające mnie, bezwzględne spojrzenie powodowało, że miałam ochotę wybiec z sali i już nigdy tam nie wrócić. Ale kiedy patrzyłam na Alice, zdawałam sobie sprawę, że ona jest w gorszej sytuacji. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy można kochać takiego ojca. I czy uświadomienie sobie, że nie kochasz własnego rodzica byłoby udręką? Dotychczas uważałam, że miłość do rodziców jest bezwarunkowo wpisana w naturę dziecka.

Kiedy wyszliśmy po zajęciach z sali, Alice zapytała:

- Julie, czy mnie się wydaje, czy ty masz dzisiaj randkę z Patrickiem? - Uśmiechając się przy tym od ucha do ucha. - Mów, jak tam, stres jest?

- Nie za specjalny - skłamałam.

Gdyby coś poszło nie tak zawsze mogłam zastosować wyjście awaryjne. Mogłam powiedzieć na przykład, że i tak nic by z tego nie wyszło albo że nie pasowaliśmy do siebie i to nie było to, czego oczekiwałam. Wszystkie dziewczyny to wykorzystują, gdy nie chcą się przyznać, że po prostu nie zaiskrzyło.

W rzeczywistości jednak od rana chodziłam podekscytowana. To, co poczułam tamtego wieczoru, zdarzyło mi się pierwszy raz w życiu.

W głowie tworzyłam jego idealny wizerunek, choć przecież Patrick mógł okazać się całkiem inny. O czym zresztą bardzo szybko miałam się przekonać...

- To jak? Oddajesz się w ręce swojej osobistej wizażystce Alice, która sprawi, że ukochany będzie ci jadł z ręki?

- Alice, nie żartuj, przecież to tylko randka, która w ogóle może się nie odbyć. A jak nie przyjdzie? - mówiłam tak jak zawsze, gdy miałam obawy co do powodzenia przedsięwzięcia.

- Nie żartuj, jak nie przyjdzie, to go znajdziemy i urwiemy mu jaja! - powiedziała ze śmiechem Alice.

Zbliżała się godzina dziewiętnasta. O dziwo nie padało, nie było też wietrznie. Nie spełniły się moje przypuszczenia pogodowe, które rodziły się w mojej głowie od wczoraj.

Nie mogłam odgonić od siebie Alice, która biegała za mną po pokoju z tuszem do rzęs w ręce. W końcu

się poddałam i zgodziłam na lekki makijaż. Włożyłam też szpilki i obcisłe spodnie należące do mojej współlokatorki. Nie był to styl, który do mnie pasował, ale wyszłam z założenia, że dziś miał on spodobać się Patrickowi, a nie mnie.

Odłożyłam swoją wygodę na bok i przywędrowałam pod bramę ogrodu na dziesięciocentymetrowych obcasach, które blokowały się między płytami chodnika. Wyobrażałam więc sobie, że podchodzę do Patricka i gdy już jesteśmy bardzo blisko siebie, nagle mój obcas klinuje się między płytami chodnika, powodując, że ląduję twarzą na betonie ze złamanym nosem.

Kiedy przyszedłam na miejsce, Patricka jeszcze nie było. Miałam czas na szybki look w lustreczko i kontrolę wyglądu. Alice niewątpliwie dobrze się spisała. Doradziła mi, abym nie związywała włosów. Zauważyłam, że mijający mnie ludzie zatrzymują na mnie wzrok. To mi dodawało otuchy.

Stałam, rozglądając się na wszystkie strony. Nie wiedziałam, zza którego rogu wyjdzie Patrick. Spojrzałam na zegarek. Było dziesięć po dziewiętnastej. Zaczęłam się niepokoić. Nie lubię, gdy ktoś się spóźnia, to objaw złego wychowania. Jednak gdy wskazówki zegarka zatrzymały się na dziewiętnastej trzydzieści, zaczęło do mnie docierać, że właśnie zostałam wystawiona do wiatru. Czułam się okropnie. Chciałam jak najszybciej wskoczyć w dres i schować się pod kołdrę.

Przyspieszyłam kroku, szłam zamyślona. Co ja sobie

właściwie wyobrażałam?! Dziewczyna z małego miasteczka, która jeszcze niedawno ubierała się w koszulki ze słonecznikami, rozkochała w sobie sławnego aktora?! Doprawdy żałosne! Alice miała rację, on jest dla mnie nieosiągalny.

Zbliżając się do przejścia dla pieszych nie zauważyłam czerwonego światła. Już miałam wejść na jezdnię, kiedy wystraszył mnie sygnał karetki pogotowia, a raczej karetek, które sznurkiem pędziły ulicą, wymijając stojące w korku samochody. Na ulicy zrobiło się zamieszanie. Kierowcy zaczęli wjeżdżać pospiesznie na krawężniki, przesuwali się w stronę pobocza. Uderzali w klaksony, jakby to miało ułatwić ruch.

Ja natomiast nagle zapomniałam o Patricku i zaczęłam biec w tę samą stronę, w którą pędziły karetki. O niczym nie myślałam. Dotarcie na miejsce wypadku nagle stało się najważniejsze w moim życiu. Jakbym nabrała jakiejś dodatkowej siły w nogach. Biegłam, mijałam kolejne przecznice i wielkie wieżowce. Nie przeszkadzało mi to, że na nogach mam szpilki! Nawet światła na skrzyżowaniach w odpowiednim momencie zmieniały się na zielone. Czułam za sobą pęd wiatru pomagający mi dotrzeć do celu jak najszybciej. Metą okazała się autostrada prowadząca do Filadelfii, na której autobus zderzył się czołowo z tirem. Nie zastanawiając się, weszłam do środka autobusu przez zbitą szybę. Na poboczu stało pełno gapiów. Patrzyłam na nich i nie rozumiałam, dlaczego nie reagują.

- Ludzie, pomóżcie mi wyciągnąć rannych! - zawołałam. Ale nikt się nawet nie poruszył.

- Proszę pana, proszę pana w białej kurtce, niech pan mi pomoże! - Nie odpowiedział żadnym ruchem ani skinieniem.

- Hej, tu jestem, czy ktoś mnie słyszy! ? - Zabrakło odzewu. Wtedy zrozumiałam, że nikt mnie nie widzi ani nie słyszy.

Rozejrzałam się. Obok mnie leżały zwłoki około czterdziestu ludzi. Nikt nie dawał znaku życia. Podeszłam do siedzącego w wózku dziecka. Jego mała główka przechyliła się w bok, z czoła skapywała na podłogę krew. Wyglądało jakby spało. Położyłam rękę na jego kolanie. Dziecko poruszyło nóżką. Nadal trzymałam na nim dłoń. Zaczęło poruszać delikatnie paluszkami, a twarz nabierała koloru. Wtedy obok mnie pojawił się ratownik.

- Mamy tu dziecko! Chyba żyje! Rusza się! Pospieszcie się z tymi noszami! - krzyczał do innych lekarzy, kompletnie ignorując moją obecność.

Odsunęłam się powoli. Dziewczynka w wózku była już pod opieką specjalistów. Stałam osłupiała wewnątrz autobusu, nie rozumiejąc, co się wydarzyło i co ja właściwie tu robię! Patrzyłam, jak z innych ciał wydostaje się na zewnątrz jakby mgła i unosi się do góry. Miałam trudności z oddychaniem. Popatrzyłam na swoją dłoń. Mimo że pobrudziłam ją krwią dziecka, teraz wydawała się czysta i nieskazitelnie biała.

Nie pamiętam, jak wyszłam z autobusu. Ratownicy wynosili w czarnych workach wszystkie ciała po kolei. Było też pełno lekarzy, policjantowi strażaków. Krążyli wokół i co chwila wyganiali gapiów za taśmę, którą otoczyli miejsce wypadku. Ludzie z ciekawością przyglądali się wynoszonym zwłokom, jakby mieli nadzieję, że suwak się rozsunie i będą mogli zobaczyć trupa. Dyskutowali i wymieniali się informacjami. Nagle się okazało, że któraś pasażerka była w ciąży, a pan z rudymi włosami i tak miał raka. Dodawali katastrofie jeszcze większego dramatyizmu, jakby było go mało.

Miałam totalny mętlik w głowie. Dopiero teraz zaczęło do mnie docierać, że zdarzyło się coś niezwykłego, i to już po raz drugi w tak krótkim czasie! Myśl o posiadaniu przeze mnie uzdrawiającej mocy, bardzo mnie dezorientowała, żeby nie powiedzieć - śmieszyła. Wszystko wydawało się absurdalne. Jednak trudno mi było zapomnieć, że to ja sprawiłam, że potracony pies po chwili machał ogonem, a dziecko w autobusie jako jedyne przeżyło. Coś było ewidentnie nie tak.

Z głębokiej zadumy wyrwał mnie widok znajomej twarzy, która mignęła w tłumie po drugiej stronie jezdni. Zamarłam. Dałabym sobie rękę uciąć, że zobaczyłam Patricka Varnera! Próbowałam nawet podejść nieco bliżej. Zachowywałam się jak ci ludzie, którzy chcieli za wszelką cenę przekroczyć taśmę. Tylko nasze cele się różniły. Ja pragnęłam się upewnić, czy nie mam omamów i czy naprawdę widziałam Patricka. Jednak nie zauważyłam

go już więcej. Zniknął, jak poprzednio podczas koncertu. Rozpłynął się niemal w powietrzu. W końcu ludzie zaczęli się rozchodzić. Uznali chyba, że to koniec przedstawienia i czas wracać do swoich codziennych zajęć.

Zostałam sama. Ulica stała się z powrotem przejezdna i jak zwykle poruszało się po niej tysiące samochodów. Po autobusie nie było już śladu. Zdałam sobie sprawę, że jest już prawie noc. Marzyłam o powrocie do akademika i błogim śnie.

Szłam przez campus. Studenci korzystali z ostatnich ciepłych dni i rozpalali ogniska i grille. Wszyscy siedzieli na ławeczkach, śmiali się, opowiadali kawały i straszne historie.

Na uczelnię uczęszczało mnóstwo chłopaków. Niektórzy byli niesamowicie utalentowani muzycznie. Martin na przykład, który mieszka piętro niżej, ma piękny głos. Dlaczego nie mógł mnie zainteresować ktoś taki, ktoś zwykły, a jednocześnie normalny? Czemu poznałam Patricka i właściwie po co o nim myślę? Zamiast spędzać czas ze wszystkimi i rozmawiać przy ognisku, to wracam w fatalnym humorze po tym, jak właściwie obcy mi chłopak zapomniał, że się ze mną umówił.

Gdy weszłam do pokoju, Alice jeszcze nie było. Szybko wskoczyłam pod kołdrę i starałam się o niczym nie myśleć, jedynie zasnąć.

Noc była ciężka. Koszmar za koszmarem i co najdziwniejsze, w każdym z tych snów był Patrick. Budzi-

łam się kilka razy, zastanawiając się, jakim cudem ktoś, kogo dobrze nie znałam, potrafił już pojawiać się w moich snach. Znalazł miejsce w mojej podświadomości, choć na nie kompletnie nie zasłużył.

Śniące mi się obrazy zwykle wyglądały podobnie. Szłam w ciemnościach na nasze spotkanie. Byłam taka podekscytowana! Emocje brały górę nad rozumem. Dochodziłam do bramy. Wyglądała na większą i mroczniejszą, niż była w rzeczywistości. Nagle łańcuchy się obluźowały i brama zaczynała się otwierać. Wchodziłam do ogrodu. Mamił mnie swoim wdziękiem. Było tam pięknie. Mnóstwo kwiatów, drzew owocowych i rzeźb. Na środku znajdowała się cudowna fontanna, która wylewała kryształową wodę. Wyglądało to jak wodospad. Ogród nie miał końca. Chodziłam i podziwiałam te wszystkie wspaniałości. Na poboczu głównej alei rozkwitały na moich oczach drzewka. Mijałam je i nagle w oddali pojawiał się most, coś na kształt drewnianej kładki. Oddzielała ona tę część ogrodu od pozostałej, w której nie rosły żadne kwiaty, i z której nie dochodził szum fontanny. Za mostem unosiła się jedynie mgła i właśnie z tej mgły wyłaniał się Patrick. Trudno było rozpoznać rysy jego twarzy. Na głowie miał kaptur, spod którego nie było niczego widać, prócz czerni. Podchodził coraz bliżej i bliżej. Z kieszeni wyjmował białą dłoń. Chciałam jej dotknąć, ale on wtedy znikał. Jakby rozpływał się w powietrzu. Budziłam się przerażona, z trudem łapiąc oddech.

Rozdział drugi

Dochodziła godzina dwudziesta pierwsza. Na korytarzach zrobiło się głośno. Non stop ktoś otwierał i zamykał drzwi. Przed akademikiem stały grupki studentów. Wszyscy obrali ten sam cel: klub Angels&Demons. Alice i Julie też postanowiły zabawić się tego wieczoru. Julie wyglądała pięknie. Jej rozpuszczone blond włosy upodobniały ją do anioła. Dziewczyny długo szykowały się na imprezę, szczególnie Julie, w końcu było to jej pierwsze wiyciu wyjście do klubu.

Gdy weszły do środka, znajomi Alice bardzo chętnie witali jej nową koleżankę, Julie, podając jej kieliszki z wódką. Ta, oszołomiona głośną muzyką i ilością studentów tańczących na parkiecie, postanowiła, że zrobi coś szalonego, od czego przez całe życie stroniła.

- Hej, ty musisz być Julie! Alice nam dużo o tobie opowiadała. Ja jestem Caroline, a to jest Ida - powiedziała wysoka, szczupła dziewczyna, wskazując na równie piękną i wysoką towarzyszkę.

- Miło mi was poznać - odpowiedziała Julie.

- Widzę, że już ktoś dał ci wódkę, to dobrze. Jedyne

w takim razie, co mogę ci zaproponować, to papieros. Palisz?

- Nie, raczej nie. Ale wiesz, tym razem zapalę. A co mi tam - powiedziała Julie z uśmiechem.

Tego wieczoru była szczęśliwa i wyluzowana. Nie wiedziała, że odkąd weszła do klubu, jest przez kogoś stale obserwowana. Na górze mieściły się łoże dla **VIP-ÓW** i właśnie stamtąd ktoś uważnie jej się przyglądał. Wewnątrz Angels&Demons powietrze było siwe od dymu papierosowego i sztucznej mgły wypuszczanej gdzieś spod sprzętu **Dj-a**. Tłum pijanych studentów skakał na parkiecie. Była wśród nich Julie, którą co jakiś czas oświetlały stroboskopy. W tym samym czasie tajemniczy obserwator oparł ręce o balustradę i wlepił wzrok w tańczącą dziewczynę. Światło stroboskopu migotało, rzucając różnobarwne kółka po całej sali. W końcu światło padło na twarz gapiącego się chłopaka. Rysy nieznanego stawały się coraz bardziej rozpoznawalne. To był Patrick Varner.

Wraz z kolegami z branży aktorskiej często odwiedzał klub, chowając się w łoże dla **VIP-ÓW**. Niekiedy odwracał znużony wzrok w stronę parkietu. Nigdy nie wypatrzył tam kogoś, kto przyciągnąłby jego uwagę na dłużej. Tym razem było inaczej. Pięknie poruszająca się dziewczyna wyraźnie go zainteresowała. Niepokojący był jednak wyraz twarzy chłopaka. Patrick nie przyglądał się jej z fascynacją, ale z niechęcią. Jego źrenice wyraźnie się

powiększyły, jak u kota, rozszerzyły się do nienaturalnych dla człowieka rozmiarów. Spod zasłony gęstych rzęs wydobywało się niewidoczne gołym okiem światło, jak słaba latarka, która ledwie oświetliłaby ciemne pomieszczenie. Takie właśnie dwa iskrzące punkciki emitował wzrok Patricka, jakby wysyłał promieniowanie. W ciągu paru minut nie zmienił nawet na ułamek sekundy swojej pozycji. Wyglądał przerażająco.

Tańcząca dziewczyna nie przypuszczała, że w klubie pełnym ludzi może jej grozić śmiertelne niebezpieczeństwo. Gdyby spojrzała w górę i zobaczyła tę nieugiętą i ponurą minę, może uciekłaby z pola widzenia nieznajomego. Im dłużej Patrick wlepiął w nią swój straszny wzrok, w którym odbijało się wszystko, na co w danej chwili patrzył, tym większa wściekłość malowała się na jego twarzy.

W końcu z bezradności i ze złości uderzył pięścią w znajdujący się obok murowany słup. Nawet nie jęknął z bólu. Wybiegł z klubu z pochyloną głową. W ostatniej chwili spojrzał jeszcze raz na Julie i potarł z niedowierzaniem czoło. Pierwszy raz ofiara, którą upatrzył, okazała się silniejsza od niego. Dziewczyna emanowała czymś całkowicie przeciwnym niż on, ale prawdopodobnie potężniejszym. Była odporna na jego działania. Nie mógł jej skrzywdzić. To było dla niego coś nowego, coś z czym nigdy wcześniej się nie spotkał. Pierwszy raz ktoś oparł się jego woli i to tak nieświadomie, naturalnie. Z jednej strony wpadł we wściekłość, z drugiej zaczęło

go to fascynować. Napotkał tajemniczą siłę, a to wzbudziło jego ciekawość.

Tej nocy zaszył się na dachu pobliskiego wieżowca. Patrzył na gasnące miasto i po raz pierwszy czuł się słaby, zależny, niedoskonały. Czuł też, że nie może tego tak zostawić. Musiał poznać prawdę. A więc musiał poznać dziewczynę. Zbliżyć się do niej, porozmawiać z nią. To go napawało obrzydzeniem. Rozmowa z kimś tak słabym, zwykłym i przyziemnym była dla niego poniżająca. Ale ona nie była kimś słabym, zwykłym i przyziemnym. Była kimś znacznie silniejszym, wydawało się, że nawet od niego samego.

Mijały tygodnie. Pogoda była coraz gorsza. Deszcz dudnił o chodniki, z drzew spadały pierwsze liście. To właśnie tego pochmurnego i deszczowego dnia, kiedy ulewa i wiatr wyginały przechodniom parasole, Patrick zobaczył pędzącą na uczelnię Julie. Biegła zamyślona. Chciała jak najszybciej dotrzeć na wykład. Wtedy wpadł mu do głowy genialny pomysł. Postanowił ją przetestować, sprawdzić jej siłę. Jego sarkastyczny i złośliwy uśmiezek zdradzał, że ma już plan.

Dziewczyna jak poprzednio w klubie, była nieświadoma, że ktoś ją obserwuje, i że ktoś życzy jej nieszczęścia. Mijała właśnie skrzyżowanie. Patrick stał po drugiej stronie ulicy, oparty o drzewo. Z parku wybiegł pies, który najpewniej zerwał się ze smyczy swojemu właścicielowi. Chłopak skierował na niego swój diabelski wzrok.

Wpatrywał się w psa tak długo, aż ten zmienił obraną przez siebie trasę i szedł teraz prosto na jezdnię. Wycieraczki nie nadążały usuwać z szyb wody, która ograniczała kierowcom widoczność. Patrick zza drzewa kierował psim instynktem. Nadjeżdżało czerwone auto. To była idealna okazja. Pies znalazł się pod kołami samochodu. Z piskiem i rozłupaną głową wpadł do rowu. Chłopak obserwował Julie, która złapała się za głowę. Nie wiadomo, czy z bólu, czy po prostu nie chciała patrzeć na okropny wypadek. Następnie podbiegła do zwierzęcia.

Patrick z osłupieniem i niedowierzaniem przyglądał się dziewczynie, która położyła głowę psa na swoich kolanach, następnie dłonią przykryła ranę. Chłopak widział wydostające się spod jej dłoni światło. Widział również, jak pies odzyskiwał siły, i to na tyle, by machając ogonem kontynuować penetrowanie miasta. Patrickowi mocniej zabiło serce. Niczego nie pojmował. Oparł się, dysząc, o pień drzewa. Zrozumiał, że on i dziewczyna byli całkowitym przeciwieństwem, ale ona miała przewagę nad jego umiejętnościami, mogła je sprawnie i z łatwością niwelować.

Mijały tygodnie, zbliżał się koncert debutantów.

- Wodzu, idziesz na nasz koncert? - spytał wokalista zespołu, wieloletni przyjaciel Patricka.

- No pójdę, pójdę. Popatrzę, jak się błażnicie - odpowiedział z charakterystyczną dla siebie zarożumiałością. - Przyjdę ze skrzynką pomidorów.

Patrick nie zamierzał cały wieczór skakać z innymi w rytm muzyki. Po prostu nie wypadało mu odmówić. Gdy dotarł na miejsce, jak zwykle zaszył się, niezauważony, w tłumie młodych ludzi. Ze znudzeniem błędził wzrokiem wokół siebie. Nie mógł uwierzyć własnym oczom, kiedy zobaczył nieznajomą blond dziewczynę z klubu w towarzystwie studentów. Wyglądała jak zwykle pięknie. Leki sięgały jej do pasa. Tym razem nie zachowywała się tak prowokacyjnie, jak w Angels&Demons. Nie pila, nie tańczyła, lekko się uśmiechała i rozmawiała ze swoją przyjaciółką. Była urocza.

W tym momencie Julie spojrzała w jego stronę. Pierwszy raz ich oczy spotkały się ze sobą. Wydawała się być onieśmielona i natychmiast odwróciła głowę. W nim natomiast wezbrały gwałtowne uczucia, których nigdy wcześniej nie doświadczył. Poczł uderzenie gorąca i szybciej krążącą w żyłach krew. Natychmiast zniknął z jej pola widzenia. Wymijał stojących studentów i biegł przed siebie, jakby ktoś go gonił. Zatrzymał się na parkingu, gdzie wcześniej zostawił swoje auto. Wyciągnął z kieszeni kluczyki, po czym wsiadł do samochodu. Położył głowę na kierownicy. Nad czymś się zastanawiał.

Właśnie wtedy obok jego samochodu przeszły dwie dziewczyny. Jedną z nich rozpoznał błyskawicznie. To była Julie. Długo się wahał, czy powinien podejść, ale wydawało się to jedynym rozwiązaniem. Minęło kilkanaście minut zanim odważył się pojechać w ślad za

nieznajomą. Dziewczyny szły prędko. Patrick zatrzymał się tuż obok nich.

- Dziewczyny, wiem, że do odważnych świat należy, ale nie boicie się same wracać po nocy? - zapytał.

Szybko wyszedł, otwierając tylne drzwi samochodu. Nie spodziewał się odmowy. W końcu był Patrickiem Varnerem. Najślawniejszym aktorem młodego pokolenia.

- Dziękujemy ci bardzo, tajemniczy wybawco, ale jesteśmy już prawie na miejscu. Żałujemy, że nie pojawiłeś się czterdzieści minut temu, trzy kilometry dalej na zachód, skąd zaczęłyśmy swoją męczącą wędrówkę - odpowiedziała nieznajoma.

Wydawała się kompletnie obojętna i niezainteresowana. Słowa wypowiedziane przez dziewczynę całkowicie zbiły go z tropu, ale nie zamierzał się poddać. Zmusił się do kontynuowania rozmowy.

- Drogie panie, w takim razie pozwólcie, że potowarzyszę wam do końca tej męczącej drogi, bo chyba w istocie taka była, biorąc pod uwagę, że ledwie poruszacie ze zmęczenia nogami - zaproponował.

- W takim razie, drogi panie, skoro już poruszamy się w klimatach charakterystycznych dla dziewiętnastego wieku, pozwól, że odpowiem ci następująco: zaiste wielki to dla nas będzie zaszczyt móc z takim jegomościem odbyć dalszą drogę. Mam nadzieję, że przebywanie w naszym towarzystwie okaże się mało męczące i nużące. Czy mogę poznać imię wybawcy? - zapytała.

- Patrick - odpowiedział i wysilił się nawet na uśmiech. Nie wiedział, czy Julie żartuje, czy udaje, że go nie rozpoznaje.

- Dokąd właściwie idziecie?

- Do akademika przy szkole baletowej - odpowiedziała Julie.

- Jesteście tancerkami? - zapytał.

Wyglądał na zainteresowanego. Nie spuszczał z Julie oczu.

- Tak, a co? Chciałbyś przyjść na jakiś nasz występ? -zapytała całkiem spontanicznie i naturalnie, choć było widać, że sama przestraszyła się swojej śmiałości.

- Bardzo chętnie, a kiedy on się odbędzie? - dopytywał chłopak.

- Na koniec semestru, czyli za trzy miesiące - poinformowała.

- Trzy miesiące! Nie wydaje ci się, że dość długo każesz mi czekać, żebym mógł cię drugi raz zobaczyć? -zagadnął figlarnie, podnosząc brew. Kącik ust zadrżał mu delikatnie, a swoje wielkie, ciemne oczy wlepił prosto w jej. Rozpoznał onieśmielenie dziewczyny, po tym, jak zaczęła odgarniać stopą piach. Rozbawiło go jej zakłopotanie, ale i ucieszyło.

- A kto powiedział, że to będzie nasze drugie spotkanie? Może to będzie kolejne, po tych licznych, które odbędą się wcześniej? - powiedziała.

Widział, że kiedy to mówiła, zorientowała się, że właśnie z nim flirtuje. Dała Patrickowi świetny pretekst, by zaprosił ją na randkę.

- Aha. - Zwolnił kroku. Zastanawiał się, co ma jej odpowiedzieć. Jedną rękę oparł o biodro, drugą pocierał skroń, lekko zmarszczył brwi.

- Wiesz, nie potrafię wyjść z podziwu, jak sprawnie ukryłaś w tej wypowiedzi pewną sugestię... - Nie skończył zdania, które mogłoby wprawić dziewczynę w zakłopotanie. Nieznajomy uśmiechnął się przyjaźnie.

Znów wlepił wzrok w twarz Julie. Dziewczyna natychmiast dostała wypieków, jej niebieskie oczy zrobiły się mgliste. Jego odpowiedź była bardzo sprytna. Wymuszał na Julie bezpośrednio dokończenie zdania albo przynajmniej nawiązanie do rzuconej przez nią sugestii, która stawała się jawną prośbą o randkę.

- Skoro już karty zostały odkryte, to mógłbyś się jakoś do nich ustosunkować. Ułatwi to nam komunikację.

- Oj, uwierz mi, że nie omieszkam... Jutro, godzina dziewiętnasta przy tej bramie? - rzucił, zatrzymując się przed wejściem na teren jakiegoś prywatnego ogrodu.

- Jutro, dziewiętnasta przy tej bramie - powtórzyła z widocznym entuzjazmem.

Czuła ogromną radość, ale i ogarniał ją strach przed tym, co miało się wydarzyć. Bała się, że to tylko kwestia uroku chwili, a nazajutrz oboje będą zakłopotani. Może niewinny flirt wyda się im absurdalnym, żalospną wymianą zdań między obcymi sobie ludźmi? Lęk dziewczyny został rozwiany jego uspakajającym wyrazem twarzy, która nie wyrażała żadnych obaw.

- Jak będę się chwalił kolegom, że mam randkę, to jakie mam podać imię swojej ukochanej? - zapytał.

- Julie - odpowiedziała.

- Julie - to specyficzne imię dla zakochanej kobiety. Miejmy nadzieję, że nasza znajomość nie zakończy się, jak tej nieszczęsnej pary - zażartował.

- Też życzylabym sobie nieco łaskawszego zakończenia. Tymczasem do zobaczenia, nieznajomy!

- Do zobaczenia, Julie - odpowiedział i poszedł w stronę zaparkowanego auta.

Odwróciła się, aby na niego popatrzeć, jakby obawiała się, że go już nigdy nie zobaczy.

Tymczasem Patrick wrócił do samochodu. Był pewien, że spotkanie dało efekt, jakiego się spodziewał. Spodobał się jej. Miał jednak wątpliwości, czy powinien kontynuować znajomość. Z natury był złym człowiekiem, zdolnym do najgorszych rzeczy. Ona odwrotnie. Nie to jednak okazywało się największą przeszkodą. Patrick nigdy nie nawiązywał poważnych relacji z kimkolwiek, tym bardziej z dziewczyną, która mogłaby mieć mu umysł.

Nie był zwykłym chłopakiem. Stworzono go do konkretnych działań. Przeraziła go myśl, że mógłby się zakochać. Miłość jest ludzką słabością. On zwykłym człowiekiem nie był, ale w tej chwili poczuł się, jakby nim był.

Kolejny dzień okazał się stresujący. Pierwszy raz czuł presję i bał się porażki. Za godzinę miał spotkać się

z Julie przy bramie starego ogrodu. Miliony razy odtwarzał w głowie wczorajsze spotkanie. Najbardziej utkwił mu w pamięci widok jej zakłopotania. Lekko czerwone policzki, zamglony wzrok, spuszczone w dół głowa, nerwowe odgarnianie włosów - dziewczęce, urocze i takie naturalne. Do dziś, gdy Patrick wspominał tę sytuację, usta wykrzywiały mu się na kształt uśmiechu. Czar mógł jednak prysnąć. Co się stanie, gdy oboje będą milczeć, gdy napięcie sparaliżuje im myśli i mowę? Stał za rogiem akademika, towarzyszył jej od początku drogi na spotkanie. Zachował odpowiednią odległość i obserwował ją. Wydawała się lekko zaniepokojona, choć próbowała walczyć ze zdenerwowaniem. Zaciskała pięści, wyglądała, jakby spierała się sama ze sobą. Czasem bez kontroli machała ręką. Patrick się upewnił, że oboje mają wątpliwości przed tym spotkaniem. Ciekawe, czy z tego samego powodu...

Dziewczyna pokonywała kolejne etapy drogi. Mijała sklepy, skręcała w następne uliczki. On już nie szedł za nią. Stanął w miejscu. Stchórzył, czy się rozmyślił? Nie wiadomo, po prostu nie przyszedł. Wezbrała w nim agresja. Potrzebował ją rozładować. W takich chwilach robił to, w czym był najlepszy. Musiał zniszczyć porządek, zakłócić rytm. Spowodować nagłe nieszczęście. Biegł przed siebie, w końcu zatrzymał się przy autostradzie. Denerwował go hałas jadących samochodów. Moment wymijania był bardzo głośny. Pojazdy prześcigały się w zwiększaniu prędkości. Nie wytrzymał.

Musiał spowodować kolizję. Autobus wypuszczał zbyt wiele spalin, był zatłoczony, nie powinien wieźć tylu pasażerów! Kierowca tira natomiast czuł się jak Bóg. Jadąc tak potężną maszyną nie musiał liczyć się z innymi pojazdami. Podjeżdżał za blisko innych, trąbił na samochody osobowe. Patrick uznał, że musi go ukarać.

Nagle kierowca ciężarówki przestał panować nad swoim pojazdem. Na jego twarzy widać było przerażenie. Tir okazał się silniejszy od niego, w pewnej chwili sam zaczął wyznaczać sobie trasę. Obrął najgorszą z możliwych - przeciwny pas ruchu, po którym jechał autobus pełen pasażerów. Słońce oślepiło kierowcę tira, puścił kierownicę i poddał się losowi. Patrick był nieubłagany. Tir nie zdążył zmniejszyć prędkości, kiedy kierowca autobusu nieskutecznie i w panice zaczął hamować. Wszystko działo się bardzo szybko. Rozpędzone maszyny wpadły na siebie.

Siła uderzenia była tak duża, że na wpół wgnieciony autobus zmiotło na pobocze jezdni. Tir był mniej uszkodzony, ale kierowca leżał bezwładny na ulicy. Wypadł przez przednią szybę. Było słychać ogromny huk i krzyki innych kierowców. Na twarzach przechodniów widać było przerażenie.

Patrick z obojętną miną stał na poboczu i chciał zawrócić, gdy nagle dostrzegł pędzącą w stronę katastrofy Julie. Biegła tak szybko, że przybyła na miejsce wypadku równocześnie z karetkami pogotowia. Wyprzedziła lekarzy i jako pierwsza weszła do wgniecionego autobusu.

Nie było możliwe, żeby ktokolwiek wyszedł żywy z tej kolizji. Wydawało się, że nikt z gapiących się ludzi jej nie widzi. Patrick zauważył, że Julie krzyczy, prosi o pomoc, ale nikt nie reaguje. Zrozumiał, że dziewczyna jest w tym momencie niewidzialna dla innych. On był jedynym, który ją widział bardzo dokładnie. Wewnątrz pojazdu pojawiło się jasne światło, po czym jeden z ratowników krzyknął, że jakieś dziecko żyje.

„Kim ona do cholery jest?“, pomyślał Varner. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Podchodził coraz bliżej i dopiero zwrócony w kierunku Patricka wzrok Julie sparaliżował go na chwilę. Stał w miejscu. Gruby mężczyzna z siwą brodą zasłonił go. Wtedy Patrick wszedł do pobliskiego rowu, odczekał chwilę, następnie uciekł. Był jednak pewien, że Julie go widziała.

Rozdział trzeci

Mijały tygodnie. Byłam cała obolała. To był naprawdę ciężki rok na uczelni. Najgorsze, że wciąż trwał. Miałam nadwreżone mięśnie, stawy i ścięgna. Prawdziwa lekcja życia. Kilka dziewczyn zrezygnowało. Nie wytrzymały presji i zadań stawianych im przez pana Clarkea. Przygotowywał nas powoli do końcowego występu, musiał przydzielić poszczególnym dziewczynom role.

Alice była kompletnie niezainteresowana. Wymigiwała się od zajęć, jak tylko mogła. Udawała bóle głowy, brzucha albo twierdziła, że jest niedysponowana. Jak tylko chciała, to znalazła wykręt. Ja nie straciłam zapалу. Mimo ogromnego wysiłku, wiedziałam po co tu jestem. Zdawałam sobie sprawę, że ukończenie tej szkoły otworzy przede mną wiele możliwości. W żadnym wypadku teraz już bym nie zrezygnowała.

Mało kto wiedział, co, a raczej kto zaprzęta od miesięcy głowę Alice. Oczywiście tą osobą był Oskar. Po koncercie i nieudanym wieczorze, Alice nie straciła nadziei. Nie wiem kim musiałby okazać się Oscar, aby moja koleżanka dała sobie z nim spokój. Słuchałam opowieści

o Oskarze niemal codziennie, dlatego śmiało mogę powiedzieć, że znałam go lepiej niż jego rodzice.

Usłyszałam trzaśnięcie drzwiami. To Alice wróciła od koleżanek z niższego piętra.

- Julie, nie uwierzysz! Lepiej złap się czegoś, bo spadniesz z łóżka! - krzyknęła.

- Co takiego, niech zgadnę... Oskar cię pocałował.

- Oj, ale ty jesteś, a mówisz, że ja jestem złośliwa. Słuchaj...

- Będzie twoim chłopakiem?

- Oj, słuchaj...

- Zorganizował kolację przy świecach?

- Nie.

- To co takiego mógł zrobić, że jesteś w siódmym niebie?

- Robi grilla - powiedziała w końcu Alice.

- Grilla? I to jest takie nadzwyczajne?! W końcu mamy piękną jesień! Zaprosił cię?

- Nie.

- Nie? W takim razie już całkiem nie rozumiem twojego entuzjazmu...

- Oj, nie rozumiesz. Będzie tu. Mam szansę niby przypadkiem przejść obok nich, taka wyluzowana, piękna...

- Oj, ta, i w szpilkach, na grilla... - Nie wytrzymałam i się roześmiałam. - A nie, przepraszam! Ty przejdiesz tamtędy przypadkiem...

- Co cię ugryzło? - powiedziała żałośnie Alice.

- Nic, po prostu próbuję otworzyć ci oczy. Robi grilla, tak? Pod naszym akademikiem, z naszymi znajomymi? Jakby mu zależało, to uwierz mi, zrobiłby wszystko, żebyś tam była - powiedziałam dobitnie.

- Może się wstydzi albo myśli, że odmówię - wtrąciła Alice z nutką nadziei w głosie.

- Akurat! Oskar się wstydzi! Nie wygląda na takiego, który miałby kłopot z wyrażaniem myśli.

- Mimo wszystko mam zamiar przejść obok nich, a ty pójdziesz tam ze mną! - postanowiła Alice.

- Nie mogę się doczekać!

Minęło kilka godzin. Zgodnie z pomysłem Alice, coraz częściej wyglądałyśmy przez okno. Z naszego pokoju miałyśmy idealny widok na cały campus, dlatego mogłyśmy łatwo zarejestrować początek grillowania. Około godziny dziewiętnastej stojąca wciąż przy oknie Alice, przywołała mnie do siebie.

- Patrz, idzie! Widzisz, założył czerwoną bluzę -powiedziała podniecona.

- A kto lezie koło niego? - zapytałam.

- Nie wiem, nie znam, ale zaraz... to chyba jakaś dziewczyna!

- I mnie się tak wydaje. Może to jego dziewczyna...

- No co ty?! On się z nikim nie spotyka, wiedziałabym.

- Skąd?

- Z Facebooka.

- A no tak, ten portal, to prawdziwa kopalnia wiedzy - powiedziałam ironicznie.

- A właśnie, sprawdzałaś czy ma tam konto Patrick?

- Sprawdzałam, ale nie ma.

- Ach, jak zwykle największych przystojniaków tam brak - skwitowała Alice. - Co to za laska? - dodała. - Cały czas mnie to niepokoi. Musimy tam pójść i przyjrzeć jej się z bliska. Jak wyglądam?

- Już chcesz tam iść?! Poczekaj chwilę, niech rozpalą tego grilla i trochę posiedzą, a nie tak nagle wyskoczysz... Bo zgadnie, że przyszłaś specjalnie, żeby się wprosić. Siedź na tyłku!

- Dobra, już dobra. Poczekam trochę. Julie, masz lepszy wzrok. Zobacz czy ładna?

- Kto?

- No ta dziewczyna, z którą przyszedł Oskar. Co ty taka niekumata?

- Nie wiem, zasłonił ją teraz jakiś gość.

- Oj, chodź już, bo tu zaraz jajko zniosę! - nalegała Alice.

Poszłyśmy. Zatrzymałyśmy się przy głównym wejściu do akademika. Alice zaczęła się wahać.

- Iść, czy nie iść... ?

- Alice, wiem, że i tak pójdziesz, więc nawet nie żartuj.

- A może lepiej przedtem zadzwonię do niego?

- Żartujesz?! Po co? Teraz to przywaliałaś jak łysy grzywką o kant kuli.

- Nie, no przecież nie ze swojego numeru, tylko z twojego sygnał bym mu puściła.

- Przestań! Alice, nie zachowuj się jak dziecko. Co byś tym zyskała?

- Usłyszałabym jego głos.

- Sorry, ja nie jestem ekspertką od związków dam-sko-męskich, ale mam nadzieję, że posłuchanie głosu faceta, który ci się podoba, w słuchawce telefonu komórkowego, to nie jest szczyt twoich marzeń.

- Bo jesteś mało romantyczna.

- Nie, bo wolałabym nie zakochać się w kimś, kogo zupełnie nie znam. Ty go sobie po prostu wkręciłaś, wmówiłaś i zrobiłaś z niego bóstwo, i chodzący ideał.

- Powiedz mi jeszcze, że nie myślisz ciągle o Patricku? Pewnie do tej pory nocami śnisz o nim! Jak wylania się z ogrodu pełnego kwiatów... - powiedziała ironicznie Alice.

- Nieprawda, już dawno o nim zapomniałam!

- Akurat...

Zagryzłam wargi. Alice miała rację, ale wszystko, co powiedziałam na temat jej uczucia do Oskara uważałam za rozsądne. Ale czułam się jak hipokrytka. Alice dawałam dobre rady cioci Julie, a sama jeszcze od czasu do czasu bujałam w obłokach. Szukałam w Internecie informacji o chłopaku moich marzeń. Google wyszukiwały mnóstwo zdjęć Patricka, a ja je ściągałam na swój komputer, żeby móc wieczorami analizować każdy szczegół jego twarzy. Już nie wspomnę o tym, ile razy

obejrzałam film i wywiad z jego udziałem. Z jednej strony się cieszyłam, że jest sławny i mogę się dowiedzieć, co teraz robi i nad czym pracuje, z drugiej - ta sytuacja była dla mnie męcząca. Ciągłe odświeżanie, rozgrzebywanie i życie w wirtualnym świecie. On pewnie dawno przestał o mnie myśleć.

- Siądź tu na chwilę - powiedziała nagle Alice, wyrywając mnie z rozmyślań.

- Po co?

- Bo musimy zaplanować, co mu powiem, jak mnie zaczepi.

- Powiesz, że idziesz do sklepu.

- Uwierzy?

- Oj, przestań, chodź już - ponaglałam.

- Hej, dziewczyny! - Nagle usłyszałyśmy głos Oskara.

- Cześć! O, grilla robicie? - zapytała Alice, idealnie udając zaskoczoną.

- No, przyłączycie się?

- Chętnie, ale nie jesteśmy odpowiednio ubrane! -krzyknęła Alice.

- To przebierzcie się i przyjdźcie - zaproponował Oskar.

- Nie przedłużaj już tego, zgódź się - szepnęłam do przyjaciółki.

- Dobra, pójdziemy po piwo i zaraz wrócimy - odpowiedziała Alice. - Udało się! - dodała parę metrów dalej.

Radość Alice była tak wielka, że aż trudno było uwierzyć, że jeden chłopak potrafił aż tak poprawić jej humor. Wydawało mi się to wariackie.

Gdy wracałyśmy ze sklepu, Alice jeszcze tysiące razy zastanawiała się, czy aby na pewno powinna do nich dołączyć i rzecz jasna, kim jest towarzysząca mu dziewczyna. Miałyśmy pecha, bo gdy z nim rozmawiałyśmy, ona stała odwrócona do nas tyłem. Wiedziałyśmy tylko, że jest chuda i wysoka.

Niosłyśmy reklamówkę pełną puszek z piwem. Gdy dotarłyśmy na miejsce, zaczęłam żałować, że zdecydowałyśmy się tu przyjść. Oskar w ogóle nie zwrócił na nas uwagi. Rozmawiał z jakimś kolegą o filmach Quentina Tarantino. Czujemy się jak idiotki. Na domiar złego dziewczyną, która przyszła z Oscarem, okazała się Judith. W tym momencie siedziała na ławce sama, sączyła piwo, zerkając na innych. Co jakiś czas spoglądała na Oskara, on natomiast nie odwrócił się ani razu. Dopiero gdy nas zobaczyła, przybrała minę pewnej siebie. Wykrzywiła się w uśmiechu, wstała z ławki i podeszła do Oskara. Pogłaskała go po plecach i wlepiła rozradowany wzrok w Alice. Cały akademik wiedział, że Alice kocha się w Oskarze. Widocznie wiadomość ta dotarła i do Judith. Poczułam, że Alice uszczypnęła mnie w biodro i choć mnie to zabolalo, nie dałam tego po sobie poznać. Spojrzałam na przyjaciółkę. Alice chciała natychmiast stąd odejść. Delikatnie potrząsnęłam głową i wyszeptałam:

- Nie ma mowy, zostajemy. Udawaj, że się dobrze bawisz. Ignoruj Judith, pij, śmieję się! Jak Oscar podejdzie do ciebie to pokaż Judith fuckyou.

Zadziałało. Alice otworzyła piwo, usiadła wraz ze mną na trawie i tak wczuła się w rolę zadowolonej i szczęśliwej, że w pewnym momencie obie przestałyśmy udawać.

- Ej, Julie, czemu właściwie Judith tańczy, a nie gra w kosza? - zapytała Alice.

- Nie mam pojęcia, ale założę się, że stara kazała jej wyglądać przez komin i sprawdzać, co tam słycać w okolicy.

- Gdyby założyła szpilki, to byłaby wyższa od Oskara. Chciałabym to zobaczyć.

- Pewnie zawadza w jego domu o sufit.

- Sciąga, włosami pajęczyny.

- A z żyrandola kurz.

- Pewnie przy okazji wykorzystują ją do zakładania firanek.

- Tylko ona jest w stanie spojrzeć żyrafie prosto w oczy.

- A trąbę słońa mieć na wysokości krocza.

- Wie co dobre!

- Nieźle wykombinowała, pewnie chodzi codziennie do zoo.

- Tam, gdzie słoń, tam i Judith.

- A wiesz jak ciężko byłoby ją utopić?

- A no tak, wszędzie za płytka woda.

Śmiałyśmy się rozbawione, gdy nagle usłyszałyśmy:

- Z czego się tak dziewczyny śmiejecie?

Przed nami stał Oskar. Szkoda, że Alice zapomniała pokazać Judith fuck you, ale to było do przewidzenia. W takiej sytuacji jedyne o czym Alice pamiętała i czego była pewna to tego, że rozmawia z Oskarem.

- A z niczego - powiedziała Alice.

„Mogła odpowiedzieć: gówno cię to obchodzi”, pomyślałam.

- Chcecie coś do jedzenia?

- Nie, dziękujemy - odpowiedziała Alice.

- To dobrze, bo nic już nie mamy - oznajmił Oskar i się głupio zaśmiał. Myślał, że w jakikolwiek sposób mnie albo Alice rozbawił? Chyba jeszcze nie wie, że z żartu powinny się śmiać co najmniej dwie osoby.

- Pójdziecie z nami później na bilard? - zapytał już całkiem poważnie. Domyślił się zapewne, że jego poprzedni tekst uznałyśmy za głupi.

- Nie, nie idziemy - odpowiedziała Alice. Pomyślałam, że nie przyjęła tej propozycji tylko

i wyłącznie dlatego, że nie potrafiła grać w bilard, podobnie zresztą jak ja. Po co narobić sobie obciachu przy koleśku, który ci się podoba... ?

- Szkoda, bo my idziemy, więc do zobaczenia innym razem. Fajnie, że przyszłyście. Alice, mówiłem ci, że dzisiaj ślicznie wyglądasz? - dodał na koniec.

Jedyne czego mogłam być pewna, to tego, że zapewne długo myślał nad tym tekstem i chciał, aby

zabrzmiał jak najbardziej naturalnie i spontanicznie. Co za frajer!

Alice się zaczerwieniła i spuściła wzrok. Oskar natomiast puścił do niej oko i odszedł.

- Julie, widziałaś to ?! - Alice po chwili niemal krzyknęła.

- Tak, Alice, widziałam - odpowiedziałam. Wcale nie musiałam udawać zniesmaczonej.

- Puścił do mnie oko i powiedział, że ładnie wyglądam.

- Yhy...

- Co? Widzę, że znów coś jest nie tak! - oburzyła się Alice.

- Masz całkowitą rację, też słyszałam, że to powiedział, tylko dziwi mnie twoja radość.

- Jak to, a ty byś nie chciała, żeby Patrick tak kiedyś do ciebie powiedział?

- Chciałabym, ale tylko i wyłącznie wtedy, gdyby uprzednio spędził ze mną trochę czasu i gdyby mnie nie olewał przez cały wieczór. Osobiście jest mi Oskara żal, to przykre być tak żalonym!

- Dobra, już nie rozmawiajmy na ten temat. Wracajmy do pokoju.

- Okej - odpowiedziałam krótko. Milczałyśmy do końca tego wieczoru. Dopiero następnego dnia przerwałyśmy tę dziwną ciszę.

- Julie, czemu właściwie tak nie lubisz Oskara?

- Bo jest w stosunku do ciebie nie fair. Jest zarozumiały i zbyt pewny siebie. Mam też wrażenie, że bardzo

dobrze wie, że ci się podoba i śmieje się z tego w duchu, a jednocześnie cię komplementuje, żebyś broń Boże nie wybiła go sobie z głowy. Cały czas podtrzymuje w tobie nadzieję, że może mu się podobać...

- Wow! Naprawdę tak to widzisz? Musiałby być niezłym chujem, żeby się tak zachowywać! A może po tym, jak Patrick nie przyszedł na spotkanie, to masz jakiś uraz do facetów i stałaś się w stosunku do nich podejrzliwa?

- Może, sama nie wiem, ale z Oskarem jest coś nie tak.

- A myślisz, że podoba mu się Judith? - spytała Alice wyraźnie zaniepokojona faktem, że wczoraj Oskar z nią przyszedł.

- Nie żartuj, taki słup telegraficzny!?! - zakpiłam złośliwie, chcąc mimo wszystko pocieszyć Alice. Nie chciałam, żeby poczuła się gorsza od Judith, mniej atrakcyjna. - A tak poważnie, to myślę, że Oskar nie jest jeszcze zdolny do żadnych głębszych uczuć i albo wynika to z tego, że jest niedojrzałym gnojkiem, albo po prostu z natury jest dupkiem. Tak czy siak, postaraj się go wybić sobie z głowy, bo nie jest wart twojego zainteresowania - dodałam, ale mówiąc to wiedziałam, że Alice będzie za nim szalała, póki go nie zdobędzie. W każdym razie w dalszym ciągu była to dla niej sytuacja niewyjaśniona i niepewna.

Mijał listopad, campus stawał się bezludnym terenem. Pogoda przestała dopisywać, coraz częściej padał deszcz. Nie było mowy o grillach i ogniskach. Temperatura

uniemożliwiła zorganizowanie kina w plenerze, gry w kalambury na świeżym powietrzu i siedzenie na kocach przy gitarze i śpiewach. Najwięcej osób można było teraz spotkać w bibliotekach, a nas na salach ćwiczeń. Został zaledwie miesiąc do naszego semestralnego występu. Pan Victor Clarke, kiedy tylko było to możliwe, kazał nam przychodzić na dodatkowe zajęcia. Twierdził, że nie jesteśmy nawet w połowie przygotowani do grudniowej choreografii.

Główna rola, o dziwo, przypadła mnie. Wcale nie poczułam się tym wyróżniona. Alice po prostu nie przychodziła regularnie. Wiedziała, że ojciec aż tak jej nie ukarze i na pewno, choć z miernym wynikiem, zda na kolejny rok studiów. Judith, choć pięknie tańczyła, była za wysoka i w związku z tym nie miała predyspozycji do grania głównych ról, a jedynie pobocznych, gdzieś w głębi sceny. Kilka innych dziewczyn odniosło kontuzje, najczęściej kolana, i nadwyreżyło ścięgna.

Mnie teoretycznie nic nie dolegało, ale psychicznie czułam presję ze strony pana Clarkea. Ciągłe był niezadowolony z mojej pracy. Z trudem znosiłam jego uwagi.

- Panno Ellis, to że ma pani główną rolę w przedstawieniu stało się w dużej mierze przypadkiem i przez liczne nieszczęścia innych pierwszorocznych. Doceń więc w końcu, że tobie jakimś cudem nic się nie przytrafiło, i że masz szansę pokazania się szerszej publiczności. Nie widzę w twoim tańcu pasji, wciąż za mało od siebie wymagasz. Zdajesz sobie sprawę z odpowiedzialności? Bo

mam wrażenie, że jesteś na biwaku. Słońce, plaża i zimne drinki tak cię pochłoneły, że zapominasz, do jasnej cholery, o czymś takim, jak ściągnięte stopy! Kontrolujcie każdy element swego ciała. Chcę widzieć porządne passe! Takie podstawy! Boże! - krzyczał co chwila pan Clarke.

Miał nas za nic, jakbyśmy przyszły tu z ulicy, wcześniej nie mając do czynienia z tańcem, i nagle zapragnęły zostać najlepszymi tancerkami na świecie.

Minęły dwa miesiące odkąd ostatni raz widziałam Patricka. Nie licząc oczywiście zdjęć oglądanych w Internecie i telewizyjnych wywiadów. Według Wikipedii, Patrick był ode mnie o cztery lata starszy. Ukończył filmówkę w Los Angeles. Grał jako mały chłopiec epizodyczne role u boku najślawniejszych artystów Hollywoodu. Teraz sam był najlepiej zapowiadającym się młodym aktorem. Na swoim koncercie miał taką kwotę pieniędzy, o której ja nawet nie śniłam. Fakt ten mnie jeszcze bardziej zniechęcał. Byłabym żałosna, myśląc, że dziewczyna z wioski, której rodzice ledwie wiążą koniec z końcem, w jakikolwiek sposób go zainteresuje.

Nie widząc dla nas jakiejkolwiek szansy, przyjąłem propozycję Martina, chłopaka z talentem muzycznym, który zaprosił mnie na spacer. Nie wiem czemu się zgodziłam, chyba z przekory i dla udowodnienia sobie, że są jeszcze inni interesujący mężczyźni. Martin był z natury cichy, spokojny i marzył o karierze wokalisty. Szczerze trzymałam za niego kciuki, choć w głębi serca

nie wierzyłam, że mu się uda. Był za mało wyrazisty, nie robił wokół siebie zamieszania, nie był awanturniczy. Na dodatek nie wyglądał atrakcyjnie, przypominał mi chomika. Miał chudą twarz, długi nos i lekko wysuniętą górną wargę.

Zważywszy na to, że wiał silny wiatr urywający nam głowy spacer okazał się fatalnym pomysłem. Martin szedł obok mnie wciąż coś mówiąc, ale nie byłam w stanie go słuchać. Zasłaniałam wtedy uszy, aby ochronić je od wiatru. Bałam się, że mnie przewieje.

Spotkanie okazało się wielką klapą. Marzyłam, żeby zaproponował kino albo restaurację. Nie wiem czemu nie wpadł na ten banalny pomysł.

Parę dni po naszym spotkaniu okazało się, że Martin się rozchorował. Wiadomość ta mnie wcale nie zdziwiła, w końcu w taki dzień jak tamten mogło go dopaść przeziębienie. Następnego dnia ktoś z akademika powiedział, że z Martinem jest coraz gorzej, gorączka nie ustępowała. Czułam się w obowiązku go odwiedzić. Poszłam więc do jego pokoju i zastałam Martina leżącego w łóżku. Uśmiechnął się, gdy mnie zobaczył.

- Cześć - zagadnął szczerze uradowany, po czym dopadł go kaszel. Podbiegłam do niego i poklepałam go po plecach. Kaszel ustąpił.

- Oj, powiem ci, że ten nasz spacer odbił się nieciekawie na twoim zdrowiu. Był u ciebie lekarz?

- Nie. Wiesz, na razie nie czuję się tragicznie. Mam nadzieję, że to zwykłe przeziębienie. Współlokatorzy

dają mi sok z cytryny, a na noc przynoszą z kuchni gorące mleko.

- Wiesz, ale może powinien cię obejrzeć lekarz. Coś by ci na pewno przepisał.

- Tak, ale wiesz, Julie - to kosztuje. Dla moich rodziców samo utrzymanie mnie tutaj jest ciężarem. Poza tym nie chcę ich niepotrzebnie niepokoić.

Skinęłam głową na znak zgody, bo wiedziałam, ile kosztuje dorosłych nasze wykształcenie. Sama pewnie postąpiłabym podobnie i wolałabym trochę dłużej poleżeć, aby zaoszczędzić na syropach. Porozmawiałam jeszcze chwilę z Martinem i poszłam na zajęcia. Gdy wróciłam do akademika, Alice oznajmiła, że Martina zabrało pogotowie.

- Jak to? Przecież męczył go tylko kaszel? - zapytałam zdziwiona.

- No co ty, nie powiedział ci... ? Od dwóch dni nic nie jadł. Miał gorączkę utrzymującą się w granicach czterdziestu stopni i problemy z oddychaniem. Powiedział swoim kolegom, że czuje, jakby miał zapchane słomą płuca. Stracił przytomność, ponoć zaraz po tym, jak wyszłaś. Jego współlokator Mike wezwał karetkę.

- O Boże, a ja nie zareagowałam, gdy powiedział, że ze względu na koszty nie wezwie lekarza!

Kolejnego dnia studenci jak pociskami przerzucali się złymi wiadomościami o stanie zdrowia Martina. Lekarze zrobili serię badań. Coś atakowało jego płuca. Antybiotyki nie działały, gorączka się utrzymywała, coraz

częściej tracił przytomność i nic nie jadł. Inni studenci odwiedzający go w szpitalu twierdzili, że Martin z trudem rozmawia. Podobno każde wypowiedane słowo było dla niego wysiłkiem. Miał chrypę i płytki oddech, dlatego cały czas z trudem łapał powietrze.

We wtorek, a był to trzeci dzień pobytu Martina w szpitalu, poszłam sprawdzić, jak się czuje. Na korytarzu zastałam zapłakaną kobietę. Od razu się domyśliłam, że to matka mojego kolegi. Podeszłam do niej, chcąc się przedstawić. Od razu wiedziała kim jestem.

- Kochana Julie, Martin tyle nam o tobie opowiadał. - Mówiła tak, jakby jej syn miał się już nie obudzić, jakby to był już koniec.

- Jak on się czuje? - zapytałam, choć się domyślałam, że zaraz otrzymam złe wieści.

- Lekarze nie wiedzą, jak mu pomóc. Ma zaawansowane zapalenie płuc. Lekarstwa nie pomagają, a choroba błyskawicznie się rozwija. Nie odzyskał jeszcze przytomności - mówiła matka Martina, wycierając chusteczką ciekące łzy.

Po powrocie do pokoju zastanawiałam się, jak mu pomóc. Nikt z mojej rodziny nie ukończył medycyny. Nie miałam też znajomego lekarza, którego mogłabym poprosić o konsultację. Martin od paru dni leżał nieprzytomny. Lekarze byli bezradni. Młody chłopak na ich oczach czuł się coraz gorzej, a oni nie potrafili nic więcej zrobić. Medycyna jeszcze nie знаła takiego leku,

który mógłby zwalczyć tę dziwną chorobę. Wszyscy czuli się bezsilni.

Mnie męczyły wyrzuty sumienia. W końcu przeze mnie mógł złapać wirusa,- poza tym randkę uznałam za totalną klapę. Czulałam się paskudnie. Gdy go pierwszy raz odwiedziłam, nawet mu nie podziękowałam za spotkanie, nie powiedziałam też, że mimo złej pogody przyjemnie spędziłam czas. W czwartek znów poszłam do szpitala. Przy łóżku nieprzytomnego kolegi zastałam zmęczonych rodziców.

- Niech państwo odpoczną chwilę, ja posiedzę przy Martinie. Jak się obudzi, to powiem, że państwo tu byli. Jeśli tylko będzie to możliwe, to poproszę pielęgniarkę o gorącą zupę. Może uda mu się coś zjeść.

- Dziękujemy ci skarbie, wrócimy najszybciej jak to będzie możliwe. Boże, mój Boże, niech anioł nad nim czuwa - rozpaczała matka Martina, wycierając cieknące wciąż łzy. Zanim wyszła, pogłaskała z czułością dłoń syna.

Patrzyłam na Martina. Był chudszy, bledszy pod oczami pojawiały mu się sińce i wory. Miałam wrażenie, że gdyby nie aparatura, nie potrafiłby już samodzielnie oddychać. Pompy pracowały regularnie i intensywnie. Wydawało się, że wszystko już stracone.

Nagle zdałam sobie sprawę, że widok umierającej osoby nie jest mi obcy. Przecież uzdrowiłam tę dziewczynkę w autobusie. Tylko że wtedy było inaczej. Jakbym działała instynktownie, jakbym wiedziała, co i jak

powinnam zrobić. Teraz położenie dłoni na czole Martina wydało mi się jedynie bezradnym wołaniem o pomoc, a nie receptą na walkę ze śmiercią. Mimo to spróbowałam. Przyłożyłam rękę do jego czoła, ale tak jak przypuszczałam - nic się nie zmieniło. Nie pojawił się nawet blady rumieniec na jego policzkach. Nawet nie drgnął mu najmniejszy palec.

W piątek szpitalne łóżko stało już puste. Martin zmarł. Nie obudził się ze śpiączki nawet na moment. Zaledwie w ciągu dwóch tygodni choroba pozbawiła go życia. Pierwszy raz ktoś tak młody, ktoś, kogo znałam - zmarł właściwie na moich oczach.

W dniu pogrzebu wszystkie zajęcia zostały odwołane. Studenci snuli się po akademiku, a każdy śmiech był odbierany jak coś złego i niewłaściwego.

Dopiero po tygodniu atmosfera na uczelni zrobiła się znośna. Studenci przestali wspominać nagły zgon kolegi i już nie doszukiwali się w tym wydarzeniu niesprawiedliwości Boga. Przestali histeryzować, że wirus, który zaatakował płuca Martina szuka teraz kolejnej ofiary. Wszelkie przypuszczenia ucichły. Odczułam ulgę, bo wspomnianie kolegi nie jest niczym złym, ale rodzące się z związku ze śmiercią plotki były denerwujące i niezdrowe.

W grudniu zima zaatakowała Nowy Jork. Loty samolotów zostały zawieszony. Martwiłam się, że rodzice nie będą mogli przyjechać na mój występ. Na szczęście

tydzień przed świętami śnieg przestał padać, a temperatura przestała spadać poniżej zera. Jednak na ulicach mnożyły się lekkie i niegroźne wypadki. Najczęściej były to złamania i zwichnięcia kończyn. Nic dziwnego, topniejący śnieg powodował uporczywą ślizgawicę. Nawet najbardziej odporni na zmienną pogodę tracili cierpliwość. Ludzie niechętnie wychodzili z domów.

W przeddzień naszego występu pan Victor Clarke łaskawie odwołał zajęcia. Doszedł na szczęście do wniosku, że musimy odpocząć, gdyż jutrzejsze przedstawienie będzie dla nas stresujące. Bał się też na pewno kontuzji, która pojawiając się, gdy wszystko było już dopięte na ostatni guzik, uniemożliwiłaby jakiegokolwiek występ. Nie mógł dopuścić, aby przez swoją lekkomyślność zniszczyć pracę całego zespołu.

Rodzice pojawili się z samego rana w dniu spektaklu. Byli w świątecznych nastrojach. Szczególnie mama, która zachwycała się bożonarodzeniowym wystrojem Nowego Jorku. Rzeczywiście, łyse drzewa były ozdobione kolorowymi lampkami. Nad ulicami porozwieszano jasne światełka. W witrynach sklepowych stały małe choineczki. Ponurym kamienicom uroku dodawały figurki wdrapujących się po drabinie mikołajów.

Byłam do tej pory tak przejęta występem, że nie zwróciłam uwagi na tak cudnie przyozdobione miasto. Dopiero przyjazd rodziców emanujących spokojem, charakterystycznym dla ludzi mieszkających w małych miejscowościach, uświadomił mi, że zaraziłam się tym

pędem, który tak bardzo mi się nie spodobał pierwszego dnia przyjazdu do Nowego Jorku.

Wmieszana w tłum kłębiący się na chodnikach nie zauważyłam, że mama zatrzymała się przy świątecznej witrynie. Nie byłam świadoma, że moje życie nabrało takiego tempa. Odwiedziny rodziców podziały na mnie jak kubel zimnej wody. Jednak nie trwało to długo, gdyż za moment cała się spięłam na myśl o zbliżającym się wielkimi krokami występie. Modliłam się jedynie o to, aby nie popełnić błędu i wykonać poprawnie całą choreografię. Chciałam uniknąć wstydu związanego z pomyłką. Nie chciałam też zawieść rodziców i pana Clarkea, który mimo wszystko mi zaufał.

Już od południa trwały przygotowania do występu. Na zapleczu fryzjerki dwoiły się i troiły, aby włosy wytrzymały wszystkie figury wykonywane przez tancerki, a koki pozostały w nienaruszonym stanie. Ze mną jak zwykle miały największy problem. Leki w takiej chwili to największa zbrodnia i prawdziwe przekleństwo. Co zrobić, żeby żaden nie postanowił wysunąć się z większego pasma? Poza tym ubrania... począwszy od biustonoszy, którym odpinały się ramiączka, przez spódniczki, które okazywały się za ciasne lub za krótkie, a skończywszy na dziurawych getrach wprowadzały dodatkową nerwówkę i chaos.

Dziewczyny uchylały co jakiś czas delikatnie zasłonę, aby móc zorientować się w liczbie widzów. Myny dziewczyn zdradzały, że przybywało coraz więcej gości. Chyba żadna z nas nie zdawała sobie sprawy z rangi

tego występu. Fotele na widowni wciąż się zapępniały, a tancerki za kulisami wpadały w coraz większą panikę. Czekanie na występ w takiej atmosferze było trudne. Małam ściśnięty żołądek i wściekałam się na dziewczyny, że nie potrafią się opanować i zarażają mnie swoją histerią. W końcu do garderoby wszedł pan Clarke. Zawołał nas do siebie. Gotowe już do występu tancerki podbiegały kolejno do tworzącego się wokół instruktora kółka.

- Pamiętajcie o stopach i plecach. Macie wciągać brzuchy i ściągać łopatki! Pokazujcie szyje i łapcie kontakt wzrokowy z widownią. Wasze twarze mają być autentyczne, mają pokazywać wasze emocje - powiedział pan Clarke. Mówiąc o szyi nie omieszkał tego zademonstrować i autentycznie wydłużył się o parę centymetrów.

Czekałam na radę skierowaną bezpośrednio do mnie.

- Julie, twoja skłonność do braku dokładności i nie-dbanie o szczegóły mogą uczynić ten występ nijakim, dlatego proszę, postaraj się nie ośmieszyć! Gdy pokazujesz, że coś chwytasz, to wyobraź sobie, że rzeczywiście to chwytasz i przyciągasz do siebie! Niech twoja mina też to pokazuje. Widzom będzie wtedy łatwiej odczytać to, co masz im do przekazania. A teraz szybciotko na scenę! - dodał na koniec.

Ponieważ wszystko działo się tak szybko, nie zdążyłam przeanalizować uwag pana Clarkea. I słusznie, bo pewnie jak zwykle by się okazało, że główną rolę otrzymałam przez przypadek.

Gdy tylko weszłam na scenę, zaczęłam wzrokiem szukać rodziców. Chciałam zatańczyć dla nich. Niestety jedynie parkiet i scena były oświetlone, widzowie ginęli w mrokach teatru. Zanim dołączałam do układu miałam trzy minuty na przyzwyczajenie wzroku do ciemności.

Przeczesałam wzrokiem całą publiczność w celu odnalezienia rodziców. Zamiast nich zobaczyłam w odległości trzech rzędów opartego o marmurową kolumnę Patricka! Przez chwilę próbowałam zebrać myśli, serce podskoczyło mi do gardła, a brzuch dał sygnał, ale inny niż dotychczas - przyjemniejszy. Na moment zapomniałam, gdzie jestem i właściwie po co tu jestem. Kończyła się choreografia Judith i teraz następowała moja kolej. Alice, widząc moją dezorientację, spojrzała na mnie groźnie. Udało się jej w ostatniej chwili sprowadzić mnie na ziemię.

Partnerował mi Jack, niezwykle dobrze zbudowany i wygimnastykowany tancerz, perfekcjonista, drugie wcielenie Victora Clarkea. Właściwie można uznać, że poprowadził ten występ. Nie wiem, co by się stało, gdyby partnerował mi ktoś gorszy, kto czekałby na reakcje tancerki, a nie sam brał sprawy w swoje ręce. Dzięki niemu wszystko poszło gładko. Okazało się, że miesiące treningu dały rezultaty, choreografię wykonywaliśmy automatycznie. W określonym momencie Jack, trzymając mnie jedną ręką za biodro, obracał mnie nad swoją głową. Myślę, że to było widowisko, które zrobiło wrażenie nawet na Patricku.

Dopiero brawa publiczności uświadomiły mi, że to już koniec występu. Nie upadłam, nie potknęłam się, nie pomyliłam kroku. Wszystko poszło dobrze.

Nie potrafiłam się oprzeć, aby jeszcze raz spojrzeć w stronę kolumny. Patrick nadal tam stał i uśmiechał się do mnie. Klaskał wraz z innymi. Nawet zapomniałam o rodzicach, którzy też gdzieś tam zajmowali miejsca na widowni. Czułam się, jakbym ten występ zadedykowała Patrickowi. Próbowałam odgonić tę myśl od siebie. Przecież w żaden sposób mnie nie wspierał, nie interesował się mną od miesiący, a ja nagle mam jeść mu z ręki i być wdzięczna za to, że się raczył pojawić na występie? Po co przyszedł? Chciał, żebym go zobaczyła? Przypomniała sobie o nim? A może przyszedł z grzeczności, bo go kiedyś zaprosiłam na ten cholerny występ?! Byłam wściekła na siebie, że w ogóle o tym myślę. Nie powinnam się do niego odezwać. Miałam nadzieję, że nie odwzajemniłam jego uśmiechu, ale nie pamiętałam, czy to zrobiłam. Za wiele się wokół mnie działo, dlatego nie kontrolowałam wszystkiego, co robię.

Po nas układy prezentowały inne grupy, my w tym czasie zdążyłyśmy się w garderobie przebrać. Nie interesowały mnie w tej chwili uwagi pana Clarkea dotyczące występu. Na pewno miał ich mnóstwo. Chciałam wybiec na widownię i upewnić się, że Patrick nadal gdzieś tam stoi. Oczywiście idealnym pretekstem było odszukanie rodziców, którzy na pewno pękali z dumy.

Gdy rozpoczęła się przerwa, wybiegłam w stronę publiczności. Miałam włosy upięte w kok, na sobie zaś obcisłe jeansy i luźną koszulkę odsłaniającą jedno ramię. W całym teatrze zapalano kolejno światła i wszystkie twarze stawały się wyraźne i rozpoznawalne. Gdy tylko lampy oświetliły prawą stronę widowni i kolumnę, od razu skierowałam tam wzrok. Patrick nie ruszył się z miejsca, nie zniknął jak zwykle, ale stał nieruchomo oparty o kolumnę i śmiało patrzył mi w oczy. Poczulałam się wspaniale. W jego oczach widziałam uznanie. Dumę przemieszana z zdziwieniem, z pozytywnym zaskoczeniem. Nie wiem czy powinnam się tak przejmować jego opinią. Prawda była jednak taka, że w tej chwili najbardziej interesowało mnie zdanie Patricka. Nawet opinia ojca Alice, rodziców, czy kogokolwiek innego była mniej istotna od opinii Patricka.

Nie chciałam zdradzać się ze swoim zadowoleniem, wręcz odwrotnie, przybrałam maskę obojętności. Tego wieczoru byłam jednocześnie szczęśliwa i wściekła. Zawsze wszystko, co do tej pory robiłam, robiłam dla siebie i dla rodziców, w tym momencie ta hierarchia się zachwiała. Nie chciałam tego, dlatego walczyłam ze sobą i swoją słabością do tego obcego chłopaka, który nie wiedzieć czemu miał na mnie taki wpływ.

Rodzice stali w niewielkiej odległości od Patricka. Idąc w ich stronę i jednocześnie w stronę Varnera dostrzegłam przez ułamek sekundy panikę w jego oczach.

Jakby się bał, że bezczelnie będę domagała się wyjaśnień. Myślę, że poczuł ulgę, gdy go minęłam. Byłby zapewne zaskoczony, gdybym tak po prostu, bez zbędnych ceregieli podeszła do niego. Możliwe, że gdy zatrzymałam się przy rodzicach, poczuł się zlekceważony i pomyślał, że jego przybycie na występ odebrałam bez większych emocji. Chciałam, żeby tak było. Chciałam, żeby poczuł się mniej ważny, niż to było w rzeczywistości. Czułam teraz, że mam nad nim przewagę, podobnie zapewne jak on w stosunku do mnie, gdy nie przyszedł trzy miesiące temu na umówione ze mną spotkanie. To taka głupia satysfakcja, że drugiej osobie zależy na tobie bardziej, niż tobie na niej.

Rodzice mocno mnie przytulili, prawili komplementy, mamie nawet zakręciła się łza w oku. Ojciec natomiast, choć zadowolony z występu córki, patrzył na mnie z niepokojem. Idąc za moim wzrokiem odszukał obiekt mojego zainteresowania i wzburzenia. Widać było, że jest zmartwiony i rozczarowany. Nie wiem dlaczego. Czy ze zwykłej ojcowskiej troski o bezpieczeństwo i szczęście córki? A może pałał niechęcią do Patricka odkąd tylko go zobaczył... ?

- Córeczko, kim jest ten chłopak, który stoi oparty o kolumnę? Znacie się? - zapytał w końcu, widocznie nie potrafił powstrzymać ciekawości.

- To kolega, aktor, może nawet znasz go z telewizji. Poznałyśmy go z Alice trzy miesiące temu - odpowiedziałam, siląc się na spokój.

Wiadomość o aktorstwie i karierze Patricka nie zrobiła na ojcu najmniejszego wrażenia. Jestem pewna, że od mojego wyjazdu stojący w salonie telewizor był nadal jedynie siedliskiem kurzu. Na pewno nie został włączony nawet na pięć minut.

- Chyba dobrze się znacie, skoro przyszedł na występ i patrzy teraz ciągle na nas. Nie spuszcza wzroku nawet, gdy ja na niego patrzę. Chyba dosyć bezczelny i odważny jest ten twój kolega.

- Nie wiem, tato, aż tak dobrze go nie znam - odpowiedziałam.

Zdziwiła mnie ta niechęć ojca do Patricka. Nigdy wcześniej nie reagował tak wrogo na widok moich znajomych.

Zaraz miała skończyć się przerwa. Widzowie zaczęli z powrotem zajmować swoje miejsca, więc i ja powoli opuszczałam rząd, w którym siedzieli rodzice. Chciałam przejść obok Patricka, udając, że go nie widzę. W ten sposób mogłam dać znać zaniepokojonemu ojcu, że chłopak oparty o kolumnę nie stanowi zagrożenia dla bezpieczeństwa jego Julie. Nie spodziewałam się, że Patrick odezwie się do mnie, gdy będę przechodziła obok niego.

- Świetny występ, gratuluję, byłaś zjawiskowa - zagadnął, lekko się uśmiechając.

- Dzięki - odpowiedziałam krótko.

- Naprawdę dziękuję, że mnie wtedy zaprosiłaś. Nigdy nie widziałem takiego wspaniałego pokazu tańca. Gdy twój partner tobą obracał... To było niezwykle.

- To tylko partner od tańca - wtrąciłam i od razu ugryzłam się w język. Po co ja się tłumaczę. Tak jakbym chciała mu koniecznie dać do zrozumienia, że nie mam chłopaka.

- Czy jeszcze kiedyś się zobaczymy? - zapytał nagle.

Byłam zaskoczona. Śmiałe pytania zbijają mnie z tropu. Poza tym po tych miesiącach milczenia, nagle chce się ze mną spotkać?! Jeszcze nie zdążyłam usłyszeć przeprosin za nieprzybycie pod bramę ogrodu. Poczulałam się jakby ze mnie drwił albo traktował mnie niepoważnie!

- Raczej nie sądzę, żebyś kiedykolwiek mnie zobaczył - odpowiedziałam szybko, choć wcale nie chciałam kończyć tej rozmowy. Przeciwnie, miałam nadzieję, że i on jej nie przerwie. Marzyłam o tym, żeby mu wszystkie swoje żale wygarnąć. I się udało.

- Czemu jesteś na mnie zła? O to, że nie przyszedłem wtedy, kiedy się umówiliśmy? - mówił to bez jakichkolwiek wyrzutów sumienia, jakby wcale nie żałował i nie miał potrzeby tłumaczenia się.

Nie wiedziałam, co mam myśleć. Z jednej strony zachowywał się tak, jakby mu na mnie zależało, a jednocześnie rozmawiał ze mną, jak z zakochaną idiotką, która na pewno nie odmówi mu spotkania. Tego było za wiele. Wybuchnęłam, na chwilę zakłócając ciszę widzom, którzy zaczęli spoglądać na mnie z dezaprobatą. Tylko na mnie, bo Patrick nadal stał ze stoickim spokojem oparty o kolumnę, a ja po prostu nie umiałam powstrzymać wybuchu złości.

- Pogieło cię!? No wiesz, z radości to ja nie skakałam! Czekałam na ciebie prawie godzinę, a ty teraz przychodzisz jak gdyby nigdy nic i domagasz się z mojej strony uśmiechu i podziękowania za to, że łaskawie się pojawiłeś?! W dupie mam twoją obecność tutaj! I daj mi spokój, bo zachowujesz się jak ostatni palant! -Kątem oka zarejestrowałam szok na jego twarzy. Potarł górną wargę i miał spuszczone głowę. Nagle wyszedł, nie spojrzawszy już w moją stronę.

Stojąc w ciemnościach na schodach, poczułam na sobie czyjś wzrok. To był ojciec, jako jedyny z publiczności nie oglądał występu, tylko patrzył na mnie. Myślę, że nie słyszał naszej wymiany zdań, ale moja gestykulacja zdradziła, że rozmowa nie była przyjemna. Nie wiem, co ojciec o tym myślał. Nie miałam siły, aby się nad tym w tej chwili zastanawiać, ale wyglądał na zadowolonego.

Marzyłam o powrocie do akademika i o przedyskutowaniu z Alice dzisiejszego zwariowanego wieczoru.

Rozdział czwarty

Zapadł zmrok. Nowy Jork spowiała jesień. Z drzew spadały różnobarwne liście. Wiatr unosił je w powietrzu dłuższą chwilę, zanim opadły na dachy, parapety, trawniki i chodniki.

Był październikowy wieczór. Przed bramą do ogrodu stał Patrick. Poprzedniego dnia miał się tu spotkać z Julie, ale w ostatniej chwili się rozmyślił i kazał dziewczynie na siebie bezskutecznie czekać.

Dzisiejszy dzień był dla Patricka potwierdzeniem jego przypuszczeń. Właśnie minęła godzina, jak Julie przywróciła życie małej dziewczynce, która była jedną z pasażerek autobusu, który zderzył się czołowo z tirem. Wszyscy uczestnicy wypadku zginęli na miejscu, jedynie mała dziewczynka za sprawą Julie odzyskała zdrowie. Patrick widział to wszystko bardzo dokładnie, ponieważ stał parę metrów dalej od miejsca katastrofy.

Gdy zobaczył Julie pędzącą co sił w nogach w stronę autobusu, wiedział, że zaraz wydarzy się coś niezwykłego. Był świadkiem cudu, jako jedyny mógł zobaczyć wszystko tak dokładnie. Dla innych Julie była niewidzialna. Patrick zwrócił uwagę na jej nieskazitelnie

białą dłoń, którą dziewczyna położyła na nóżce dziecka. Widział, jak dziecko powoli otwiera oczy, jak goją się jego wszystkie rany. Widział też zszokowany wyraz twarzy Julie, gdy przyglądała się własnym dłoniom, i jak rozglądała się wokół siebie, próbując wszystko zrozumieć. Chyba zaczęła się domyślać, że nie jest zwykłym człowiekiem.

Patrick natomiast, będąc całkowitym przeciwieństwem Julie, bardzo szybko się zorientował, że dziewczyna, o której wiedział na razie tylko tyle, że jest tancerką, okazała się być też aniołem. W jego świecie nie było miejsca dla aniołów. On, który powodował wypadki, choroby i kalectwa, który zsyłał na ludzi nieszczęścia i cierpienie był naturalnym wrogiem Julie. Gdyby się w niej zakochał, czułby się słabszy, zdolny do uczuć, empatii, a przecież on nie miał prawa mieć jakichkolwiek skrupułów. Domyślał się, że dziewczyna nie będzie chciała z nim rozmawiać.

Kolejny miesiąc Patrick spędził na planie filmowym. Będąc w pracy dobrze się bawił, praca zaprzętała mu całkowicie jego myśli i nie miał czasu na wspomnianie Julie. Dopiero wieczorami, kiedy wracał do domu, i kiedy rozstawał się z kolegami, przypominał sobie o dziewczynie. Szedł wtedy pod jej akademik. Wdrapywał się na drzewo i wpatrywał w okno jej pokoju. Widział ją, jak się śmiała, jak rozmawiała z Alice, jak się malowały i przebierały. Czasem widywał też ją smutną, gdy siedziała i klikała od niechcienia w klawiaturę laptopa. Nie

wiedział, że niemal co wieczór wyszukiwała w Google jego zdjęcia, że oglądała filmy i wywiady z jego udziałem, aby czegokolwiek się o nim dowiedzieć. Widział jedynie, że bywała czasem przygnębiona, szczególnie wtedy, gdy nie towarzyszyła jej Alice, gdy zostawała w pokoju sama.

Mijały tygodnie, na dworze robiło się coraz chłodniej, wiał porywisty wiatr.

Tego dnia odwołano zdjęcia na planie i Patrick skończył pracę wcześniej. Już przed godziną osiemną krążył wokół akademika, chcąc przynajmniej z daleka popatrzeć na Julie. Udało się. Dziewczyna w czerwonym berecie otwierała główne drzwi akademika. To była Julie. Poznał ją po blond lokach zakrywających jej plecy. Niestety Julie nie była sama. Towarzyszył jej kolega.

Gdy podeszli bliżej do drzewa, za którym ukrywał się Patrick, jego twarz przybrała ironiczny wyraz. Usta wykrzywiły się złośliwie. Patrick był wściekły, nie uznawał rywali.

Niedługo potem Martin zachorował. Patrick obserwował Alice również w szpitalu i widział jej wielkie przygnębienie. Był świadkiem, jak dziewczyna przyłożyła niepewną dłoń do czoła kolegi, ale Martin nie odzyskał przytomności. Kolejne dni były tylko czekaniem na koniec.

Zbliżał się dzień semestralnego występu. Patrick dokładnie wiedział, o której godzinie grupa Victora Clarke'a

pojawi się na scenie. Trzymał nie raz w ręku zaproszenie do teatru, w którym dnia szesnastego grudnia miał się odbyć występ utalentowanych studentów prestiżowej szkoły tańca. Nigdy wcześniej nie oglądał profesjonalnego pokazu.

Tłumy gości wchodziły do teatru. Już przy kasach biletowych czuło się podniecenie widzów. To nie była zwykła publiczność. Patrick rozpoznał twarze reżyserów, kamerzystów, scenarzystów i aktorów. Na bilecie, który trzymał w ręce był wydrukowany numer jego miejsca. Powinien skierować się w stronę pierwszego rzędu, ale stanął po prawej stronie widowni, opierając się o kolumnę.

Punktualnie o dziewiętnastej na scenie pojawiły się tancerki. Patrick obserwował Julie, która zajęła miejsce z boku sceny. W tym samym czasie światło reflektora wyraźnie oświetliło jego postać. Wtedy właśnie Julie wlepiła w niego swój zszokowany wzrok. Patrick widział zakłopotanie i niedowierzanie na jej twarzy. Zauważył, że jego widok zupełnie ją zdekoncentrował, co wywołało na jego ustach uśmiech.

W końcu przyszła kolej na występ Julie. Tancerka wpadła w ramiona przystojnego, umięśnionego partnera, który podniósł ją do góry. Trzymając Julie na podniesionej do góry ręce, obracał nią w powietrzu. Obcisły strój uwydatniał jej jędrne, smukłe ciało, a charakterystyczne, delikatne ruchy dłoni dodawały jej lekkości i dziewczęcości. Była tak cudownie prawdziwa, tak

autentyczna. Spięte w kok włosy odsłaniały jej anielskie rysy twarzy - duże, przenikliwe, niebieskie oczy i wyraźnie zarysowane kości policzkowe. Czoło miała białe i wysokie, usta blad różowe. Wszystkie ruchy wykonywała perfekcyjnie, w dopracowany i kontrolowany sposób. Miała świadomość swojego ciała i wspaniale to uwidoczniła w tańcu. Na twarzy Julie nie było widać żadnego wysiłku, a jedynie towarzyszące tańcu emocje. Nawet Patrick potrafił je odczytać.

Głos płynący z głośników poinformował o przerwie. Lampy włączane kolejno oświetlały widownię. Patrick wciąż stał przy kolumnie i wraz z publicznością bił brawa. Wtedy z garderoby wyłoniła się Julie. Dostrzegł, że przez ułamek sekundy zatrzymała na nim wzrok. Nie zareagował, ale nadal pilnie śledził każdy jej ruch i gest. Zaczęła biec w jego kierunku, jednocześnie entuzjastycznie machając ręką. Zatrzymała się jednak przy dwojgu dorosłych osób, które zapewne byli jej rodzicami.

Patrick nie przestawał na nią patrzeć, a i ona skrycie zerkała kątem oka, aby upewnić się, czy chłopak nadal stoi przy kolumnie. Wymianę ich spojrzeń dostrzegł ojciec dziewczyny. Z niepokojem spojrzał na Patricka.

Przerwa dobiegała końca. Zaczęto wyłączać światła, ostatnie rzędy już nikły w ciemnościach. Julie zamieniła kilka słów z ojcem, który wciąż przyglądał się Patrickowi. Teraz szybko opuściła rodziców i błędząc wzrokiem gdzieś w oddali, próbowała przejść obojętnie obok chłopaka.

Patrick nie należał do osób, które czekają biernie na rozwój wydarzeń, na cud, który sprawiłby, że Julie go zagadnie. Nie mógł pozwolić, aby ten wieczór tak się skończył, nie tym razem. Gdy Julie przechodziła obok, chłopak z charakterystyczną dla siebie pewnością siebie, zarozumiałością i śmiałością ją zagadnął.

- Świetny występ, gratuluję, byłaś zjawiskowa - wypalił.

- Dzięki - odpowiedziała krótko, jakby chciała podkreślić swoją niedostępność.

- Naprawdę dziękuję, że mnie wtedy zaprosiłaś. Nigdy nie widziałem takiego pokazu tańca. Gdy twój partner tobą obracał... To było niezwykle - powiedział.

- To tylko partner od tańca - wtrąciła. Pomyślał, że chce mu dać do zrozumienia, że nie ma chłopaka. .

- Czy jeszcze kiedyś cię zobaczę? - zapytał nagle.

Był niemal pewny powodzenia. Przecież przed chwilą tak wyraźnie zaznaczyła, że nie jest zajęta, i że umięśniony tancerz jest jedynie jej partnerem na parkiecie. Jednak twarz dziewczyny przybrała nagle wyraz zniesmaczonej i urażonej. Julie poczuła się zbita z tropu.

- Raczej nie sądzę, żebyś kiedykolwiek mnie jeszcze zobaczył - odpowiedziała szybko.

Była nieugięta i wciąż nieprzystępna. Jej duma trochę go rozbawiła.

- Czemu jesteś na mnie zła? Dlatego, że nie przyszedłem na umówione spotkanie? - zapytał bezczelnie.

Julie aż kipiała ze złości.

- Pogięło cię!?! No wiesz, z radości to ja nie skakałam! Czekałam wtedy na ciebie prawie godzinę, a ty teraz przychodzisz, jak gdyby nigdy nic i domagasz się z mojej strony uśmiechu i podziękowania za to, że łaskawie się zjawiliś?! W dupie mam twoją obecność tutaj! I daj mi spokój, bo zachowujesz się jak ostatni palant! - krzyczała dziewczyna, gestykulując przy tym gwałtownie.

Przez ułamek sekundy miał zmieszany wyraz twarzy, jakby nie wiedział, jak ma zareagować. Potem po prostu wyszedł z teatru. Żadne z nich nie spojrzęło za siebie ani razu.

Julie skierowała się w stronę garderoby, za kulisy, gdzie czekały na nią koleżanki i pan Clarke.

Rozdział piąty

Rodzice już wyjechali. Odprowadziłam ich na lotnisko i przy okazji zarezerwowałam sobie lot na dzień przed Wigilią. Święta zawsze spędzałam w domu, w tym roku również. Mama w drodze powrotnej wciąż rozpamiętywała występ. Cieszę się, że ich nie zawiodłam. Tata dopytywał o Patricka, aż mama zwróciła mu uwagę i poprosiła go, żeby mnie już przestał męczyć. Nic nie powiedział, ale przy pożegnaniu kazał mi bezwzględnie na siebie uważać. Dziwne, bo to mama zawsze miała większe skłonności do nadopiekuńczości. Role widocznie się odwróciły

Pan Clarke natomiast nie pochwalił występu, ale też nie skrytykował, a to dobry znak. Zapewnił jednak, że w następnym semestrze nie będzie już taki pobłażliwy.

- Kolejne miesiące będą bardzo pracowite. Według rozporządzenia pani dyrektor, do świąt nie będziemy mieli już zajęć. Nie wiem właściwie czemu mamy przerwać ćwiczenia, ale nie ja o tym decyduję. Wkażdym razie w nowym roku zajęcia z tańca współczesnego będą się odbywać w tych samych godzinach. Do widzenia

powiedział, skinął nam głową i jak zwykle bez zbędnych ceregieli - wyszedł.

Przebieg rozmowy z Alice, po tym jak jej opowiedziałam, że Patrick pojawił się na występie, jest trudny do powtórzenia. Na początku jej oczy przybrały kształt monet i nie mogła wydusić słowa. Myślałam, że da mi spokój, ale się pomyliłam...

- Mogę tego nie komentować? - spytała, choć wiedziałam, że komentarza będzie aż nad to.

- To jest po prostu żałosne - zaczęła. - Jak można być takim frajerem! Myślał, że jak przyjdzie, to co, przestaniesz tańczyć, zejdziesz ze sceny, podbiegniesz do niego, uklęknieś i będziesz mu całować stopy!? Boże! Gość ma chyba nierówno pod sufitem! Nie odzywał się, nie przyszedł na spotkanie, totalnie wszystko olał, a teraz nagle zjawił się w teatrze! Do tego stanął, jak jakiś książę, oparł się o kolumnę i wyobrażał sobie, że jedna z jego fanek wylewa siódme poty specjalnie dla niego?! Żeby zdobyć uznanie jaśnie wielmożnego pana?! Ma tupet, nie ma co!

- No, ale wiesz, z drugiej strony miał prawo przyjść. W końcu nie dość, że go osobiście zapraszałam, to bilety kosztowały niemało. Jeżeli zdobył wejściówkę i za nią zapłacił...

- Proszę cię, od kiedy on jest takim wielbicielem tańca współczesnego?! Gdyby ciebie tam nie było, pewnie by nie przyszedł.

- Pewnie tak.

- Mówiłam, że nie wybiłaś go jeszcze sobie z głowy. Tak jak ja Oskara. Gdybyś to zrobiła, nie mówiłabyś o jego obecności w teatrze, jak o sensacji na skalę globalną - skwitowała Alice.

No cóż, ja krótko streściłam jej przebieg spotkania z Patrickiem w teatrze, natomiast ona kilkoma zdaniem, na dodatek wykrzyczanymi, oceniła jego i całą tę sytuację. Więc się pytam, kto tu właśnie zrobił sensację na skalę światową... ?, pomyślałam, ale nie wypowiedziałam tego na głos. Jedynie uśmiechnęłam się delikatnie.

- A tak poza tym, to czy Oscar przyszedł? Mówiłaś mu o występie? - Tym razem to ja niedelikatnie i wprost zapytałam o coś, na co znałam odpowiedź już od dwóch miesięcy. Może było to trochę złośliwe.

Właściwie nie wiem czemu się złościłam na Alice. Miała prawo nazwać Patricka frajerem. Chyba próbowałam go mimo wszystko bronić. Nie umiałam wytłumaczyć, dlaczego tak jest i to mnie dręczyło. Chłopak w stosunku do mnie nie zachował się w porządku, a ja stałam za nim murem, podobnie jak Alice za Oscarem. Ciekawe, jak to się skończy?

- Poinformowałam go o pokazach, ale nie przyszedł - powiedziała.

Chciała ukryć rozczarowanie, ale wiedziałam, że czuje się bardzo zawiedziona.

- Oj, chyba nie jest wielbicielem tańca. - Mówiąc to, wiedziałam, że lekko przesadziłam, nie miałam prawa tak się naśmiewać.

- Daj mi spokój, Julie. Potrafisz być taka wredna! - Mówiąc to niemal się rozpląkała.

- Przepraszam, nie powinnam, wiesz, że życzę ci jak najlepiej - powiedziałam, po czym podeszłam do niej i ją przytuliłam.

Przez chwilę poczułam się, jak wredna mała, która chce komuś dopiec, żeby poprawić sobie samopoczucie. W gruncie rzeczy, mimo że spotkanie z Patrickiem zakończyło się kłótnią, gdzieś tam w środku odczuwałam satysfakcję, że jednak przyszedł. Nieważne, że zachowywał się jak dupek, ale się postarał, nie zapomniał i pojawił się na występie.

Wigilia zbliżała się wielkimi krokami. Ostatnie dni semestru były dla wszystkich studentów totalną labą. Władze uczelni pozwoliły nam odpocząć. Powoli się pakowałyśmy, kupowałyśmy rodzinie prezenty. Pomogłam nawet wybrać Alice koszulę dla pana Clarke'a. Dowiedziałam się, że jego ulubionym kolorem jest czarny. Jakoś mnie to nie zdziwiło! Chodziłyśmy po centrum i w końcu miałyśmy czas poprzyglądać się świątecznemu wystrojowi Nowego Jorku. Co rusz spotykałyśmy przebranych świętych mikołajów. Panowie z piwnymi brzuchami zdecydowanie najlepiej nadawali się do tej roli. Święty Mikołaj z dużym bebechem wyglądał przynajmniej wiarygodnie. Siedzieli najczęściej na plastikowych skrzyniach obok centrum handlowego, bo stamtąd wychodziły mamusie z płaczącymi

maluchami, które dostawały hysterii, bo nie kupiono im jakiejś zabawki. Wtedy Święty Mikołaj dla pocieszenia proponował cukierka i pamiątkowe zdjęcie.

Z nieba dużymi płatami padał leniwie śnieg. Poszłyśmy z Alice do Central Parku. Zobaczyłam tam chyba największe na świecie lodowisko. Ludzie w każdym wieku, w kolorowych szalikach i czapkach jeździli na łyżwach po płycie lodowiska. Postanowiłyśmy z Alice, że znajdziemy wypożyczalnię i chociaż na moment wtopimy się w ten wesoły tłum.

- A panienki jakiego rozmiaru łyżew potrzebują? -zapytał pan stojący za ladą w tymczasowo postawionej budce, chuchając nam w twarz dymem tytoniowym. Spojrzałyśmy na siebie z Alice i skrzywiłyśmy się z niesmakiem.

- Obie potrzebujemy trzydzieści siedem.

- Malutkie stopki macie - ciągnął, a my się modliłyśmy, aby już nie otwierał ust.

Wbiegłyśmy rozchichotane na lodowisko. Od razu zaczęłyśmy śmiało jeździć. Obie w miarę dobrze potrafiłyśmy sunąć bez upadków po lodzie. Ze strachem przyglądałam się sześciolatnim dzieciakom, które nabierały pędu i nie trzymały się wyznaczonego toru. Ściagały się, popisowały, nagle skręcały i jeździły tyłem lub pod prąd. Czekałam tylko na wypadek, czułam podświadomie, że niedługo się coś wydarzy.

Na chwilę przystanąłam. Alice dalej z uśmiechem próbowała robić przeplatankę. Nie mogłam oderwać

oczu od dwóch chłopców. Jednym z nich był blondynek w czapce w kolorowe kółka, drugi miał charakterystyczny wzorzysty szalik. Obaj jeździli bardzo dobrze, ale bez wyobraźni. Trudno od dziecka wymagać rozsądku. Nie dostrzegłam w tłumie opiekunów chłopców.

Stałam po przeciwnej stronie lodowiska. Chłopcy w wieku około sześciu lat, w pewnym momencie spojrzeli porozumiewawczo na siebie i z łobuzerskim uśmiechem zaczęli się ścigać przez sam środek lodowiska, kompletnie ignorując obecność innych uczestników. Najpewniej założyli się o to, który pierwszy dotrze na moją część płyty. Kilku dorosłych z przerażonymi minami w ostatniej chwili zjechało dzieciom z drogi. Inni przystanęli z zaszokowanymi twarzami, bojąc się wykonać choćby najmniejszy ruch.

Chłopcy pędzili przed siebie jak burza. Odetchnęłam z ulgą, gdy pokonali największe zagrożenie, czyli slalom między dorosłymi. Już myślałam, że wszystko zakończy się bez większej katastrofy, ale przecież wypadki mnie kochają. Dziecku z kolorowymi kółeczkami na czapce, gdy już podnosiło ręce na znak zwycięstwa, łyżwa bokiem zaklinowała się w lodzie. Chłopiec runął, uderzając z całym impetem głową o lód. Nie miał kasku. Miałam nadzieję, że nie zdążył poczuć ogromnego bólu, bo natychmiast stracił przytomność. Widziałam krew wyciekającą z uszu. Czapka leżała obok głowy chłopca, nawet odrobinę nie zamortyzowała upadku.

Zanim przybiegła zrozpaczona matka, która wyłoniła się nagle z tłumu jeżdżących, podeszłam do chłopca. Powstało wokół mnie kółko gapiów. Matka nie była w stanie przebić się przez wszystkich tych ludzi. Nie wiedziałam co robię, nawet nie panowałam nad swoimi dłońmi. Popatrzyłam tylko w górę, następnie na chłopca, z uszu którego wciąż ciekła krew. Zakryłam jego uszy rękami, jakbym chciała zatamować krwotok, jakby miało to coś pomóc. Tym razem wierzyłam w powodzenie. Było inaczej niż przy Martinie. Nie planowałam tego, wszystko działało się automatycznie. Nie zastanawiałam się nad tym, jak mu pomóc.

Odchyliłam ostrożnie palce, chciałam sprawdzić, czy z uszu wciąż płynie krew. Natychmiast tempo bicia mojego serca zwolniło. Upewniłam się jeszcze raz, powoli odchylaj ą całą dłoń. Była czysta. Nie było śladu krwi. Nie wiem co zrobiłam i jak, ale się udało; dziecku zapewne nic nie będzie.

Z tłumu dobiegł mnie głos jakiegoś mężczyzny:

- Proszę go zostawić! Nie ruszaj go! Jestem lekarzem! Proszę wszystkich, żeby się odsunęli!

Zrobiłam, o co prosił, wiedziałam, że już nie jestem potrzebna.

- Julie, coś ty zrobiła, po co do niego podbiegłaś?! -mówiła z pretensją w głosie Alice.

- Nie rozumiem, a co miałam zrobić?

- Przecież nie jesteś lekarzem, mogłaś mu zrobić większą krzywdę!

- Alice, on był nieprzytomny, a z uszu ciekła mu krew!

- Jaka krew, co ty gadasz? Zaraz przecież otworzył oczy. Co nie zmienia faktu, że gdyby miał coś z kręgosłupem, to mogłaś pogorszyć sprawę.

- Masz rację - odpowiedziałam. - Taka była moja pierwsza reakcja, teraz wiem, że źle zrobiłam - dodałam.

Nie było sensu tłumaczyć Alice, że gdyby nie ja, chłopiec zapewne by się już nie obudził.

Całą drogę powrotną analizowałam ten wypadek. Jeszcze nie docierało do mnie, że potrafię łagodzić obrażenia i leczyć ludzi. Świadomość tego wydawała się dość absurdalna, ale coraz mniej lekceważyłam tę myśl. To nie było już jednorazowe wydarzenie, które mogłabym uznać za przypadek lub własne urojenie. Zaczęłam się zastanawiać, o co w tym wszystkim chodzi, kim ja jestem i czemu właśnie ja potrafię to robić.

Przypominałam sobie wszystkie dotychczasowe dziwne sytuacje. Najpierw wypadek psa, później uzdrowienie dziewczynki w autobusie, a dziś chłopca na lodowisku. Była jeszcze jedna sprawa, która nie dawała mi spokoju. Martin. Czemu jemu nie potrafiłam pomóc, chociaż robiłam dokładnie to samo? Jak to jest, że jedni umierają na moich oczach, a inni otrzymują drugie życie. Patrzyłam na swoje dłonie, ale nie różniły się od dłoni przeciętnego człowieka. Może czasem wydawały mi się odrobinę bielsze, ale to mogła być kwestia jasnej karnacji. Śpię jak inni. Nie słyszę głosów. Nie znam nikogo

podobnego do mnie. Nie wiem, czy znajdę kiedyś odpowiedź na wszystkie te pytania. Wiedziałam tylko tyle, że jestem inna. I to wrażenie, że czasami robię się niewidzialna, albo że to, co robię jest widoczne tylko dla mnie. Jak wtedy w autobusie. Nikt mnie nie widział ani nie słyszał. Nie reagował, gdy wołałam o pomoc. Nawet lekarze nie zwracali na mnie uwagi, gdy stałam obok nich w samym centrum wypadku. Podobnie kierowca, który potracił psa. Przecież byłam tam, stałam przy drzewie, a on zachowywał się tak, jakbym nie istniała.

Dziś sytuacja wyglądała nieco inaczej. Widziano mnie, ale nikt nie dostrzegł rany chłopca. Wszyscy zbagatelizowali upadek i uznali go za mniej groźny, niż był w rzeczywistości. Nikomu nie przyszło do głowy, że dzieciak miał rozłupaną czaszkę. Nic dziwnego, gdyż zaraz odzyskał przytomność, a krew ciekącą z uszu widziałam tylko ja. „Może to ja mam przywidzenia?” pytałam w myślach samą siebie. Ale nie! Przecież wypadek miał miejsce. Nie jestem ślepa, widziałam tę krew między moimi palcami. Potem już jej nie było.

Zacząłam się zastanawiać, jak mogę to sprawdzić. Wpadłam na pomysł. Lodowisko jest monitorowane. Obejrzę nagrania, które dostępne są w Internecie. Na pewno umieszczą te z dzisiejszego wypadku, jako przestrożę dla innych dzieciaków nienoszących kasków i ścigających się bezmyślnie na lodowisku.

- O czym tak myślisz, Julie? - wyrwała mnie z zadumy Alice.

- O niczym konkretnym - skłamałam.

- Widzę właśnie. Przez całą drogę gapisz się na swoje buty, jakbyś zastanawiała się od jakiego są projektanta albo czy pasują do tegorocznej kolekcji.

- Bardzo śmieszne. Co najwyżej mogłabym wygrzebać w pamięci, na którym bazarze je kupiłam albo ile wynosiła przecena.

- Nie udawaj, jesteś w stanie zabić za bluzkę, którą miała na sobie Paris Hilton - drwiła Alice, zdając sobie sprawę z tego, że z modą stoję na bakier.

- Ej, a tak poważnie...

- Na ej to tramwaj staje, a na dzyń, dzyń rusza - wtrąciła ze śmiechem Alice.

- Ale teraz tak poważnie, co robimy z sylwestrem? Spędzimy go w Nowym Jorku? Ja bym się skusiła, bo z rodzicami pewnie witałabym Nowy Rok razem ze stacją telewizyjną.

- To ty nic nie wiesz?! - zapytała zdziwiona Alice.

- Nie...

- Czy my mieszkamy w tym samym akademiku i widzimy się z tymi samymi ludźmi? Przecież sylwestra spędzamy albo w Angels&Demons, albo zrealizujemy inny pomysł, który w sumie podsunął Oskar...

-Jaki?

- Znalazł razem z kumplami z dziennikarstwa w jakiejś dzielnicy stary drewniany dom. Nikt w nim nie mieszka od wielu lat. Generalnie jest do rozbiórki, ale chłopaki planują zorganizować tam sylwkę.

- W czyimś starym domu? - zapytałam, bo nie wiedzieć czemu poczułam dreszcz strachu.

- No, a co, masz pietra?

- Nie, no co ty, tylko wydaje mi się to dość dziwne.

- Ależ Julie, pomyśl sama... Stary, wielki drewniany dom, wokół którego krążą różne legendy. Nie mów, że nie lubisz takich historyjek...

- Jakie legendy?

- Ponoć zginęła tam cała rodzina, czy coś...

- No nic, zadzwonię do ciebie po świętach i zapytam, jaka została podjęta decyzja, czy wybraliście Angels&Demons, czy stary dom.

- Dobra - powiedziała Alice.

Widocznie zrozumiała, że się dostosuję. Ale mnie opcja spędzania sylwestra w starej ruderze z obcymi chłopakami nie zachwycała.

Wróciłyśmy do akademika. Byłyśmy w trakcie pakowania, więc nasz pokój wyglądał tak, jakby przed chwilą przeszło tędy tornado. Na podłodze nie było miejsca na postawienie stopy. Od razu dorwałam się do laptopa, który leżał pod stosem ubrań. Włączyłam główny portal informacyjny i tak jak myślałam, na pierwszej stronie zamieszczono artykuł, który zatytułowano: Tragiczny wypadek w Central Parku. Oprócz opisu zdarzenia był film. Alice poszła pod prysznic, więc mogłam spokojnie obejrzyć to nagranie, bez tłumaczenia się, po co właściwie to robię.

Kliknęłam „start”. Na początku zobaczyłam ludzi jeżdżących w kółko na lodowisku. Potem tych dwóch chłopców. Kamera zarejestrowała wszystko, cały wypadek. Niestety tłum ludzi zasłonił mnie, nie było widać, jak pomagam chłopcu, jedynie plecy osób stojących wokół. Później wszyscy się rozproszyli, więc pokazali dziecko z bliska. Było już przytomne. Stała przy nim matka i lekarz. Czyli kamera w ogóle nie uchwyciła najważniejszego momentu.

Zrezygnowana odkładałam laptopa, ale zapomniałam wcisnąć przycisk „zatrzymaj”, więc filmik włączył się od początku, raz jeszcze. I wtedy to, co zobaczyłam, spowodowało, że serce podeszło mi do gardła.

Przybliżyłam twarz do monitora, aby się upewnić, że nie mam omamów. Jeszcze raz przewinęłam do początku, ale teraz byłam już pewna. Po drugiej stronie lodowiska, tam gdzie chłopcy rozpoczęli swój wyścig stał Patrick Varner! Co on tam robił?! Czemu go tam wcześniej nie widziałam?! Po co stał przy lodowisku bez łyżew, z rękami schowanymi głęboko w kieszeniach i patrzył tak intensywnie na obu chłopców? Gdyby się dało zrobić zoom na twarz Patricka, może zobaczyłabym coś więcej. Na miejscu zderzenia autobusu z tirem też go widziałam! Gdzie wypadek, tam on?! O co chodzi!? Wszystko wydawało mi się takie nierealne, takie dziwne i tajemnicze! Nowy Jork nie należy do najmniejszych miast, a jednak zdecydowanie za często na siebie trafialiśmy. Gdyby nie to nagranie, to nie miałabym pojęcia,

że tam był. Ciekawe, gdzie jeszcze byliśmy jednocześnie w tym samym miejscu i czasie?! Może w szpitalu przy Martinie stał obok, a ja go nie widziałam albo wtedy, gdy pies wpadł pod samochód?! Nie wiem kim on jest, ale zaczął mnie przerażać. Na przedstawienie też przyszedł... Może to nie ma nic wspólnego z wypadkami, tylko po prostu mnie śledzi?!

Rozdział szósty

Julie skierowała się w stronę garderoby, za kulisy, gdzie czekały na nią koleżanki i pan Clarke. Patrick zbliżał się już do drzwi wyjściowych teatru. Żadne z nich nie spojrzało za siebie ani razu.

Chłopak szedł ulicą, nie wiedząc dokąd zmierza. Cały czas w głowie słyszał głos Julie, jak krzyczała: „w dupie mam twoją obecność tutaj!”. To zdanie kołatało się w umyśle Patricka. Nikt jeszcze nigdy tak do niego nie powiedział, jak ta drobna dziewczyna dzisiaj. Nikt nie miał nigdy odwagi rzucić mu w twarz, co o nim myśli. Żadna nie była taka bezpośrednia, szczerą i dumna jak Julie.

Pewnie dziewczyna uważała, że na zawsze go do siebie zraziła, bo kto po takich słowach chciałby kontynuować znajomość? A może to, że Julie była dla Patricka pod wieloma względami tak inna, budziło w nim ciekawość? Przede wszystkim była aniołem, jego przeciwieństwem. Mogła uzdrawiać, a to znaczyło, że najpotężniejszą moc demona, jaką jest zadawanie śmierci, ona mogła tłumić. „Jeszcze zobaczymy”, pomyślał.

Z nieba leniwie leciały duże płatki śniegu. Patrick przyjechał pod akademik i zaparkował swoje auto.

Tym razem stwierdził, że nie będzie czekał nieskończoną ilość czasu, aż Julie wyłoni się zza drzwi akademika. Postanowił, że wykorzysta swój urok osobisty. Podszedł do jakiejś studentki, idącej przez campus. Uśmiechnął się lekko, podnosząc tylko jeden kącik ust, i wlepił w nią swoje ciemne oczy.

- Cześć! My się chyba jeszcze nie znamy... ? - zagadnął.

- Ależ ja cię znam! - podskoczyła z radości dziewczyna.
- Jesteś Patrick Varner!

- O, bardzo mi miło, a ty... ?

- Judith Moore - odpowiedziała.

- A wiesz, i mnie się wydaje, że cię skądś znam. Czy ty czasem nie brałaś udziału w pokazach szesnastego grudnia? Pamiętam cię. Gratuluję wspaniałego występu - dodał.

Gdyby nie wzrost dziewczyny, Patrick nie miałby pojęcia z kim rozmawia. Tamtego wieczoru obserwował na scenie tylko Julie.

- Tak, ale pokaz mógł wypaść lepiej - powiedziała Judith, kręcąc wokół palca pasma włosów.

Oczekiwała na więcej komplementów. Pragnęła, aby Patrick zaczął ją zapewniać, że występ był genialny, a ona sama wyglądała tak pięknie i profesjonalnie. Może dlatego kolejna wypowiedź aktora wywołała u dziewczyny niezadowolenie.

- Zawsze po występach mówi się, że mogłoby być lepiej. Tacy już są artyści.

- Yhy chyba masz rację.

- Wiesz, właściwie to mam do ciebie pytanie... -powiedział tajemniczo. - Szukam pewnej dziewczyny, ma na imię Julie.

- Julie Ellis? Nienawidzę jej! - skwitowała krótko Judith - I tej jej koleżaneczki też.

- Aha, a wiesz może, gdzie mogą aktualnie znajdować się obiekty twojej nienawiści? - zapytał, nie ukrywając sarkazmu.

Niczego nieświadoma dziewczyna nie widziała powodu, dla którego nie miałyby mu tego powiedzieć.

- Poszły do centrum handlowego. Słyszałam, jak się śmiały i mówiły, że wpadną w wir świątecznych zakupów. Ta cała Julie, chodzi taka dumna po korytarzu, jakby kij połknęła. Buźka niby jak aniołek, ale ona ma tyle wspólnego z aniołem, co ja! - Chciała mówić dalej, ale Patrick już wiedział dokąd poszły dziewczyny i nie interesował, co Judith ma jeszcze do powiedzenia.

- Dzięki! - Poklepał Judith po ramieniu i pobiegł z kluczami w rękę do samochodu.

Dziewczyna zrobiła skwaszoną minę i wściekła trzasnęła drzwiami od swojego pokoju.

Patrick wskoczył prędko do auta, odpalił silniki z piskiem opon ruszył na główną ulicę prowadzącą do centrum handlowego. Ulice były puste, jakby wszyscy mieszkańcy Nowego Jorku udali się po świąteczne prezenty. Zostawił samochód na podziemnym parkingu i ruszył na poszukiwania. Wchodził do każdego sklepu,

przyglądał się uważnie każdej klientce i szedł dalej. Tak jak sądził, wszędzie musiał przeciskać się przez tłum ludzi. Kolejki do kas ciągnęły się w nieskończoność. Trudno było Patrickowi w takich warunkach odnaleźć dziewczyny. Chłopak miał jedynie nadzieję, że Julie włożyła na głowę swój czerwony berecik, po którym będzie mógł ją rozpoznać. Stał na palcach i próbował objąć wzrokiem wszystko w pobliżu: ruchome schody, supermarket, sprzęt AGD i RTV, McDonalds, KFC i wiele sklepów z ciuchami.

- Patrick Varner, to Patrick Varner! - Nagle usłyszał za swoimi plecami głosy kilku nastoletnich dziewcząt.

Nie chciał się zatrzymywać i tracić czasu na dawanie autografów, a już tym bardziej niepotrzebnie zwracać w tej chwili na siebie uwagę innych. Oddalił się więc od grupki fanek i na chwilę usiadł na ławce w pobliżu sztucznej choinki. Myślał już, że nie uda się mu odnaleźć Julie, gdy w tym momencie mignął mu jej czerwo-nyberek w sklepie z męskimi koszulami. Dwie młode dziewczyny właśnie wybierały odpowiedni rozmiar czarnej koszuli dla ojca Alice. Patrick uśmiechnął się do siebie. Nie mógł podejść, ale mógł z daleka popatrzeć na Julie. Podeszedł bliżej i przez witrynę obserwował dziewczyny. Kiedy te płaciły przy kasie, Patrick zdążył oddalić się na moment, aby móc bezpiecznie je śledzić i iść za nimi krok w krok. Chciał trzymać się blisko nich.

Alice i Julie minęły faceta przebranego za Świętego Mikołaja i wyszły z centrum handlowego. Patrick szedł

powoli za nimi, tak, aby nie stracić ich z oczu. Dziewczyny weszły do Central Parku, zatrzymały się przy lodowisku i najwyraźniej postanowiły wypożyczyć łyżwy, bo skierowały się w stronę tymczasowej wypożyczalni sprzętu. Stał tuż obok, włożył ręce do kieszeni i przyglądał się jeżdżącym.

- Która to? - Usłyszał pytanie, najwyraźniej skierowane do niego. - Ta w czerwonym bereciku, mam rację? Jasne, że mam - powiedział mężczyzna ochryłym, głębokim głosem. Wlepił groźne, głęboko osadzone oczy prosto w oczy Patricka.

Dopiero teraz chłopak spojrzał na stojącego tuż obok faceta. Nie zdziwiła go jego obecność. Znał go i wiedział kim jest.

- Uważaj! Spróbuj ją tylko skrzywdzić, a cię zabiję! - wykrztusił.

- Grozisz mi? Nie żartuj! - Mężczyzna zaśmiał się szyderczo. - Patrz, właśnie wchodzi na lodowisko! Co ma jej się stać? Ktoś może łyżwą zahaczy o jej tętnicę szyjną? Co ty na to? Podoba ci się taki scenariusz? Ciekawą śmierć jej wybrałem? Masz dwa dni na wyjechanie z miasta, inaczej dziewczyna zginie, a ty razem z nią! - powiedział groźnie i zniknął.

Patrick stał z obojętną miną, chociaż wiedział, że nieznajomy mężczyzna nie żartował. Tacy jak oni nie znają litości, nie mają nawet odrobiny ludzkiego sumienia. Patrick powinien natychmiast wyjechać, opuścić miasto i nigdy nie dopuścić do zobaczenia się z Julie.

Ale nie mógł tego zrobić, jeszcze nie teraz. Julie stała się dla niego ważna. Miał w stosunku do niej własne plany.

Chłopak uświadomił sobie, że przez niego Julie i jej cała rodzina grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Dopóki on jest blisko niej, ona może stracić życie. Stał przed wyborem. Albo ją na zawsze opuści i nigdy więcej nie zobaczy, albo rozpęta się piekło, w którym oboje będą odgrywać główną rolę. Sam nie zwycięży z Drakiem, potrzebuje jej pomocy. Szukał w głowie rozwiązania.

Gdyby nie była aniołem, Drake by się tu nie pojawił, jego nie zainteresowałaby zwykła dziewczyna. Dopóki nie wiedziała kim naprawdę jest, dopóki nie знаła swojej tożsamości, była za słaba i mogła popełnić jakiś fatalny błąd. Tak jak wtedy z Martinem... Julie musiała dowiedzieć się kim jest, musiała sobie uświadomić, że jest aniołem. Gdyby o tym wiedziała, mogłaby śmielej podejmować decyzje i nie zrezygnowałaby tak szybko z próby uratowania Martina. Potrzebna jest jej odrobina pewności siebie. Musiał coś zrobić.

Znał tylko jeden sposób, aby mogła zrozumieć, kim naprawdę jest. Powodować wypadki. Wtedy ratując komuś życie, będzie próbowała odpowiedzieć sobie na pytanie, jak to możliwe...

Wypatrzył dwóch chłopców jeżdżących na łyżwach. Wlepił w nich oczy i przejął kontrolę nad ich myślami. Najpierw dodał im prędkości, której sami przy tak słabych i niedojrzałych mięśniach nie potrafiliby osiągnąć. Odnalazł też wzrokiem Julie, która już z lękiem

na twarzy przyglądała się rozwojowi wydarzeń. Jeden z chłopców gwałtownie skręcił w bok, sprawiając, że łyżwa wbiła się w poprzek lodu. Z całą siłą, bezwładnie runął na lodowisko.

Tak jak przypuszczał Patrick, Julie w mgnieniu oka pojawiła się przy chłopcu. Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Jedyne, o czym nie pomyślał Patrick, to kamery, które monitorowały wszystko, co działo się na lodowisku. Ale jedyne, co wtedy było dla niego najważniejsze, to pomóc Julie pojąć, jak wielki posiada dar. Dziewczyna musiała dowiedzieć się kim jest. To mogło pomóc przetrwać im obojgu.

- Jaki masz plan? - zapytał szczupły chłopak, który podszedł przed momentem do Patricka.

- Thomas? Nie muszę się odwracać, żeby wiedzieć, że to ty. Twój głos rozpoznam wszędzie - odezwał się Varner sucho.

- Nie rób tego, wybierz mądrze, oszczędź dziewczynę. Pozwól jej być szczęśliwą...

- Co ty możesz wiedzieć?! Myślisz, że nie próbowałem?! Jąkanie ona, to żadna! Jestem młody, chcę być szczęśliwy. Zakochałem się. Nie wiem czemu właśnie w niej! Ale nic na to nie poradzę! - tłumaczył bratu.

- Wiedziałem, że będą z tobą kłopoty! Zawsze musisz mieć wszystko!

- Tak?! A z tobą to nie były? Kto przyprowadził Kate do nas, do domu, jak jeszcze mieszkaliśmy z rodzicami w Kanadzie?

- Nie waż się o niej wspominać, wiesz, że próbuję zapomnieć o niej od siedmiu lat! - krzyknął Thomas.

- To powinieneś mnie zrozumieć! Przechodziłeś przez to samo! Poza tym my jesteśmy źli...

- Wcale nie! Gdyby nie było cierpienia, nie byłoby szczęścia. Gdyby nie było choroby, nie byłoby zdrowia, gdyby nie było śmierci, nikt nie doceniłby życia. Gdyby nie było wrogów, nie istniałoby pojęcie przyjaciel. Wszystkie wartości, wszystkie najbardziej doceniane przez ludzi zjawiska są tylko i wyłącznie dlatego, że jest ta druga strona. Myślisz, że jakby każdy był szczęśliwy, zdrowy i dobry, to byłoby lepiej? Ludzie by zubożeli, niczego by nie docenili. A wiesz, to paradoksalne, ale dzięki nam jest ład na tej ziemi. Wyobraź sobie teraz, że nikt nie umiera, czyli nikomu nie dzieje się nic złego. Chyba że przyjmiemy, że każdy akceptuje śmierć i nie uznaje jej za przekleństwo. Jak teraz wytłumaczyć ludziom, że jest lepsze życie po śmierci, że nie umierają tylko po to, aby robactwo mogło je zjeść? Widzisz, cała kultura, cała cywilizacja, w końcu natura opiera się na współistnieniu przeciwieństw, w tym: biedny - bogaty, mądry - głupi, naiwny - rozsądny, wreszcie zły i dobry. Patrząc z tej perspektywy wcale nie jesteśmy źli... Aty przez swoją lekkomyślność wywołasz katastrofę. Jak chcesz walczyć z Drakiem? Przecież on nie pozwoli na to, abyś zaniedbywał swoje obowiązki. Pamiętaj - to prawa ręka szatana.

Gdy Patrick się odwrócił, by jeszcze raz spojrzeć na

brata, jego już tam nie było. Wiedział, że brat ma rację, trudno będzie pokonać Drake'a, ale on tworzył już w głowie dla siebie i dla Julie własny plan...

Jeżeli porzuciłby swoje dotychczasowe życie i przestał być demonem, sprzeciwiłby się innym demonom, którzy od tej pory uważaliby go za wroga i zdrajcę. Te istoty bez sumienia będą próbowały zesłać na niego, Julie i na całą jej rodzinę śmierć. Uda mu się zrealizować swój plan, jeżeli Julie odkryje kim jest, jak wiele potrafi i do czego jest zdolna. Bardzo na nią liczył. Wierzył, że Julie jest w stanie pokonać nawet najsilniejszego diabła. Była jeszcze jedna kwestia, najważniejsza. Co się stanie, gdy Julie nie odwzajemni uczuć Patricka? Albo odwzajemni, ale gdy się dowiedzie, że jest lub był demonem, to czy będzie w stanie go zaakceptować? Musi zachowywać się tak, aby wzbudzić w niej zaufanie. Przecież ludzie się zmieniają. Najgorsi stają się najlepszymi.

Rozdział siódmy

Wreszcie po kilku godzinach podróży mogłam rozpakować torby i pomóc mamie w przygotowaniach do świąt. Moja młodsza siostra Issie już tydzień temu ubrała choinkę, która teraz przyozdabiała salon. Za oknami było biało i czysto. Mieszkańcy miasteczka od rana w kościele śpiewali kolędy. Panował prawdziwie świąteczny nastrój. Ojciec zawieszał wokół naszego starego drewnianego domku kolorowe lampki. Issie wciąż wypytywała mamę, co dostanie pod choinkę, a ja, ja byłam dziwnie zamyślona. Sama nie wiem nad czym się tak zastanawiałam. Chyba nad wszystkim po trochu. Jakbym wciąż wspominała te kilka miesięcy, które spędziłam w Nowym Jorku.

Moje życie się zmieniło. Rodzice dopytywali ciągle, jak mi się studiuje. Prosili, żebym im trochę poopowiadała o życiu na uczelni. A ja krążę po najbardziej neutralnym gruncie i opisuję im atmosferę panującą na zajęciach i wykładach. Mówię, kto doznał kontuzji i dlaczego. Tak naprawdę omijałam wszelkie tematy dotyczące mojego życia prywatnego, bo to mogłoby zostać przez moich rodziców niezrozumiane. Do tej pory

mi się to udawało, ale w końcu mama nie wytrzymała i zaczęła zadawać niewygodne pytania.

- Kochanie, a żaden chłopak ci się nie spodobał, z nikim się nie spotykasz?

- Nie, mamó, nie miałam na to czasu. Musieliśmy się długo przygotowywać do występu. Były dodatkowe zajęcia, również wieczorami, więc nie bardzo miałam jak - odpowiedziałam, jak zwykle chcąc skierować rozmowę na inny temat.

- No, a tata mówił, że rozmawiałaś z jakimś chłopcem zaraz po występie? Ponoć bardzo przystojny.

- Przystojny? I tylko tyle tata powiedział? - dopytywałam, bo pamiętałam, że Patrick nie wiedzieć czemu nie wywarł na ojcu dobrego wrażenia.

- Nie, no ja tam nie wiem, tata coś tam się zaniepokoił, ale wiesz jacy są ojcowie. Tym raczej bym się nie przejmowała - mówiła mama, jakby chciała wzbudzić we mnie zaufanie, abym była bardziej chętna do zwierzeń i nie obawiała się, że ojciec dowie się o naszej rozmowie.

Ale ja wiedziałam, że moi rodzice nie mieli przed sobą tajemnic i wcale bym się nie zdziwiła, gdyby to ojciec wysłał mamę na przeszpiegi i kazał jej wypytać mnie o wszystko. Dlatego przekonywałam mamę, że nie ma się czym martwić...

- To nie jest mój chłopak i raczej się na to nie zanosz - powiedziałam.

- Ale podoba ci się?

- Nie jest brzydki, ale nie tylko uroda ma znaczenie.

- No prawda, ale wiesz, on wydawał się być tobą bardzo zainteresowany.

- Mamo, nie potrafię czytać w jego myślach - oznajmiłam oschle.

Chciałam, żeby mama wyczuła moją irytację i w końcu zrozumiała, że moje uczucia, to moja sprawa. A mama owszem - wyczuła moją niechęć, ale zrozumiała ją całkiem inaczej. Przypadkiem trafiła w samo sedno i moje chęci wykręcenia się od rozmowy na nic się tu nie zdały.

- Denerwujesz się, bo masz coś na sumieniu? Naprawdę, mnie możesz powiedzieć.

- Mamo, zawsze ci o wszystkim mówiłam, nie wiem skąd zatem ten pomysł? - brnęłam, zarzucając mamie, że nie ma do mnie zaufania, powodując coraz większe między nami napięcie.

- Nie chcę cię zmuszać do wyjawiania sekretu, jeżeli nie chcesz, ale wiedz, że twoje zdenerwowanie świadczy tylko o tym, że czegoś nam nie mówisz. Więc przestań powtarzać, że mamy się nie martwić, bo jak na razie, to właśnie dopiero teraz zaczęłam się niepokoić - powiedziała mama, nie ukrywając rozczarowania. Zawsze mówiła to, co myśli.

- Mamo, po prostu kiedy indziej. Tym bardziej że naprawdę między nami nie ma niczego konkretnego. Nie znam go dobrze i raczej już nigdy nie poznam, więc nie wiem, o co tyle zamieszania.

- Nie chodzi o zamieszanie, po prostu mam wraże-

nie, że coś cię gryzie. Jeśli to nie ten chłopak, to inna sprawa. Zauważyłam, że odkąd przyjechałaś, jesteś jakaś nieobecna.

- Mamo, wiem, że zawsze mogę wam o wszystkim powiedzieć. Wiem o tym, ale to nie jest dobry moment, naprawdę. Idę się przejść, muszę łyknąć trochę świeżego powietrza.

- Mam jedynie nadzieję, że jesteś rozsądna i nie zrobisz nic głupiego - dorzuciła zrezygnowana.

Zawsze miałam dobre kontakty z rodzicami. Dlatego teraz czułam się paskudnie, jakbym ich okłamywała, rozczarowała. Nie chciałam im mówić, że podoba mi się Patrick, ale że mnie niepokoi jego dziwne zachowanie. Śledzi mnie i jest zawsze na miejscu, gdy dzieje się coś złego. No właśnie, do tego wszystkiego dodajmy jeszcze wypadki. Jak mam im powiedzieć, że umiem leczyć ludzi? Dopiero wtedy rodzice zaczęliby się niepokoić. Tym razem lepiej milczeć, niż powiedzieć całą prawdę, nawet okłamać i zawieść, niż narazić się na śmieszność i niezrozumienie. Już widzę minę mamy, gdy oznajmiam jej, że położyłam dziewczynce rękę na czole, a ona ożyła! Przecież to niedorzeczne!

Te święta były inne niż wszystkie do tej pory. Bardziej zadreślałam się problemami, niż się ich w te dni wyzbywałam.

Na dworze zrobiło się już ciemno. Szłam chodnikiem i słuchałam jedynie, jak skrzypi pod moimi stopami śnieg. Na moje nieszczęście spotkałam panią

Stellę - najbardziej wścibską kioskarke na świecie, jaką znam. Zamykała właśnie swoją budkę z gazetami.

- O, panienka Ellis. Jakaś markotna się wydajesz? W wielkim mieście coś nie tak? - zaczęła.

- Nie, pani Stello, wszystko w porządku.

- Oj, starej baby nie oszukasz.

- Ale ja nie mam zamiaru nikogo oszukiwać! Co wszystkich dzisiaj napadło?! - powiedziałam, tracąc cierpliwość.

Pani Stella widocznie na to właśnie czekała. Uwielbiała prowokować i doprowadzać ludzi do wściekłości.

- Jak człowiek zły, to diabły się cieszą. Oj, a ty kipisz ze złości, jakbyś miała się zaraz zagotować.

- Pani Stello, mogę jeszcze kupić jakąś gazetę? - zapytałam nagle, ignorując jej uwagi.

- A proszę cię, kochana, bardzo. Jaką chcesz? - zapytała, przyglądając mi się uważnie.

- Mogę sobie wybrać? - spytałam najbardziej łagodnym głosem, jaki tylko mogłam z siebie wydobyć. Wysiłam się nawet na sztuczny uśmiech.

Nachyliłam się nad stosem najświeższej prasy i wyciągnęłam od niechcenia jakiś magazyn z samego dna. Nawet nie spojrzałam na okładkę. Po prostu chciałam zapłacić i wrócić jak najszybciej do domu. Udało się. Dotarłam do swojego pokoju. Byłam zmarznięta i śpiąca. Przebrałam się w piżamę, zapaliłam lampkę przy biurku i wyciągnęłam kupione czasopismo. Oczywiście, jak mogłoby być inaczej! ? Na okładce zamieszczono zdjęcie

nie kogo innego, tylko Patricka Varnera! Już miałam tego dosyć. Wszędzie było go tak dużo! Przymknęłam oczy. Chociaż wcale nie chciałam o nim myśleć i miałam szczerze go dosyć, to jednak nie mogłam przestać. Podświadomość wiedziała lepiej. Całą noc gdzieś w snach obecny był Patrick. Niezależnie od kontekstu pojawiał się jak nieproszony gość. Ktoś kiedyś powiedział, że nad swoimi myślami, emocjami i reakcjami można panować. W tej chwili byłabym w stanie podważyć tę opinię. Nie potrafiłam mieć wpływu na żadne z nich. Wszystko działo się gdzieś obok mnie, całkowicie niezależnie. Rano obudził mnie telefon.

- Cześć, śpiochu! Słyszę, że jeszcze się nie obudziłaś! Nie ziewaj mi do słuchawki! - usłyszałam radosny głos Alice.

- Ojej, Alice, jest ósma! To ja zawsze wstawałam wcześniej od ciebie! Musiało się coś stać, inaczej nikt nie zwłókłby cię z łóżka! - odpowiedziałam na pół przytomnie, chociaż Alice swoim piskliwym głosem i tak dość skutecznie udało się mnie rozbudzić.

- A no stało się, zgadnij!

- Nie każ mi teraz zgadywać, mój mózg nie funkcjonuje jeszcze sprawnie. Albo funkcjonuje, no jasne! Ale jestem głupia i jest tylko jedna przyczyna, dla której stałaś się rannym, energicznym ptaszkiem. Skontaktował się z tobą Oskar?

- Tak, tak, tak!

- I...? Co chciał?

- Sylwester, Julie, będzie rzeczywiście zorganizowany w tym starym domu. Już wszystko zostało załatwione! Będę ja, ty, Oskar i kilka osób z dziennikarstwa. Czaisz? Chce ze mną spędzić sylwestra! - oznajmiła triumfująco.

- No, pogadam z rodzicami na ten temat, ale nie wiem, czy się zgodzą. A twoi rodzice, pan Clarke się zgodził?!

- Mój ojciec bierze udział w jakimś spektaklu, też organizowanym z okazji sylwestra, ale w Los Angeles. Chciał, żebym z nim jechała, ale powiedziałam, że jadę do ciebie.

- Do mnie? Tutaj, do mojego domu? O kurde, Alice, a jak zadzwoni do moich rodziców?

- Nie zadzwoni. Interesuje się mną, ale tylko na sali - powiedziała, próbując przybrać wesoły ton, choć pod tą radosną powłoką można było wyczuć smutek.

Nie pytałam Alice o jej matkę, bo nigdy o niej nie wspominała. Nosiła tylko jej łańcuszek, ale matka chyba z nimi nie mieszkała.

- No dobra - odpowiedziałam - to teraz moja kolej powalczyć z moimi rodzicami o ten wyjazd.

Po rozmowie z Alice zeszłam do kuchni. Wszyscy już tam byli i zajadali się świątecznym ciastem. Widocznie byli już dawno po śniadaniu.

- O, cześć. Nie chcieliśmy cię budzić. Ostatnio później wstajesz niż zwykle - powiedziała mama, patrząc na mnie podejrzliwie.

- Słuchajcie, dzwoniła Alice. Chce, żebym przyjechała na sylwestra do Nowego Jorku. Ma być jakaś impreza.

- Nie chcesz zostać tu, z nami? - spytała mama, skutecznie wywołując u mnie wyrzuty sumienia.

Na szczęście wtrącił się ojciec.

- Kochanie, nasza córka jest już duża. Nie poradzimy nic na to, że wyfruwa nam całkiem z gniazda. Taka kolej rzeczy. Julie, kto będzie na tej imprezie? - zapytał, na chwilę odkładając gazetę.

Wtedy zobaczyłam, że to ta, którą wczorajszego wieczoru kupiłam u pani Stelli!

- Tato, skąd masz tę gazetę?! Byłeś u mnie w pokoju?!

- Zasnąłaś z nią w ręku przy zapalanej lampce... -odpowiedział spokojnie.

Próbowałam odczytać z jego twarzy, czy widział zdjęcie na okładce, ale zaraz poznałam odpowiedzieć.

- Czy ten chłopiec będzie też na tym sylwestrze? -spytał, wskazując palcem na zdjęcie Patricka.

- Nie, jego tam nie będzie - odpowiedziałam szybko, chcąc natychmiast skończyć tę rozmowę. Było mi głupio. Ojciec przyłapał mnie na tym, że zasnąłam, tuląc do siebie gazetę ze zdjęciem Patricka, a jeszcze wczoraj wypierałam się przed mamą, że ten „przystojniak” jest mi obojętny. Czułam się jak idiotka!

- W takim razie nie widzę przeszkód, żebyś tam pojechała, tyle z mojej strony. Teraz spróbuj przekonać mamę.

- Jak ojciec się zgadza, to ja też, tylko uważaj na siebie - dodała mama. Choć mój cel został osiągnięty, to wcale nie skakałam z radości. Relacje z rodzicami zaczęły się pogarszać. Nie działo się tak z mojej winy. Po prostu już nie o wszystkim mogłam im mówić. A i oni przestawali mieć nade mną kontrolę.

Święta minęły w miłej atmosferze. Nikt nie poruszał już niewygodnych tematów, a mała Issie skupiała swoimi wygłupami całą uwagę rodziny. Dla pięciolatki najciekawszym i najprzyjemniejszym momentem w trakcie świąt było wręczanie prezentów. Dla dorosłych tym momentem jest zazwyczaj chwila, gdy stół ugina się pod pełnymi jedzenia talerzami.

Zbliżała się godzina mojego odjazdu. Jak zwykle stałam z bagażem przed domem, czekając na autobus, który miał mnie zawieźć na lotnisko. Jakbym miała de ja vu z mojego pierwszego wyjazdu na studia. Tylko mama przy pożegnaniu była chłodniejsza. Nie miała może obrażonej miny, ale wyglądała na rozczarowaną. Źle się z tym czułam.

Na lotnisku czekała na mnie Alice.

- Alice, masz piegi?! Wyskoczyły ci w środku zimy?!
-krzyknęłam zaskoczona.

- Byłam na solarium. Nie chciałam być taka blada w sylwka.

- Zwariowałaś, naprawdę.

- Taka jestem podniecona! To już dzisiaj! Nie mamy

zbyt wiele czasu. A trzeba się przecież wystroić w brokaty - śmiała się moja przyjaciółka.

Cieszyłam się, że z nią tu jestem. Zaraziła mnie swoją radością. Przy niej stałam się gadułą, czasem aż się sama dziwiłam! Patrzyłam teraz na Alice i przypomniały mi się moje obawy, zanim ją poznałam. Byłam wtedy pewna, że okaże się namiętną i wyniosłą, nieodrodną córcią pana Clarkea. Okazało się jednak, że mieli bardzo różne charaktery! Jedyne, co ich łączyło, to kolor włosów. U obojga były kruczoczarne i proste. Oboje mieli też duże oczy, pan Clarke koloru bładoniebieskiego, a Alice zielonego. Natomiast osobowości jak z innej planety.

Gdy tak patrzyłam, jak Alice tryska radością, to mimowolnie się zastanawiałam, czy Patrick kiedykolwiek się do mnie odezwie. Nie żałowałam tego, co mu powiedziałam po pokazie. Trudno, tak czułam i kropka. Zawiódł mnie. Nie przyszedł, a ja czekałam. Dziwiło mnie i intrygowało natomiast to, jak często się spotykaliśmy i się zastanawiałam, do czego to wszystko zmierza.

Byłam ciekawa, jak spędza sylwestra. Alice miała ten komfort, że przywita Nowy Rok z Oskarem. Zazdrościłam jej, mimo że nie przepadałam za nim. Zazdrościłam jej tylko tego, że chłopaka, który się jej podobał, miała na wyciągnięcie ręki. Nie musiała snuć głupich domysłów i się zastanawiać, czy kiedykolwiek go zobaczy, bo wiedziała, że chociażby dziś spędzi z nim sporo czasu.

Wieczór zbliżał się wielkimi krokami. Alice chodziła podekscytowana po pokoju. Akademik był prawie pusty. Wszyscy studenci powyjeżdżali na święta i sylwestra do swoich domów. Dlatego Alice nie ograniczała się w wyrażaniu swojego entuzjazmu jedynie do naszego pokoju, ale krążyła po całym kampusie i wykrzykiwała, że dziś czeka ją wspaniała noc. Obie wystrojone czekałyśmy na Oskara. Miał podjechać po nas taksówką i razem mieliśmy się dostać do opuszczonego domu. Punkt dwudziesta zadzwoniła komórka Alice.

- Dziewczyny, schodźcie już. Czekam przed akademikiem - usłyszałam głos Oskara.

- Już idziemy - odpowiedziała Alice i uśmiechnęła od ucha do ucha.

Nie sposób było nie cieszyć się razem z nią.

Gdy dotarliśmy na miejsce, nikogo jeszcze nie było, a dom, w którym mieliśmy spędzić sylwestra, przerażał bardziej niż to sobie wyobrażałam. Wielki, stary drewniany dom stał zapewne opuszczony kilka lat. Wyglądał jak nie z tej epoki! Wokół niego rosły wysokie drzewa. W tej chwili wszystkie były pozbawione liści, a gałęzie zahaczały o pozamykane, próchniejące okna. Próbowaliśmy z Alice otworzyć furtkę, ale mosiężna klamka tak zardzewiała, że nie dało się jej w ogóle ruszyć. Oskar śmiał się, widząc, jak się z nią siłujemy. W końcu nas do siebie przywołał.

- Hej, księżniczki! Jeszcze zdążycie w tym zamku postraszyć, ale najpierw zapraszam tędy. - I zniknął gdzieś

za ogrodzeniem. Poszliśmy więc tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał Oskar i zobaczyliśmy ogromną dziurę w płocie, przez którą mogłyśmy się dostać na teren zarośniętego ogrodu. W tym samym czasie za plecami usłyszałyśmy śpiewy innych studentów. Trzymali butelki piwa, szampana i wódki. Byli już w wesołych nastrojach.

- Hej, dziewczynki malinki, zapraszamy do naszej drużyny. My tu palim i pijem dokąd ktoś nie obudzi nas nad ranem kijem - krzyczał jeden z idących w grupie chłopaków.

- O, aleś się popisał, przyszły wieszczu - powiedział ze śmiechem drugi. - Ciekawe, jakim kijem miałby cię ten ktoś obudzić.

Wszyscy się roześmiali.

Popatrzyłyśmy na siebie z Alice. Ona się śmiała, ja byłam nieco przestraszona.

- Widzę, że będzie wesoło - skomentowała Alice szczerze zadowolona.

Chociaż odpowiedziałam uśmiechem, nie byłam zachwycona pijanym towarzystwem. Gdy grupka studentów do nas dołączyła, zaczęły się powitania. Pamiętam Rona, Willa, Rutgera, potem weszło kilka rozchichotanych dziewczyn, między innymi Brenda, Molly, Bridget i Charlie.

Wewnątrz budynku było o wiele przytulniej. Widocznie chłopaki najpierw posprzątaali dom, zanim nas tu zaprosili. W salonie ustawili mnóstwo małych świeczek. Wokół niskiego, drewnianego stolika stało

kilka kanap. Większość z nas od razu zajęła tam miejsca. Nie tracili czasu na oglądanie reszty domu, tylko zaczęli już pić, wznosząc toast butelkami.

Ja i Alice zachwycaliśmy się tą starą posiadłością. Chociaż na zewnątrz wszystko było zarośnięte i przykryte sporą warstwą śniegu, to było widać, że ogród jest rozległy i osłonięty od ulicy wspaniałymi, wysokimi drzewami. Wewnątrz budynku stały pozostawione przez właścicieli stare meble: krzesła, jakiś okrągły stół, łóżka. Na piętrze znajdowało się kilka małych pokoi. Było widać, że tu też ktoś odkurzył i nawet przyniósł koce.

Nie wiedziałam, że w Nowym Jorku można zobaczyć jeszcze taki dom! Całe jego wnętrze pokryte było boazerią. Na ścianach wisiały czyjeś czarno-białe zdjęcia. W kuchni leżały poskładane talerze! Jakby mieszkańcy nagle opuścili to miejsce, nie mając czasu na spakowanie!

Nikt nie mógł nas tu zobaczyć. Chyba, że sąsiedzi, ale od nich też dzieliło nas kilkadziesiąt metrów. Poza tym był sylwester, kogo w taką noc zdziwią hałasy?!

Po trzech godzinach w całym domu słyhać było głośną muzykę, śmiechy i przekrzykujące się głosy.

- Czy wiecie, jak zareagował Bóg, gdy do nieba trafił ateista?

- No nie wiemy - odezwała się Bridget.

- Kazał powiedzieć świętemu Piotrowi, że go nie ma!
Rozległy się głośne śmiechy.

- A wiecie... - Próbował wszystkich przekrzyczeć Ron.

- A wiecie, gdzie jest Oskar i Alice?
- Nie - powiedziała Molly.
- Nie. - Pokręciła głową siedząca obok dziewczyna.
- Ja też nie - odezwała się następna.
- A ja wiem - powiedział i się roześmiał Will.
- No to nie pajacuj, tylko powiedz - odezwał się rudy Ron.
- Na górze, pewnie robią bara-bara. - Zaśmiał się Will, demonstrując to, o czym mówił.

Stałam osłupiała. Faktycznie, dawno nie widziałam Alice. Ostatnio razem piłyśmy w kuchni. Był tam też Oskar. Ale od jakiegoś czasu znikła mi z oczu. Nie chciałam jej teraz szukać, bo jeszcze rzeczywiście weszłabym do pomieszczenia, w którym nie powinnam się zjawić.

- Hej, Julie, siadaj obok nas! Masz, trzymaj kieliszek, bo jesteś jakaś nie w sosie.

I stało się. Piłam ze wszystkimi. Po kilku kieliszkach już nie byłam w stanie panować nad ilością wypijanego alkoholu. Nie było wśród nas trzeźwej osoby. Wiem, że przez całą imprezę nie widziałam na dole Alice z Oskarem.

Pustka, totalna pusta, do momentu... do momentu, gdy zobaczyłam pochylonego nade mną Patricka. Patricka! Przecież jego tam nawet nie było! Pamiętałam tylko jego. Pamiętałam, że było mi strasznie gorąco, a wokół Patricka kłębiło się mnóstwo ognia i dymu... Poza tym nic nie pamiętałam.

Rozdział ósmy

Dla Patricka okres świąteczny niczym nie różnił się od zwykłych dni. Spacerował po ulicach Nowego Jorku z wbitym we własne, zaśnieżone buty wzrokiem. Nie patrzył na ludzi, którzy go mijali. Nie planował ingerować w cokolwiek. Pierwszy raz pozostawił ludzi samych sobie.

Istnieją miliony osób na ziemi, które są przekonane, że zawsze wszystko zależy tylko od nich. Żyją zgodnie z przysłowiem: jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz. Jak miał pościelić sobie chłopiec, który przyszedł na świat w obskurnej dzielnicy Nowego Jorku, a jego rodzicami byli bezdomni narkomani? Na zmianę jakości życia mogą wpływać podejmowane przez Patricka i jemu podobnych decyzje. Te z kolei bywają tak samo często przypadkowe, jak i świadome. Po prostu człowiek jest jak pionek w grze, w każdej chwili ktoś może go strącić, ominąć, może natrafić na przeszkodę albo bez żadnego problemu osiągnąć swoje cele. Nie każdy ma szczęście. Nikt nigdy nie potwierdził teorii głoszącej, że przyjdzie taki dzień, kiedy los się odmieni, odwróci. Ale prawda jest taka, że taki dzień może nigdy nie nastąpić.

Patrick szedł przed siebie. Mijał wszystko i wszystkich. Nagle usłyszał:

- Miałeś wyjechać. Miałeś stąd zniknąć w ciągu trzech dni. Dzisiaj właśnie mija trzeci dzień, a ja cię widzę w Nowym Jorku całego i zdrowego. Teraz Julie przebywa zdrowa i szczęśliwa w rodzinnym gronie. Ale chyba nie chcesz, żeby tak zostało... ? - spytał ze spokojem i kwaśnym uśmiechem czterdziestoletni, potężny mężczyzna z głęboko osadzonymi, ciemnymi oczami i ze zniszczoną przez poparzenie twarzą.

- O co ci chodzi?! Przecież jestem daleko od niej! - odpowiedział Patrick tonem niewinnie oskarżonego.

- Pamiętasz z kim rozmawiasz?! Chcesz, żebym cofnął czas i jeszcze raz odegrał rolę taksówkarza? Chcesz, żebym stanął na lotnisku i poczekał na Julie? Tylko tym razem nie będę tak potulnie wykonywał jej poleceń. Kurs może się okazać mniej przyjemny...

- O czym ty mówisz? Jaki kurs, jaki taksówkarz?! - pytał Patrick, nie rozumiejąc o co chodzi.

- Mam Julie na oku, odkąd przyjechała do Nowego Jorku. Już pierwszego dnia jej pobytu w mieście stanąłem na jej drodze. Chciałem poznać przyszłą ukochaną jednego z nas.

- Skąd wiedziałeś, że nią będzie ?!

- Do tej pory nie zorientowałeś się, że i wśród nas są równi i równiejsi, silni i silniejsi? Ja akurat należę do tych najbardziej przewidujących... i muszę stwierdzić, że coraz bardziej zaniedbujesz swoje obowiązki.

Myślisz, że możesz tak beczynnie łązić po ulicach Nowego Jorku, nie robiąc nikomu krzywdy?! Patrz!

- Przestań! Co robisz?! - krzyknął Patrick na widok upadającej kobiety.

- Nic, po prostu ta staruszka niepotrzebnie przechodziła pod dachem, z którego zwisa pełno ostrych sopli lodu.

- Dobra, rozumiem! Tylko przestań! Co mam zrobić?!

- Wyjechać stąd i dobrze wykonywać swoją pracę! Leć do Europy. Do Londynu albo Paryża. Nie chcę cię tu widzieć - powiedział stanowczo. - A tak na marginesie, Julie wraz ze znajomymi zamierza dobrze się bawić w starym drewnianym domu. Wiesz chyba którym? Zrobiłeś tam kiedyś niezłą rozpierduchę... Dobrze pamiętam? To byłeś ty, prawda?

- A niech cię szlag, Drake, niech cię szlag! - krzyknął Patrick.

Wyglądał na zrezygnowanego. Wiedział, że Drake chce przyprzeć go do ściany, ale nic nie był w stanie na razie zrobić. Musiał posłusznie wyjechać.

Drake skrzywił wargi na kształt złośliwego i triumfującego uśmiechu.

- Adiós! - krzyknął, po czym zniknął.

Patrick rozejrzał się wokół. Wiedział, że został sam, a obok niego leżą jedynie zwłoki siedemdziesięcioletniej staruszki, z wbitym w głowę półmetrowym soplem. Twarz kobiety zapadła się w czerwonym od jej krwi

śniegu. Chłopak zerknął raz jeszcze, włożył ręce do kieszeni i odszedł.

Patrick wiedział, że Drake ma nad nim przewagę. Był od niego silniejszy. Musiał wyjechać. Musiał wsiąść do samolotu i potulnie opuścić kontynent.

Patrick stał na lotnisku i patrzył na tablice informujące o odlotach. Nie miał czasu nawet się spakować. Zostawił mieszkanie w Nowym Jorku, myśląc, że wkrótce wróci. W rękę trzymał podręczny bagaż. Tam, dokąd wyjedzie może nikt go nie rozpozna. Chciał wybrać państwo, w którym filmy z jego udziałem nie były wyświetlane. Tak postanowił. Swojemu menadżerowi oznajmił, że przez jakiś czas nie będzie przyjmował żadnych ról. Chciał wyjechać incognito.

„Warszawa, pomyślał, patrząc na godziny odlotu. Tam pojedę. Lot za pół godziny. Idealnie. Przesiadka w Dublinie. Może być”. Polska. Patrick nigdy tam nie był, ale miał nadzieję, że wszystko ułoży się dobrze.

Po wielu godzinach lotu Patrick znalazł się w Polsce.

Przyleciał do kraju, o którym do tej pory wiedział tylko tyle, że widnieje na mapie Europy. Bał się opuścić lotnisko. Nie wiedział czego powinien się spodziewać. Kiedy jednak wyszedł na zewnątrz, był mile zaskoczony.

„Mniej tu ludzi niż w Nowym Jorku, ale całkiem tu ładnie” pomyślał. Wsiadł do zaparkowanej w pobliżu lotniska taksówki. Poprosił o kurs do najbliższego hotelu. Jadąc, obserwował miasto. Zaczął się zastanawiać,

dlaczego nic o Polsce i Warszawie nie wiedział. Otoczenie wydawało mu się niezwykle ciekawe, takie inne. Nawet powietrze pachniało inaczej. Taksówka zatrzymała się przy jakimś hotelu. Hałas powodowany przez trąbiące samochody i jeżdżące tramwaje, podpowiadały mu, że znajduje się w centrum Warszawy. Zaraz po pozostawieniu w hotelu bagażu, wyszedł zwiedzić miasto.

Szedł przed siebie około dwudziestu minut. Nie wiedział, że znalazł się na Starówce, która mu się spodobała. Usiadł pod kolumną Zygmunta. Obserwował ludzi. Wszyscy się dokądś spieszyli. Jak tam, skąd przyjechał. Byli ciepło poubierani, ale i tak wyglądali na zmarzniętych. Sporo osób siedziało w licznych restauracjach i wyglądało na to, że zajadali się smacznymi potrawami.

Spacerował wąskimi uliczkami, podziwiając stare kamienice, zamek, według niego wyjątkowo okazały, oraz stojącą obok wielką choinkę. Nagle usłyszał:

- Musisz wracać.

- Thomas? Co tu robisz? Jak mnie odnalazłeś?! Też posiadasz jakieś nadzwyczajne moce? Czytasz w czyichś myślach? Drake potrafi, jak to sam ujął: przewidywać ... - powiedział Patrick z wyraźną pretensją w głosie, patrząc bratu prosto w oczy.

- Żebyś wiedział. Mam moc, ale nie jest nią czytanie w myślach. Po prostu wiem, gdzie ktoś w danej chwili przebywa i umiem dotrzeć tam w ciągu sekundy.

- Super, widzę, że tylko ja jestem taki lichy i słaby, że nie potrafię nawet być z kim pragnę. Muszę być posłuszny jak potulny zwierzak.

- Wcale nie. Na pewno potrafisz robić coś nadzwyczajnego, ale jeszcze nie wiesz co. Nie miałeś okazji odkryć, w czym jesteś dobry Podobnie jak Julie. Przez tyle lat nie odkryła, że jest aniołem. Nawet przez myśl jej to nie przeszło. My mamy podobnie. - powiedział Thomas. - Ty też na pewno masz jakąś umiejętność. Tylko nie przyszedł jeszcze moment, żebyś ją odkrył...

- Dobra, do rzeczy, czemu mam wracać?!

- Bo Drake cię wykiwał.

- Co?! Jak to?! - zapytał Patrick, z lekką paniką w głosie. - Miałem wyjechać i być tym, kim byłem do tej pory. Miało być wszystko w porządku, Julie miała być bezpieczna.

- Jesteś naiwny, jesteś jeszcze za młody...

- Do rzeczy, Thomas!

- Czy ty naprawdę uważasz, że Drake nie zniszczy Julie ?! Patrick, ona jest aniołem... On nie czyha na nią tylko ze względu na ciebie. On poluje na Julie, bo wie kim ona jest i się boi, że niebawem i ona to odkryje, a ty jej w tym pomagałeś...

- Chciał, żebym opuścił kraj, a on w tym czasie zabije Julie?

- Chciał, żebyś mu nie przeszkadzał. Za t^owoimi plecami planuje jakąś akcję przeciwko niej.

- Jaka, wiesz?! - pytał Patrick, chcąc jak najszybciej wyciągnąć od brata wszystkie potrzebne mu informacje.

- Nie wiem jeszcze jaką, ale wszyscy się śmiali, że w tym samym, starym domu, w którym ty...

- Wiem, nie kończ! Umiesz zrobić tak, żebym i ja znalazł się w ciągu sekundy z powrotem w Nowym Jorku?!

- Nie, ale spiesz się! Julie wróciła już do akademika. Jest razem ze swoją koleżanką w ich pokoju...

- Co mam robić?! Powrót zajmie mi wiele godzin! Będziesz tam wcześniej! Spróbujesz ją dla mnie ochronić?! Ja bym chronił twoją Kate...

- Nie wspominaj o Kate! Zrobię, co w mojej mocy, ale nie mam zamiaru narażać się Drakebwi! Nie trać czasu - powiedział brat. Miał niezwykle poważny wyraz twarzy*

„Ja jestem naiwny? No to jeszcze zobaczymy...” pomyślał Patrick.

Nie minęła godzina, jak Patrick znalazł się ponownie na pokładzie samolotu lecącego do Nowego Jorku. A jak nie zdążę!?, pytał samego siebie. Patrick wciąż spoglądał na zegarek, jakby się spodziewał, że wskazówki nagle przyspieszą. Niestety, czas płynął wciąż za wolno. „Julie nie może zginąć, jest mi potrzebna”, myślał.

- Przestraszyłeś mnie! - krzyknął Patrick.

- Wiem, aż zadrzałeś! - powiedział z uśmiechem Thomas, który pojawił się na pustym siedzeniu obok Patricka.

- Nie kupiłeś biletu - zażartował Patrick, ale za chwilę przybrał poważną minę.

- Julie już jest w starym domu. Nie jest bezpieczna -ostrzegał brat.

- Domyślam się. Czemu wybrała na imprezę sylwestrową właśnie ten dom?! Przecież on od lat stoi pusty.

- Ludzie lubią miejsca, w których zdarzyło się coś niezwykłego, albo takie, które wyglądają, jakby miary duszę. Rozumiesz. Stare domy przechowują historię o swoich lokatorach. W dodatku ten... ten na pewno przechowuje...

- Zapomnijmy o tym, najważniejsze, żeby Julie nic się nie stało. A teraz już znikaj, zanim ktoś cię tu zobaczy.

- O to się nie martw. Spójrz na tych ludzi. Albo mają słuchawki na uszach, albo wgapiają się w monitory laptopów.

- Idź tam, Thomas. Ratuj ją, gdybym ja nie zdażył...

Minęła północ. Zaczął się kolejny rok. Dwutysięczny dwunasty. Patrick nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie tak celebrowali ten dzień. Dla niego był to taki sam dzień jak inne. W tej chwili był wściekły na cały świat. Przeszkadzało mu wszystko, nawet to, że w taksówce było zepsute radio. Mimowolnie spojrzął na kierowcę. Na szczęście nie był to Drake, ale Patrick wyobrażał sobie minę Julie, gdy ta zobaczyła w pierwszy dzień swojego pobytu w Nowym Jorku tak paskudnie poparzoną

twarz. Musiała się przestraszyć. Z zamyślenia wyrwał go widok płonącego domu.

- Niech pan się zatrzyma! Tu, przy tym krawężniku! - krzyknął. Wskoczył szybko z taksówki, trzaskając drzwiami.

Cały budynek stał w płomieniach. Ogień wił się jak węże, obejmując już swoim zasięgiem cały dach. Nikogo nie było na miejscu. Ani Thomasa, ani Drake'a. Nie zastanawiając się ani chwili, Patrick kopnął z całych sił w drzwi. Ogień buchnął mu prosto w twarz, ale chłopak się tym nie przejął. Wskoczył do środka. Miał nadzieję, że nie dotarł na miejsce za późno. Wszedł do salonu. Bardzo dobrze pamiętał rozkład domu. Nie był tu przecież po raz pierwszy. Miał przed oczami widok przerażonych lokatorów. Wszyscy byli wtedy związani linami i siedzieli na krzesłach. Nie mogli krzyczeć, bo wepchnięte w usta chustki uniemożliwiały im jakąkolwiek mowę. Tylko te załzawione oczy, błagalnie patrzące na oprawcę. Patrick miał wtedy zły dzień. Postanowił zesłać na całą rodzinę mordercę. Zginęli wtedy rodzice i trójka małych dzieci. Morderca katował ich, dręczył i torturował przez trzy dni, zanim pozwolił im umrzeć. Lokatorzy więc nie wyjechali nagle, jak myślała Julie. Oni nigdy nie planowali się wyprowadzać. Żyli spokojnie i szczęśliwie, dopóki na ich drodze nie stanął rozdrażniony Patrick. Policja zabrała ciała, a dom po prostu zamknęła. Pamiętał też radość innych,

jemu podobnych. Gratulowali mu „takiej rozpierduchy”, jak to wtedy ujeli. Patrick miał wtedy zaledwie dwanaście lat.

Dym ograniczał Patrickowi pole widzenia. Próbował przecierać oczy, które w tym momencie stały się całkiem bezużyteczne. Poczł panikę. Na chwilę bezradnie przystanął na środku pokoju, zasłaniając dłońmi twarz. Jak ma znaleźć Julie, kiedy nic nie widzi!? Próbował zebrać myśli. W takiej chwili trudno się skupić. Przez niego Julie zginie w pożarze, spali się. Nagle usłyszał czyjś kaszel. Tak, ktoś próbował złapać oddech, krztusił się. Stwierdził, że głos dochodzi trochę bardziej na lewo od niego. Zaczł iść w tamtą stronę i nagłe potknął się o coś. Przykucnął i stwierdził, że na podłodze leży Julie. Odnalazł ją! Leżała tu cała i zdrowa. Patrick zaczął klepać ją po twarzy Julie otworzyła oczy. Patrick wziął ją na ręce.

- Patrick? - zapytała ledwie przytomna Julie. Zaczęła kaszleć. Nie wiedziała, co się wokół niej dzieje.

Patrick nie odpowiedział. Nie chciał tracić czasu, musiał jak najszybciej wynieść dziewczynę z płomieni. Julie nie była świadoma tego, że właśnie chłopak jej marzeń tulił ją do swojej piersi, chcąc uchronić przed ogniem. Udało się wyjść bezpiecznie. Patrick położył bezwładną Julie na śniegu. Mimo że dziewczyna była nieprzytomna, chłopak cieszył się, że zdołał ją uratować. Wiedział, że ona żyje, a to było najważniejsze!

- Patrick? - zaczęła znowu, ledwie wydobywając głos. Chłopak musiał się nachylić, aby zrozumieć, co chce powiedzieć Julie. - Alice... Nie ma Alice. Gdzie ona jest!? Błagam, znajdź ją - wydusiła, po czym straciła przytomność.

Rozdział dziewiąty

- Córeczko! Słyszysz nas? - usłyszałam znajomy głos mamy. Otworzyłam oczy. Zobaczyłam pochylonych nade mną zmartwionych rodziców.

- Gdzie jestem? - zapytałam zdezorientowana. Ogarnęło mnie w tej chwili straszne uczucie. Nic

nie pamiętałam. Pustka w głowie. I te zatroskane miny rodziców, które sugerowały, że stało się coś złego. Odruchowo zaczęłam dotykać swojej twarzy. Miałam plaster na policzku, ale poza tym wydawało się, że jestem cała. Nie czułam bólu, jedynie dziwny ucisk w piersiach. Miałam podrażnione gardło. Nie zastanawiałam się nad tym, co robię. Po prostu automatycznie sprawdzałam, czy wszystkie moje członki są sprawne. Ściskającej moją rękę matce, na szczęście mogłam odpowiedzieć tym samym. Oznaczało to, że miałam nadal czucie w rękach. Wszystko było w porządku. Pomyślałam o nogach. Podparłam się na łokciach. Nie zdążyłam jeszcze nic zrobić, gdy usłyszałam prośbę mamy:

- Nie ruszaj się, odpoczywaj, kochanie, nie próbuj jeszcze wstawać.

O dziwo, zareagowałam dosyć żywo i żwawo, jak na osobę, która dopiero przed chwilą odzyskała przytomność.

- Mamo, spokojnie, nie zamierzam wstawać. Chciałam tylko sprawdzić, czy palce u stóp mnie jeszcze słuchają...
-odpowiedziałam.

Matka widocznie nie zrozumiała, bo spojrzała najpierw na mnie, a potem na ojca.

Uśmiechnęłam się i spróbowałam sformułować zdanie troszkę jaśniej.

- Sprawdzam, czy mogę poruszać nogami.

- Aha, dobrze, możesz?

- Tak, wszystko w porządku. - Mamo, gdzie jest Alice?! - krzyknęłam nagle, bo właśnie dotarło do mnie, że nie widzę, aby obok mojego łóżka stało inne, na którym leżałaby moja przyjaciółka. Przez ułamek sekundy serce mi niemal stanęło. Mina matki sugerowała, że zaraz usłyszę złe wieści. Miałam jedynie nadzieję, że nie najgorsze...

- Alice leży na innym oddziale. Trochę bardziej ucierpiała, ona i jakiś chłopak.

- Ale żyje?!

- Tak, wszystko będzie dobrze. Ojciec jest przy niej.

- Pan Clarke? Przyjechał do niej? - spytałam. Z trudem mogłam uwierzyć, że chciał odwiedzić w szpitalu córkę.

- Oczywiście. Był załamany. Od wczoraj nie odszedł nawet na moment od jej łóżka. Przynosiliśmy mu

z ojcem jedzenie, bo nawet nie wychodził, aby coś zjeść. Mówił, że nie przeżyłby, gdyby coś się stało Alice.

- Miło to słyszeć.

- Jestem najszczęśliwsza na całym świecie, że jesteś zdrowa, ale mieliście więcej szczęścia niż rozumu. Niestety nie każde z was... - zaczęła matka Julie, ale najwidoczniej pożałowała, że zaczęła ten temat, bo im bliżej końca zdania, tym wypowiadała je ciszej.

- Mamo, o czym ty mówisz? Naprawdę niczego nie pamiętam.

- Kochanie, teraz odpoczywaj, o nic się nie martw, porozmawiamy o tym jutro. Pośpij teraz - mówiła matka, chcąc uniknąć dalszej rozmowy i wyjaśnień.

Nie mogłabym jednak usnąć, nie wiedząc, co się wydarzyło.

- Mamo błagam cię, powiedz. Nic mi już nie jest! Zobacz! Jestem zdrowa! Powiedz mi wszystko, co wiesz.

- Byliście pijani. Wszyscy. Bez wyjątku. Bardzo pijani. Była godzina pierwsza w nocy, kiedy najprawdopodobniej jakaś świeczka spowodowała w domu pożar. Tam wszystko było z drewna. Strażacy mówili, że w takich warunkach płomienie rozprzestrzeniają się w mgnieniu oka. Nie widzieli natomiast żadnych śladów wałki z ogniem. Nie było rozrzuconych koców ani wiader z wodą. Najprawdopodobniej nawet nie zareagowaliście. Wszyscy spaliście. Nie wiem, może ty mi wyjaśnisz, jakim cudem wasza trójka znalazła się na zewnątrz? Kiedy zjawili się strażacy, leżeliście nieprzytomni na śniegu.

- A reszta, co z innymi, mamó?

- Nie żyją. Nikt nie przeżył oprócz was. Przykro mi... - mówiła mama, głaszcząc mnie po ramieniu.

Czułam się tak, jakbym dostała nożem w serce. Ogarnęło mnie poczucie winy. Pytałam sama siebie, dlaczego przeżyłam właśnie ja. Wiedziałam, że moje zachowanie podczas sylwestra było nierozsądne i nieodpowiedzialne. Piłam razem z wszystkimi. Do utraty przytomności. Nie miałam umiaru. Gdyby nie szczęście, albo raczej, gdyby nie obecność tam pewnej osoby - nie byłoby mnie tutaj. No właśnie... Patrick! On tam był! Co on tam robił?! Pamiętałam go jak przez mgłę, ale był tam, na pewno tam był! Miałam ochotę wykrzyczeć to, co właśnie sobie przypominałam.

Spojrzałam na rodziców. Jak zwykle miałam wrażenie, że ojciec coś podejrzewa. Jak dotąd nic nie powiedział. Nachylał się nade mną wraz z mamą, miał zatroskaną minę, ale jeszcze nie powiedział ani słowa. A teraz patrzył, jakby wiedział, że czegoś im nie mówię. Nagle zapragnęłam zostać sama. Musiałam to wszystko sobie poukładać. Zginęli młodzi ludzie, znajomi Oskara. Alice i Oskar przeżyli. Patrick uratował także ich. Boże, co za początek roku! Setki pytań kłębiło się w mojej głowie. Wszystko to wydawało się takie nierealne!

Minęło kilka godzin. Rodzice poszli do hotelu, w którym zatrzymali się na czas mojego pobytu w szpitalu. Ja

natomiast chciałam jak najszybciej zobaczyć się z Alice. Wyszłam na korytarz. Było ciemno. Dawno już zapadł zmrok. Nie miałam sił w nogach. Mięśnie odmawiały mi posłuszeństwa. Miałam wrażenie, że korytarz nie miał końca. Zewsząd dochodziły mnie dźwięki działającej aparatury, od czasu do czasu było słycać jęki pacjentów. Pewnie dręczyły ich koszmary. Ogarnął mnie strach. Świadomość tego, że wokół mnie są jedynie chorzy i cierpiący, wywoływała u mnie gęś skórę.

Myślałam, że jestem w tym zimnym holu sama, ale gdzieś na końcu korytarza mignął mi cień przechodzącej osoby. Chciałam jak najszybciej dotrzeć do Alice. Wciąż czułam, że na korytarzu jest ktoś jeszcze. Panująca cisza była niepokojąca, mąciły ją jedynie co jakiś czas jakieś szmery lub skrzypienie drzwi. Weszłam do pokoju, w którym leżała Alice. Jej twarz pokrywał bandaż. Najpewniej opatrunek łagodzący obrażenia po oparzeniu. Myślałam, że śpi, ale nagle usłyszałam jej szept.

- Julie, to ty? Wszystko mnie boli. Jest tu mój ojciec? - zapytała. Wyglądała mizernie.

- Alice... nie śpisz? Przepraszam, obudziłam cię.

- Nie, nie mogę spać. Boję się zamknąć oczy, bo non stop mam koszmary.

- Usiądę tu na chwilę obok ciebie - zaproponowałam i przysunęłam krzesło do łóżka przyjaciółki. -Twojego ojca tu nie ma. Rodzice mówili, że był przy tobie cały czas...

- Wiem, czułam przez sen, że ktoś trzyma mnie za rękę... Julie, jak to możliwe, że przeżyliśmy? Co z Oskarem? Słyszałam, jak pielęgniarki mówiły, że jeszcze jakiś chłopak ocalał.

- Tak, to Oskar. Nie wiem dokładnie, jak on się czuje, ale żyje.

- Julie, powiedz mi, jak znaleźliśmy się przed domem? Przecież spałam z Oskarem na górze...

- Patrick tam przyszedł. Pamiętam go - odpowiedziałam i wciąż analizowałam treść własnych słów.

- Patrick! Patrick Varner?! Twój...? - powiedziała z niedowierzaniem Alice. - Nie mój, ale tak, on...

- Co on tam robił?!

- Nie wiem, Alice. Zawsze zjawia się znikąd. Pamiętasz wypadek na lodowisku? Nie mówiłam ci tego wcześniej* ale widziałam go później na nagraniu. Kamera go uchwyciła. On mnie chyba śledzi...

- Nie wiem, czy cię śledzi, czy jest psycholem, ale chyba uratował nam życie.

- Chyba tak.

- Gdzie leży Oskar, w którym pokoju? - zapytała Alice.

- Rodzice przenieśli go do innego szpitala, do miejscowości, w której mieszkają. Nic mu już nie grozi -uspokajałam Alice.

- Nie mogę uwierzyć, że wszyscy zawdzięczamy życie Patrickowi Yarnerowi. Jak mu się odwdzięczymy?

Byłam ciekawa, czy jeszcze go kiedyś spotkam, a je-

żeli tak, to w jakich okolicznościach. Na pewno nie był psycholem, przecież wszedł w sam środek pożaru i nas uratował. Dla mnie był bohaterem.

Gdy wracałam do swojego pokoju, znów odniosłam wrażenie, że ktoś jest na korytarzu. Może to Patrick. Przyzwyczyłam się już, że pojawia się znikąd.

- Patrick, to ty? - powiedziałam niepewnie. Nie wierzyłam jednak, że usłyszę jakąkolwiek odpowiedź.

- Nie, to nie Patrick - nagle ktoś odezwał się ochryplym, głębokim głosem.

Aż podskoczyłam ze strachu. Zabrzmiało to dość złowieszczo. Ten ktoś stał za moimi plecami tak blisko, że słyszałam, jak oddycha. Odległość musiała być naprawdę niewielka. Bałam się odwrócić. Na całym korytarzu nie paliło się żadne światło, a na środku byłam tylko ja i ktoś obcy, czający się za moimi plecami. Chciałam biec. Nie odwracać się, tylko uciec i schować się pod kołdrę. Ale ten ktoś jakby znał moje zamiary, jakby je przewidywał. Nawet nie zdążyłam zrobić jednego kroku, jak obcy mężczyzna stał już przede mną, zagradzając mi drogę. Zaczęłam trząść się ze strachu. Czułam serce w gardle. Nie mogłam oddychać. Nogi odmówiły mi całkowicie posłuszeństwa, jakby mnie ktoś wbił w ziemię albo polał cementem stopy i unieruchomił. W ciemności nie potrafiłam rozpoznać rysów jego twarzy. Wiedziałam tylko, że stał przede mną bardzo wysoki mężczyzna. Głowę miał lekko przechyloną w bok i przyglądał mi się uważnie.

- To nie Patrick - powtórzył.

- W takim razie, kim jesteś?

- Spotkaliśmy się już kiedyś, nie pamiętasz? Wtedy też się mnie bałaś. Nie chciałaś popatrzeć w lusterko. Pomyślałaś: „Ma potworną, poparzoną twarz, poproszę go z obojętną miną o kurs do akademika”. I tak zrobiłaś.

Początkowo nie zrozumiałam, o czym ten mężczyzna do mnie mówi, ale szybko sobie przypomniałam. To był taksówkarz. Kierowca, który pierwszego dnia mojego pobytu w Nowym Jorku podwoził mnie do akademika. Samo to wspomnienie spowodowało, że oblały mnie zimne poty. Ten facet znał moje myśli i potrafił bardzo szybko się przemieszczać. Śledził mnie i chyba chciał mnie skrzywdzić.

- Nie muszę cię śledzić, żeby wiedzieć gdzie jesteś. Na resztę twoich domysłów odpowiedź brzmi „tak”...

Gdy wypowiedział te słowa, tak jak stałam, tak nagle osunęłam się bezwładnie na podłogę. Nie czułam bólu, ale nieznajomy taksówkarz wysysał ze mnie siły i całkiem zawładnął moim ciałem.

- Kim jesteś? - zdążyłam jeszcze zapytać.

- Zostaw ją, Drake! - usłyszałam inny głos, dobiegający z końca korytarza. Ale już nie mogłam zareagować.

- O proszę, przyszedł ukochany braciszek Patricka! Szukasz guza? - powiedział nieznajomy mężczyzna. Drwiący uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

- Ona niczego nie wie, nawet się nie domyśla, jest niewinna, przestań, słyszysz?!

- Gdzie zgubiłeś brata? Nie przyszedł ratować swojej miłości?
- zapytał z ironią.

- Zaraz przyjdzie.

- A no tak, on nie potrafi przemieszczać się w ciągu kilku sekund. Poczekamy na niego i damy mu możliwość popatrzeć, jak jego dziewczyna umiera - powiedział Drake.

Stał nade mną, ale najwidoczniej na razie przestał wysysać ze mnie życie. Dało mi to parę minut na zebranie sił. Poczułam się lepiej. Wszystkie zmysły mi się wyostrzyły. Wzrok stał się doskonały. Teraz, mimo panujących ciemności, mogłam przyjrzeć się obojgu. Wysoki mężczyzna miał poparzoną twarz, tak jak ten kierowca... Czoło miał mocno wysunięte, brwi bardzo gęste. Najbardziej charakterystyczne były jednak jego oczy. W taksówce nie zwróciłam na nie uwagi. Teraz spostrzegłam, że były czarne jak węgiel albo smoła. Były pozbawione białka. Kiedy mu się przyglądałam, stał do mnie bokiem. Mogłam zobaczyć swoje odbicie w jednej z wielu szpitalnych szyb, znajdujących się za nim.

Oniemiałam. Wydawałam się sobie teraz zupełnie inna. Włosy nabrały jakiegoś blasku. Były jaśniejsze niż zwykle. Cała byłam jaśniejsza. Skóra nabrała mlecznej barwy, a oczy niesamowitego intensywnie morskiego koloru. Nigdy takich nie miałam! Patrzyłam na siebie jak na obcą osobę. Spod moich dłoni również wydobywało się jasne światło. Cała się świeciłam! Jakby moją skórę pokrywało milion brylancików.

Najwidoczniej Drake też to zauważył, bo natychmiast skupił uwagę na mnie. Tym razem nie wiedzieć czemu ironiczny uśmiech zniknął z jego twarzy. Zamiast niego pojawiło się zdziwienie i jakby złość. Niczego nie rozumiałam. Popatrzyłam na siebie, a potem na innych. W głowie szukałam odpowiedzi. „Może ktoś mi wreszcie wyjaśni, co się tu dzieje?!”, pomyślałam.

Wtedy na korytarzu pojawiła się następna osoba. To był Patrick. Słyszałam go, jak biegł w stronę szpitala. Słuch też miałam najwidoczniej doskonały. Powietrze zrobiło się parne. Czułam, że jest mi gorąco. Kim byli ci ludzie? Kim ja jestem? Czemu nagle, gdy mojemu życiu zagraża niebezpieczeństwo, coś się ze mną dziwnego dzieje? Skąd się bierze ta moja wewnętrzna siła? Czemu nie pojawiła się podczas pożaru? Niczego nie rozumiałam. Patrick uważnie przyglądał się wszystkiemu. Chyba poczuł ulgę, gdy zobaczył, że żyję.

- Nie chciałeś, żeby się dowiedziała kim jest? To teraz spójrz, sam pozwoliłeś jej poznać odpowiedź - powiedział Patrick.

- Zabiję ją! - krzyknął Drake i wlepił swoje czarne oczy w moje. - Gdzie ona jest?! - nagle krzyknął zdziwiony.

- Zniknęła, ale numer! - zauważył Patrick.

- Znajdźcie ją! Widzieliście, gdzie poszła? Thomas, gdzie ona jest?! Odpowiadaj, słyszysz?! - warknął wściekły Drake.

- Jest tam, gdzie była. Tylko jej nie widzisz - odpowiedział spokojnie Thomas.

- Coś jest nie tak chyba z twoim radarem. Gdyby tu była, to bym ją widział, ślepy nie jestem! Zabiję cię, słyszysz?!

- Zniknęła, nie rozumiesz?! W ten sposób nie jesteś w stanie jej nic zrobić. Twój wzrok do niej nie sięgnie.

- To jeszcze nie koniec, znajdę sposób, żeby ją zabić. Ty, Thomas, lepiej też miej się na baczności, żeby rodzinne więzi ci nie zaszkodziły. Braterska miłość... - powiedział z nienawiścią Drake.

Wciąż staliśmy na korytarzu. Byłam ja, Patrick i Thomas. Z rozmowy wywnioskowałam, że Thomas był bratem Patricka. Drake rozplątał się w powietrzu. Zaczynałam rozumieć coraz więcej. Oni byli źli, posiadali dziwne moce. Ten najstarszy i chyba najpotężniejszy z nich chciał mnie zabić. Patrzyłam teraz na Patricka i potrzebowałam wyjaśnień. Oboje zrozumieli, o co mi chodzi. Thomas odezwał się pierwszy.

- Jestem Thomas, brat Patricka. Nie mieliśmy okazji wcześniej się poznać - powiedział i wyciągnął do mnie rękę.

Teraz dopiero się zorientowałam, że stałam się z powrotem widzialna. Widziałam między nami jakieś podobieństwo. Nie tylko oczy. Jeszcze jakąś dziwną pewność siebie.

- Julie - wyciągnęłam niepewnie rękę. Bałam się, że to jakiś blef i zaraz znów padnę obezwładniona na podłogę.

- Nie bój się. Nie zrobimy ci krzywdy, choć to trochę niezgodne z naszą naturą - powiedział Thomas, siląc się na nikły uśmiech. - Zostawiam was samych, bo chyba musicie porozmawiać - dorzucił i nawet się nie zorientowałam, jak już go nie było obok nas.

Zostaliśmy sami. Patrick podszedł do mnie bardzo ostrożnie i powoli. Był piękny. Bił od niego spokój, poczułam się przy nim bezpieczna. A z tego, co zdażyłam pojąć z dzisiejszych wydarzeń - nie powinnam była się tak czuć. Coś mi przy nim zagrażało, bo wszędzie, gdzie dotychczas on się pojawiał, tam zdarzały się wypadki, a w sytuacjach, gdy ja cała się trzęsłam ze strachu - on był niewiarygodnie opanowany. Nigdy nie poznałam kogoś tak odważnego. On nie znał chyba pojęcia strachu.

- Przepraszam. To wszystko przeze mnie - zaczął, chwytając mnie za rękę.

- Nie rozumiem, niczego nie rozumiem, Patrick...

- Wiem. Chciałbym ci to wszystko wytłumaczyć. Nie chcę cię już dziś męczyć. Jesteś pewnie zmęczona -mówił.

Widocznie bał się tej rozmowy. Wiedział, że potrafię się złościć, ale teraz nie miałam ku temu powodów. Chciał mnie bronić. On i jego brat.

- Nie jestem śpiąca ani zmęczona. Właśnie uczestniczyłam w czymś bardzo nierealnym i jedyne, czego pragnę, to żebyś mi wszystko wytłumaczył; ale nie tutaj,

nie w tym miejscu. Wyjdźmy gdzieś stąd! Zabierz mnie dokądkolwiek!

Zaproponowałam wspólne wyjście w środku nocy! To było do mnie niepodobne, ale akurat zaczynałam się przyzwyczajać, że coś się w moim życiu radykalnie zmienia.

- Dobrze, ale przed świtem musisz tu być z powrotem. Nikt nie może czegokolwiek podejrzewać - powiedział poważnie Patrick, po czym trzymając mnie za rękę, poprowadził do drzwi wyjściowych.

- A jak pielęgniarzki nas zobaczą? Jakim cudem w ogóle nikt nas nie usłyszał?

- Bo zwykli ludzie nas nie słyszą ani nie widzą, jeżeli tego nie chcemy.

- Jak to? Mnie widzą, ciebie też.

- Ale nie są w stanie nas zobaczyć ani usłyszeć, jeśli to, o czym mówimy lub to, co robimy, jest dla nich obce, dziwne i co mogłoby wzbudzić jakiegokolwiek podejrzenia. Poza tym potrafisz nawet przy nas nagle rozplynać się w powietrzu - dodał i się uśmiechnął.

- Ale twój brat wiedział, gdzie stoję, kiedy nawet Drake nie był w stanie mnie zobaczyć?

- Bo mój brat potrafi wyczuć obecność danej osoby i dokładnie ją zlokalizować. Wiesz, taka dodatkowa zdolność, której ja nie posiadam.

- A jaką masz? - zapytałam z ciekawością. Chciałam poznać szczegóły innej, dotąd nieznannej

mi strony życia i świata, a przy okazji jak najwięcej dowiedzieć się o Patricku.

- Jeszcze nie wiem, ale ponoć każdy z nas posiada jakąś umiejętność, która w odpowiednim czasie się ujawnia - wyjaśnił.

- Tak jak mnie się ujawniła... - szepnęłam. Patrick widocznie usłyszał to, co powiedziałam, bo

twierdząco skinął głową i mocniej ścisnął moją rękę.

- Tak! Cieszę się bardzo, że odkryłaś kim jesteś - powiedział i spojrzał na mnie czule.

Opuściliśmy szpital. Nikt nas nie widział.

Był początek stycznia. Temperatura wciąż utrzymywała się poniżej zera. Patrick od razu zobaczył, że trzęsę się z zimna. Na szczęście zaprowadził mnie do swojego samochodu i od razu włączył silnik, aby ogrzać wnętrze auta. Czułam się nieswojo. Sama w nocy z dziwnym chłopakiem w jego samochodzie! Ale to, co się mi dzisiaj przytrafiło też było dziwne!

- Powiesz mi? - zaczęłam, gdy tylko temperatura stała się do zniesienia, a z moich ust przestała wydobywać się para.

Patrick wciąż trzymał moje dłonie i co jakiś czas chuchał na nie, aby je rozgrzać.

- A co chcesz wiedzieć? - zapytał, domyślając się zapewne, że na jednym pytaniu się nie skończy.

- Wszystko, ale może zacznijmy od tego, kim jesteś? - powiedziałam, choć już chyba wiedziałam, jaka będzie odpowiedź.

- Twoim przeciwieństwem - powiedział.

- A ja jestem... - Musiałam mieć pewność.
- Aniołem - dokończył. Wszystko stało się dla mnie jasne.
- W takim razie chyba nie powinniśmy tu siedzieć razem? To chyba sprzeczne z naszą naturą? - powiedziałam.
- Masz rację, nie powinniśmy. Jeżeli tylko uznasz, że mam odejść - odejdę. Jeżeli nie, będziemy musieli podjąć wspólną walkę z Drakiem. On nie pozwoli, abyśmy byli razem.
- Zanim ci odpowiem, coś mi jeszcze wyjaśnij. Czemu nie przyszedłeś na umówione ze mną spotkanie i czy już wtedy wiedziałeś, kim jestem? Czemu nie dawałeś znaku życia przez tak długi czas, po czym pojawiłeś się na występie? Jakim cudem uratowałeś nas wszystkich i skąd wiedziałeś o pożarze?
- Już, już... po kolei. Pierwsze pytanie brzmiało... ? - spytał.
- Patrzył na mnie z jakąś dziwną fascynacją...
- Brzmiało... czemu nie przyszedłeś na spotkanie?
- Nigdy nie byłem w żadnym związku z kobietą. To byłaby dla mnie duża zmiana. Do tej pory żyło mi się wygodnie. Poza tym już wtedy wiedziałem, że nie jesteś zwyczajną dziewczyną. Bałem się chyba konfrontacji, ale później żałowałem. Poczuję się jak tchórz - mówił.
- A ja nagle, słysząc te słowa, zdałam sobie sprawę, że w Patricku nie ma niczego z niedostępnego gwiazdora. Siedział obok mnie zwykły chłopak, który właśnie

tłumaczył się dziewczynie z niestosownego zachowania ... No prawie zwykły...

- Jak się dowiedziałeś, że nie jestem zwykłą dziewczyną?

- Byłaś w klubie, w Angels&Demons. Nie wydaje ci się, że nazwa tego klubu jest dosyć zabawna? - powiedział, pokazując w uśmiechu białe zęby.

- Tak, dosyć śmieszna, fakt, ale mów dalej...

- Bawiłaś się tak dobrze i beztrosko, że nie wiedzieć czemu chciałem przerwać twoją radość i postanowiłem...

- Co postanowiłeś?

- Trudno mi o tym mówić, znienawidzisz mnie - powiedział.

Miał chyba nadzieję, że przestanę naciskać i zmienię temat. Kiedy jednak uparcie domagałam się odpowiedzi, nie miał wyjścia, musiał kontynuować.

- Widzisz, każdy z nas potrafi manipulować ludźmi. I to w taki sposób, jakbym tobą sterował. Na zewnątrz, niedaleko klubu stało kilku chłopaków. Chciałem, żebyś wyszła się przewietrzyć. Zachowywałaś się wtedy tak prowokująco. Nie lubię takich dziewczyn. Wiem, że jesteś inna, ale wtedy myślałem inaczej. Gdy wybieram swoją przyszłą ofiarę, używam wtedy jakiegoś kryterium. Najczęściej krzywdzę prowokujące i pijane dziewczyny - powiedział cicho. Jakby bolało go to, że musi robić takie rzeczy.

- Chciałeś mnie zabić? Jak? - zapytałam spokojnie.

- Oni mieli cię zgwałcić, a później utopić w rzece.
- Boże! Obok kogo ja siedzę! - krzyknęłam, a Patrick zrobił się czerwony na twarzy.
- Wiem, przepraszam, jestem okropny.
- Co było dalej?
- Nic, nie zareagowałaś! Nie mogłem nawet spowodować, żebyś wyszła z klubu. Tańczyłaś dalej. Wtedy zdałem sobie sprawę, że nie jestem taki silny, za jakiego się uważałem. A po dzisiejszych wydarzeniach, to w porównaniu z tobą jestem słabeuszem.
- Dobra, dobra, jeszcze nie wiadomo, co trzymasz w zanadrzu. Może to będzie taka umiejętność, która przebije wszystkie inne. Będiesz mógł na przykład latać albo cofać czas, albo staniesz się nieśmiertelny.
- Na razie najpotężniejszym z nas jest Drake. Potrafi zabijać wzrokiem i manipulować umysłami. Być może posiada jeszcze wiele innych umiejętności, o których nie mówi.
- Ale mnie nie potrafił zabić!
- Bo zniknęłaś, ale boję się, że on coś wymyśli... Ale nie rozmawiajmy teraz o tym. Jakie jest kolejne pytanie?
- To jak zabawa w prawdę czy fałsz, z tym, że posługujemy się tylko tą pierwszą. Dlaczego przyszedłeś na występ?
- Bo tęskniłem, chciałem cię zobaczyć. Pięknie wtedy tańczyłaś. Cudownie. Naprawdę nie mogłem wyjść z podziwu - powiedział, ale chciałam, aby powrócił do swojej opowieści.

Na dworze powoli robiło się jasno. Musiałam się spieszyć z zadawaniem pytań.

- Pożar... opowiedz mi o nim.

- To Drake go wzniecił. Przewrócił świeczkę. Wszystko szybko zaczęło płonąć. Wyszedł, nie czekając na rozwój wypadków. Mnie przestrzegł Thomas, który wiedział o planie Drake'a. Udało mi się ciebie wyciągnąć. Później półprzytomna kazałaś mi wrócić po Alice. Nie zdołałem wejść drzwiami. Poza tym schody na górę były już objęte płomieniami. Wyszedłem na zewnątrz. Myślałem, że to już koniec, ale zobaczyłem opartą o dom drabinę. Wszedłem po niej, wybiłem szybę i wskoczyłem do środka. Oboje leżeli na łóżku. Najpierw wyniosłem Alice. Gdy kładłem ją obok ciebie na śniegu zobaczyłem, że ktoś ściąga Oskara. To był mój brat. Wrócił, aby mi pomóc. Od samego początku obserwował całą sytuację, ale bał się ujawnić. Nie powinien pomagać mi w ratowaniu ludzi. Zrozum. My nie możemy dawać drugiego życia, my mamy ludzi go pozbawiać albo generalnie utrudniać wszelkie ich działania - powiedział.

Zdawał sobie sprawę, że szczerą odpowiedź, nawet najgorsza, jest zawsze dobrze odbierana. Nie chciał jej okłamywać. Chciał szczerością zdobyć jej zaufanie.

Nie wszystko było dla mnie jasne i jeszcze chciałam zadać wiele pytań, ale pomyślałam, że na niektóre z nich powinnam sama znaleźć odpowiedź. Wszystko było dla mnie nowością, stąpałam po niepewnym i niebezpiecznym gruncie.

Szliśmy w stronę szpitala. Zaczynał się świt. Musiałam wrócić, zanim lekarze zaczną obchód i zauważą, że mnie nie ma. W pewnym momencie Patrick nagle przystanął, przyciągnął mnie do siebie i powiedział:

- Mam do ciebie pytanie, chociaż je już raz zadałem, ale nie odpowiedziałaś...

- Jakie pytanie? - przerwałam, bo nie wiedziałam o czym mówi.

- No... czy mam odejść, czy zostać. Zaryzykujesz, zostaniesz ze mną, aby wspólnymi siłami pozbyć się Drake'a? Tylko ostrzegam, to nie będzie łatwe - dodał.

- Wiem, domyślam się, ale nie odchodź... - powiedziałam cicho.

- To znaczy, że się zgadzasz?

- Chyba tak - odpowiedziałam i uśmiechnęłam się nieśmiało.

Gdy otwierałam boczne drzwi szpitala, dotarło do mnie, że właśnie zgodziłam się spotykać z Patrickiem. Wydawało się, że reszta nie ma znaczenia. Nawet to, że groziło mi śmiertelne niebezpieczeństwo. Wierzyłam, choć może trochę naiwnie, że nasza miłość pokona całe zło. Wierzyłam, że dobro zwycięży.

Rozdział dziesiąty

Pierwsza opuściłam szpital. Alice miała jeszcze kilka dni zostać. Wróciłam do akademika. Semestr już się rozpoczął. Święta się skończyły, trzeba było znowu chodzić na zajęcia i uzyskać zaliczenie z wiedzy o tańcu. Odrobina teorii jeszcze nikomu nie zaszkodziła, ale to oznaczało częste wizyty w bibliotece. Za każdym razem, gdy przechodziłam między ciemnymi regałami, czułam strach. Z Patrickiem miałam na razie jedynie kontakt telefoniczny. Mieliśmy się spotkać dopiero po egzaminach. Codziennie pisaliśmy do siebie SMS-y. Każde z nas miało obowiązki, on dodatkowo powrócił do aktorstwa, ale obiecał, że wynagrodzi mi to ciągle czekanie. Bałam się jedynie, że nagle, któregoś dnia pojawi się Drake. Z drugiej strony wiedziałam, że nie będę wtedy całkiem sama. Thomas od razu będzie wiedział, gdy Drake pojawi się blisko nas i zjawi się w ciągu sekundy. Nie może być tak źle. Mimo tej świadomości spacer w bibliotece nie należały do najprzyjemniejszych i zawsze wracały wspomnienia wydarzeń, które rozegrały się w szpitalnym holu. Poza tym nie potrafiłam wyjaśnić jeszcze jednego faktu. Dlaczego oparłam się

Drakowi, a mogłam zginąć w zwykłym pożarze? Musiałam się tego dowiedzieć. W Google nie znalazłam interesujących mnie informacji. Pomimo powszechnej opinii, że w Internecie można znaleźć wszystko, to jednak gdy próbujemy znaleźć coś szczególnego, to nas zawodzi. Pozostało mi szukanie w książkach. Może ktoś kiedyś opisał dokładniej postać diabła albo anioła. W końcu chciałam dowiedzieć się czegoś o sobie...

Poszłam do działu „Religia i wierzenia”. Znalazłam tam książkę pod tytułem *Zarys dziejów religii* i zaczęłam ją przeglądać, szukając czegokolwiek, co pomogłoby mi zrozumieć moje niezwykle zdolności. Znalazłam w niej opisy wszystkich możliwych wierzeń. Jej zawartość była opracowaniem naukowym, a to czego ja szukałam, brzmiało jak herezja i jedna, wielka fikcja. Ich dociekania były udokumentowane, a moje? Jednak ku mojemu zdziwieniu okazało się, że niemal we wszystkich religiach wspomniano o diable, demonie, upadłym aniele albo szatanie! W dodatku większość z nich została opisana. Według jednych diabeł miał rogi, według innych był zielony i miał żółte oczy, a jeszcze innych przypominał smoka i posiadał ogon. Wyobrażenia były bardzo różne.

Przeglądałam zamieszczone reprodukcje i ilustracje pochodzące jeszcze ze średniowiecza. Na większości malowideł przedstawiano diabła w otoczeniu ognia. Niektórym zastąpiono palce u stóp i u rąk płomieniami, jakby ogień był ich naturalnym środowiskiem, zawsze

towarzyszącym im żywiołem. Fakt ten nasunął mi pewną myśl. Skoro na potęgę diabła miał wpływ między innymi ogień, który dawał mu siłę i moc, to oznaczałoby, że anioły, jako naturalny wróg demona nie lubią ognia, a ich siła w takich momentach maleje, słabnie. A więc Drake chciał mnie pokonać swoją największą mocą - ogniem, który jednocześnie tłumił moje zdolności. To wyjaśniałoby, dlaczego nie zareagowałam na pożar i byłam bezbronna. Teraz przyszedł mi do głowy jeszcze inny pomysł. Skoro diabły i anioły pochodzą z dwóch różnych światów, skoro są stworzeni na zasadzie kontrastu, to przeciwieństwem ognia jest woda. Woda zaś gasi pożary. To oznaczałoby, że Drake'a można pokonać wodą, która zniweluje jego siłę i zdolności.

Natychmiast sięgnęłam po komórkę, po czym wystukałam wiadomość do Patricka.

„Cześć Patrick! Musimy się jak najszybciej spotkać i porozmawiać. Znalazłam informacje, które pomogą nam pokonać Drake'a. PS. Tęsknię". Zaczęłam wierzyć, że wszystko dobrze się skończy.

Po chwili otrzymałam odpowiedź:

„Julie, ja nawet przez chwilę nie przestałem tęsknić. Niebawem przyjadę, zrobię ci niespodziankę (w tym miejscu dołączył emotikonę uśmiechu). O nic się nie martw. Dopóki Drake czegoś nie wymyśli, jesteś bezpieczna. Opowiesz mi o wszystkim, jak się spotkamy".

Po odczytaniu SMS-a uśmiechnęłam się sama do siebie, zamknęłam książkę i wróciłam do swojego pokoju.

Rozdział jedenasty

Kiedy weszłam do pokoju, Patrick już tam był. Siedział na moim łóżku i przeglądał moje zdjęcia z dzieciństwa. Widocznie album leżał na widoku.

- Cześć! - krzyknął. - Mówiłem ci, że będziesz miała niespodziankę?!

- Rzeczywiście, mam - odpowiedziałam. - I to szybko. - Bardzo się cieszyłam, że go widzę.

- Jak wszedłeś? - zapytałam zdziwiona.

- Zostawiłaś otwarte drzwi. Myślałem, że nie słyszysz, jak pukam, więc wszedłem. Może nie powinienem?

- Nie, no co ty. Gapa ze mnie. Dobrze, że to ty, a nie jakiś złodziej.

- Gdy nie zastałem cię w pokoju, pomyślałem, że zaraz wrócisz.

- Patrick, naprawdę nic się nie stało! Cieszę się, że cię widzę - powiedziałam.

- Wiem, ale teraz jest mi głupio.

- Daj spokój. Powiedz lepiej, czy z tym ogniem, o którym ci pisałam, to znaczy, czy ogień rzeczywiście...

- Dobrze na nas wpływa? Tak - odpowiedział.

- A z tą wodą? Czy rzeczywiście was osłabia?

- Tak, unikamy wody, no chyba że bierzemy prysznic... - śmiał się.

- No tak. Nie podejrzewam was o brak higieny -powiedziałam z uśmiechem.

- Pomyślałem, że moglibyśmy pojechać w czasie ferii w góry na narty. Lubisz jeździć na nartach? - spytał, zmieniając temat.

Widocznie miał już dość odpowiadania na moje pytania. Może go to w jakiś sposób drażniło? Może myślał, że widzę w nim jedynie diabła... ale to nie była prawda. Podobało mi się w nim wszystko, wykluczając oczywiście z tego krzywdzenie innych. Miałam nadzieję, że to już przeszłość. Może właśnie dlatego mnie spotkał, bo miał się pod moim wpływem zmienić? Zresztą, mam wrażenie, że już się zmienił. Złagodniał i był troskliwy. Nie pasował już do roli diabła.

- Możemy jechać, ale... poczekajmy, aż wyjdą ze szpitala Alice i Oskar. Góry dobrze im zrobią - zaproponowałam.

- Oczywiście, jeśli chcesz, poczekamy na twoich przyjaciół.

- Patrick...

- Tak...?

- Dziękuję, dziękuję za wszystko - powiedziałam i chwyciłam go za rękę.

- Mogę coś zrobić? - spytał i przyciągnął mnie do siebie.

- Nie jestem w tym dobra... - ostrzegłam.

Uśmiechnął się i spojrzał na mnie czule. Delikatnie ujął mnie pod brodą i uniósł lekko moją głowę. Nasze twarze znalazły się naprzeciwko siebie.

- Na pewno jesteś. Nawet bardzo dobra, lepsza niż ci się wydaje - powiedział.

Poczułam uderzenie gorąca. A później... później to chciałam, aby ta chwila nigdy się nie skończyła.

- Mówiłem, że jesteś cudowna? - powiedział, dotykając mojego policzka. - Pięknie dzisiaj wyglądasz!

- Też mi się podobasz - odpowiedziałam i nie mogąc się powstrzymać, pocałowałam go jeszcze raz.

Było widać, że jest zadowolony, bo wychodząc z pokoju rzucił z uśmiechem:

- Dobrze, że tu wszedłem, nawet jeśli wyglądało to na włamanie. Przynajmniej otrzymałem wspaniały prezent, którego się nie spodziewałem.

- I też się cieszę, że nie zamknęłam pokoju. Okazuje się, że rzeczywiście nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło! - dodałam i zamknęłam za nim drzwi.

Był to pierwszy pocałunek w moim życiu. Wskoczyłam ze szczęścia na łóżko. Jak wtedy, gdy byłam mała i traktowałam swój materac jak trampolinę. Musiałam jakoś rozładować emocje, a to wydawał się najłatwiejszy sposób. Tym bardziej, że oddawał mój stan ducha.

Ledwie zdążyłam wyszaleć się na łóżku, gdy przyszedł SMS od Patryka.

„Piszę, bo na pewno się za mną już stęskniłaś i chciałem ci życzyć miłej nocy” (dołączona była obok emotikona całusa).

„Miłej nocy” - odpisałam i również dołączyłam całusa. Padłam na łóżko. Wszystko układało się tak dobrze, że się bałam, aby ktoś nie przerwał nam tej idylli. Bałam się Drake'a.

Wstałam bardzo wcześnie. Spojrzałam na puste łóżko Alice i zdałam sobie sprawę, że bez niej było mi smutno. Chciałabym już o wszystkim jej opowiedzieć. Przede wszystkim o Patricku. Pamiętałam, że po naszym występie semestralnym nazwała go frajerem. Uznała wtedy, że traktuje mnie on jak kolejną zakochaną fankę. Teraz pewnie zmieniła zdanie. Gdyby nie on... Aż mnie ciarki przechodeją na myśl o tym, co by się wtedy stało... Uważałam, że nie będzie w stanie powiedzieć na jego temat jednego złego słowa.

Dziś, po długiej przerwie świątecznej, miały się odbyć pierwsze zajęcia z tańca współczesnego. Jak zwykle każda z nas punktualnie zjawiła się przed salą. Natomiast po raz pierwszy spóźnił się pan Clarke. Zawsze karat nas za spóźnienia, a teraz sam nie dostosował się do tej świętej, przez siebie ustalonej zasady. W końcu wszystkie zaczęłyśmy spoglądać w stronę korytarza, skąd zawsze przychodził pan Clarke. W końcu któraś z dziewczyn krzyknęła:

- Idzie! Ale chwilkę, nie jest sam...

- A cóż to za przystojniak obok niego?

- Rzeczywiście, ale ja skądś go znam - mówiła Meg, jedna z naszych koleżanek.

Wszystkie naraz przesunęłyśmy się, aby móc dokładniej przyjrzeć się idącemu obok ojca Alice chłopakowi.

- Zaraz - to Michaeli - powiedziała Meg. - Absolwent naszej szkoły! Ulubieniec pana Clarkea!

- Co on tu robi? Przecież skończył już szkołę - zastanawiały się dziewczyny.

Rozbawiła mnie ta scenka. Czy zawsze tak być musi, że gdy młody chłopak zjawia się tam, gdzie są niemal same dziewczyny, to wzbudza taką sensację i poruszenie? Pomyślałam, że może gdyby nie Patrick, zachowywałabym się podobnie i razem z nimi z ciekawością go obserwowała i snuła marzenia. Ale w tym momencie żaden przystojniak nie miał u mnie szans, więc stałam z grupką nielicznych chłopaków z naszej grupy i przyglądałam się tej uroczej scenie.

- Ale on ładny! - wpadła w zachwyt jedna z dziewczyn. - A jaki umięśniony! - dodała inna.

- Będzie mój! - skwitowała trzecia i wszystkie naraz spojrzały na nią z niedowierzaniem.

Pan Clarke i nowy obiekt westchnień weszli do sali.

- Drogie panie, proszę zająć swoje miejsca - zaczął jak zwykle bez wstępów i powitania.

Miałam wrażenie, że jego cera w trakcie tej przerwy jeszcze bardziej zbielała.

- Jak na pewno wiecie, nie jesteśmy w pełnym składzie. Moja córka przebywa obecnie w szpitalu, dlatego przez jakiś czas, dopóki jej stan zdrowia się nie poprawi, będzie mnie zastępował pan Michael Ryan. Zanim jednak rozpoczniecie zajęcia z panem Michaeliem pozwólcie, że przedstawię wam kilka informacji na jego temat - powiedział i wszystkie twarze, łącznie z moją, skierowały się w stronę niewiele starszego od nas chłopaka.

Michael stał z zaplecionymi z tyłu dłońmi i nieśmiało rozglądał się po sali. Widocznie nie był pewien, jak przyjmiemy tę zmianę. Może się obawiał, że mając dotychczas tak znakomitego prowadzącego, z ogromnym prestiżem i wielokrotnie nagradzanego, nie będziemy zadowoleni z dokonanej zmiany. Pan Clarke cieszył się dużym szacunkiem. Mimo jego wyniosłej postawy i nieprzystępnej natury, każdy tancerz marzył, aby mieć z nim zajęcia. Michael zdawał sobie sprawę, że czeka go duże wyzwanie. Wyglądało jednak na to, że grupa, w której większość stanowiły młode panienki, przyjmie przystojnego Michaela z wielkim entuzjazmem.

I miałam rację. Widziałam, że koleżanki często spoglądają na Michaela ukradkiem i roją na jego temat różne marzenia. Tak... nowy prowadzący zauroczył je w mgnieniu oka. Przestał się liczyć jego mniejszy prestiż.

- Tak więc - ciągnął pan Clarke - Michael Ryan jest absolwentem naszej szkoły. Wielokrotnie gościł na scenie najslawniejszych teatrów w Los Angeles. Zdobył

mistrzostwo świata w tańcu jazzowym i współczesnym. Prowadził warsztaty w prestiżowych szkołach tańca na całym świecie. I jest oczywiście moim podopiecznym -dorzucił, wywołując szczere uśmiechy.

- Proszę o przestrzeganie tych samych zasad, które respektowaliście u mnie na zajęciach.

Następnie odwrócił się do mnie i poprosił, abym do niego podeszła. Wszystkie twarze obecnych tu osób obróciły się natychmiast w moją stronę. Odniosłam wrażenie, że dziewczyny zazdroszczą mi tego wyróżnienia, na dodatek w obecności nowego prowadzącego. Nie wiedziałam w jakim celu mnie do siebie wezwał.

- Panie Michaelu, to jest Julie - powiedział pan Clarke. - Najbliższa przyjaciółka mojej córki. Julie, podobnie jak Alice, doznała obrażeń w tym wypadku, o którym panu wspominałem... - i tu zniżył głos. - Niedawno opuściła szpital i na pewno jest jeszcze osłabiona. Proszę jej pilnować, aby się zbyt nie forsowała, bo ona ma do tego skłonności. - Poklepał mnie przy tym po plecach. Następnie uklonił się całej grupie, podał rękę na pożegnanie nowemu prowadzącemu i wyszedł.

Stałam tam i nie wierzyłam własnym uszom. Pan Clarke się o mnie troszczył! Nie mogłam uwierzyć! W dodatku stwierdził, że mam skłonności do forsowania się, czyli uznał, że dużo pracuję. A więc to zauważył. Odebrałam słowa pana Clarkea jako pochwałę mojej pracowitości! A to był już dla mnie niebywały sukces. Gdybym miała w tej chwili obrazowo określić mój stan

ducha, to mogłabym stwierdzić, że szczeka opadła mi do podłogi.

Pan Michael uśmiechnął się do mnie i powiedział:

- Julie, tak?

- Tak - skinęłam głową.

- Od dzisiaj będziesz ćwiczyła tutaj - i wskazał mi miejsce w pierwszym rzędzie po prawej stronie. - Bądź ostrożna, nie przemęczaj się. Jak poczujesz się zmęczona, to po prostu usiądź na ławce. Gdybyś nie nadążała za grupą albo miała jakieś zaległości, to umówimy się w innym terminie, żeby nadrobić braki, tak?

- Dobrze, ale niepotrzebne to całe zamieszanie. Ja naprawdę już doszłam do siebie.

- Dostałem służbowe polecenie od pana Clarke'a, więc muszę się dostosować - powiedział żartobliwie i puścił do mnie oko.

Zajęcia przebiegały całkiem inaczej niż zazwyczaj. Prowadzący nie wprowadził zbytniego rygoru, a więc i my nie odczuwaliśmy takiego stresu. Michael nie podnosił na nas głosu, a gdy zwracał komuś uwagę, to robił to w sposób delikatny.

- Jak masz na imię? - spytał, wskazując na dziewczynę tańczącą obok mnie.

- Dorothy - odpowiedziała.

- Czy mógłbym cię prosić, abyś po wymachu nogą na końcu układu uważała na głowę i nie przechylała jej w bok? Wiesz, o co mi chodzi? - dopytywał, upewniając się czy Dorothy dobrze zrozumiała jego uwagę.

Mimo tego braku pokrzykiwania i połajanek każde z nas dawało z siebie wszystko i starało się z takim samym zaangażowaniem ćwiczyć, jak ćwiczyło u pana Clarkea.

Po zakończonych zajęciach zmordowane i spocone wbiegłyśmy do szatni. Dziewczyny wyjmowały z toreb wodę i wypijały naraz niemal litr.

- Przyznajcie, że robi wrażenie! - nie wytrzymała Meg, która chciała się upewnić, że każda z nas podziela jej zdanie na temat pana Michaela.

- Robi, robi - odpowiedziałam, sama sobie się dziwiąc, że i ja zwróciłam na niego uwagę.

- Jasne, że tak! Jakie on ma ciało...

- Nic nie mów, naprawdę, bo mam ochotę tam wrócić i rzucić w niego stanikiem, może zadziała... - wtrąciła Dorothy.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Pierwszy raz było tak jakoś sympatycznie i pomyślałam, że mimo braku między mną a dziewczynami przyjaźni - to czułam, że zaczynam je lubić.

- Mnie tam będzie brakować pana Clarkea - powiedziała Judith.

- Pana Clarkea?! Niby czego?! Jego wiecznie nadętej i naburmuszonej twarzy? A może miny, którą należało odczytywać jako: Dziewczynki, gdybym tańczył tak jak wy, to wstydziłbym się na weselu u cioci pokazać? - zauważyła, nie ukrywając zdziwienia Meg.

- Nie jest taki oschły, prawda, Julie? Dzisiaj wykazał się wyjątkową troską w stosunku do ciebie. Nic

dziwnego, w końcu jesteś przyjaciółką jego córki. Zawsze to jakieś dodatkowe fory... - zaczęła Judith i od razu popsuła mój dobry nastrój.

- Dodatkowe fory? Nie żartuj! - odpowiedziałam zdenerwowana. Bałam się, że zaraz zaczniesz się mnie znowu czepiać. Od początku nie wiedziałam dlaczego ani mnie, ani Alice nie lubiła.

- Umiesz po prostu się ustawić. Nie obracasz się w byle jakim towarzystwie...

- O czym ty mówisz!? - zapytałam. Może nie dałabym się sprowokować, ale naprawdę nie wiedziałam, o co Judith ma do mnie pretensje.

- No wiesz, Patrick Varner - to nie byle kto.

- Skąd o nim wiesz? I co cię to obchodzi!? - zapytałam zszokowana.

- Wiem_f bo coś tam wspominał o tobie, jak ze mną rozmawiał...

- Kiedy z tobą o mnie rozmawiał?

- No jakoś parę dni po występie. Pochwalił, że świetnie tańczyłam i stwierdził, że ja powinnam otrzymać główną rolę...

- Kłamiesz, na pewno tak nie powiedział.

- Spytaj go, czy ze mną rozmawiał. Sam ci powie...

Nie powiedziałam nic więcej i wyszłam z szatni. Dotknęło mnie to jakoś, mimo że według mnie Judith nie mówiła prawdy. Postanowiłam wyjaśnić tę sprawę. Szybko nadarzyła się ku temu okazja, bo byłam umówiona z Patrickiem na lunch. Wyjęłam komórkę i zaczęłam

wystukiwać SMS-a. Chciałam się dowiedzieć, gdzie dokładnie mamy się spotkać. Wyszłam z budynku. Gdy szłam przez campus, wgapiona w wyświetlacz telefonu, nagle usłyszałam:

- Rzeczywiście nie wyglądało dzisiaj na zajęciach, aby była pani osłabiona. Przerwałam na chwilę pisanie SMS-a i się odwróciłam. To był Michael.

- Mówiłam, że niepotrzebnie pan Clarke się o mnie troszczy - odpowiedziałam wesoło.

- Gdzie nauczyłaś się tak tańczyć? Nie widziałem cię wcześniej na pokazach. A świat tancerzy nie jest taki wielki. Z reguły wszyscy się znają z warsztatów lub spotkań pozauniwersyteckich.

- A wiesz, wie pan - poprawiłam się szybko. - Tańczę już bardzo długo, ale rzeczywiście po raz pierwszy mam możliwość szkolić się pod okiem takiej kadry... Zaczynałam w Holabird. - Zamilkłam, bo poczułam się niezręcznie; nie wiedziałam, jak zareaguje na zwracanie się do niego per ty. Chyba przesadziłam...

Michael musiał zauważyć moje zakłopotanie, bo się uśmiechnął i powiedział:

- Spokojnie, możesz zwracać się do mnie po imieniu. Między nami nie ma przecież dużej różnicy wieku, więc śmiało możemy sobie chyba pozwolić na trochę luzu. Tym bardziej, że ja w takich kwestiach nie jestem zasadniczy... Zwracaj się do mnie po imieniu - powiedział.

- Okej - odpowiedziałam.

- Do zobaczenia na następnych zajęciach. - Ukłonił się i poszedł w stronę swojego samochodu.

- Do zobaczenia - odpowiedziałam i skierowałam się na parking przy akademiku, gdzie czekał na mnie Patrick. Idąc tam myślałam o dzisiejszym dniu. Pan Clarke pokazał swoją „ludzką” stronę. Wykazał się troską o mnie, zresztą nie tylko o mnie. Alice na pewno była szczęśliwa, że ojciec tak się o nią troszczył. Dla niej przecież zrezygnował z zajęć. A to też była duża zmiana, przynajmniej dla mnie. No i Michael, nasz przystojny nowy prowadzący, z którym przeszłam na ty. Niemal zapomniałam o sprzeczce z Judith, ale gdy zobaczyłam samochód Patricka od razu ją sobie przypomniałam. Gdy Patrick mnie zobaczył, wysiadł z auta.

- Cześć! - Uśmiechał się i machał ręką.

- Cześć!.- odpowiedziałam. Pocałowaliśmy się na przywitanie.

- Wsiadaj, pojedziemy szybko coś zjeść - zaproponował. Ruszyliśmy.

- Patrick?

- Tak..?

- Znasz Judith Moore?

- Nie... - odpowiedział krótko. - A powinienem?

- Nie, wiesz... Mam taką koleżankę w grupie, która się na mnie uwzięła. Nie lubi mnie. Powiedziała mi dzisiaj, że rozmawiała z tobą, a ty miałeś stwierdzić, że to ona powinna dostać główną rolę podczas tamtego występu.

- Że co? - powiedział szczerze zaskoczony.

- Wiem, to głupota, nieważne.

- Ważne, bo gdyby cię to nie obchodziło, to byś nie zaczęła tego tematu. Jak ona wygląda?

- Taka wysoka, chuda...

- Mieszka u ciebie w akademiku? - zapytał, jakby właśnie coś sobie przypomniał.

- Tak.

- A to wiem, która to, ale ja jej nic takiego nie powiedziałem. Po prostu kiedyś cię szukałem i akurat ona się napatoczyła. Zapytałem ją wtedy, czy wie, gdzie poszłaś.

- Okej. Wierzę ci, ona jest po prostu bardzo nieprzyjemna. To wszystko.

- Kiedyś, jak ją spotkam, to jej zwrócę uwagę. Powiem, żeby się odczepiła od mojej dziewczyny - zaśmiał się.

- Chcesz być moim bodyguardem? - zapytałam. Oboje zaczęliśmy się śmiać, a Patrick naprężył mięśnie i udawał, że staje w mojej obronie.

Gdy chodziliśmy po mieście, trzymając się za ręce, zdecydowana większość mijających nas dziewczyn patrzyła na nas z zazdrością. Jakbym szła obok jakiegoś legendarnego superbohatera! Domyślałam się, że Patrick zawsze wzbudzał poruszenie, ale dopiero teraz przekonałam się o tym na własnej skórze. Nawet kiedyś zza rogu jakiegoś sklepu ktoś robił nam zdjęcia! Takie sytuacje były mi znane dotychczas jedynie z telewizji i kolorowych

czasopism. Nie lubiłam takich sytuacji. O tym, że jestem dziewczyną sławnego aktora przypominała mi co chwila Judith.

- O proszę! Mówiłam, że umiesz się ustawić. Na tym zdjęciu wręcz pozujesz dla fotografa... - mówiła, podbiegając do mnie z trzymanym w ręku jakimś czasopismem.

- Przestań, Judith. To, co robisz jest dziecinne i żałosne. Mam prawo spotykać się z kim chcę, ale widzę, że ty masz z tym problem!

- Bo udajesz niewiniątko! Niby nieśmiała, mało się odzywa, a wczoraj po zajęciach od razu podleciałaś do pana Michaela. Widziałam, wszystkie widziałyśmy, jak z nim rozmawiałaś.

- W takim razie ciebie... wszystkie was, musiało to zboleć! - warknęłam. - Skrócę twoje katusze i zdradzę ci, że Michael nie jest w moim typie. Możesz do niego śmiało startować - powiedziałam, chociaż nie do końca mówiłam prawdę. Michael był jak najbardziej w moim typie, ale to nie miało dla mnie znaczenia.

Wtedy usłyszałam:

- Dziewczyny, za pięć minut zaczynamy, pospieszcie się. - To był Michael, który właśnie podszedł do nas.

Serce niemal mi stanęło. Jeżeli usłyszał, to co powiedziałam, to chyba zapadnę się pod ziemię. W każdym razie w sekundę dostałam największych rumieńców w swoim życiu... Judith natomiast spojrzała na mnie wściekła i weszła do szatni, po drodze mnie szturchając.

Było mi wstyd... Miałam nadzieję, że Michael nie słyszał moich słów.

Zacząły się zajęcia. Bałam spojrzeć mu w oczy, więc gapiłam się w podłogę.

- Julie, coś cię boli? - zapytał.

- Nie, wszystko w porządku - odpowiedziałam i spojrzałam na niego.

- To dobrze - odpowiedział i lekko się uśmiechnął. Wyglądał, jakby miał ochotę coś jeszcze powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował.

Wszystkie zajęcia kończyły się jednakową rozmową, w której brały udział wszystkie dziewczyny...

- Widziałyście jego oczy!?! - zaczęła tym razem Dorothy.

- Piękne, duże i błękitne, ach... - przeżywała Meg, wyraźnie podekscytowana.

Zachowywały się jak zakochane nastolatki, ale całkowicie je rozumiałam. Michael był bardzo przystojny. Kiedy one wciąż rozkładały na części pierwsze wszystkie elementy ciała naszego instruktora - ja spieszyłam się na spotkanie z Patrickiem. Dziś mieliśmy odwiedzić w szpitalu Alice. Zdecydowanie za długo jej nie widziałam. Miałam nadzieję, że wszystkie rany po oparzeniu twarzy już się zagoiły, albo nie będą zbyt widoczne. Wiem, że Alice ciężko by to zniosła.

- Julie? - usłyszałam.

- Słucham, panie Michaelu.

- Dzisiaj już panie?

- Przepraszam.
- Za co?
- Nie mogę się przyzwyczaić, aby mówić do pana po imieniu.
- A już myślałem, że za to publiczne wyrażanie myśli...
- Ojej, przepraszam, nie wiedziałam, że stoisz obok -zaczęłam się tłumaczyć.

Michael zaczął się w głos śmiać.

- Nie przejmuj się, naprawdę. Słyszałem całą rozmowę, nie tylko to jedno zdanie. Mam jednak nadzieję, że nie jest to twoja prawdziwa opinia? - powiedział z przekorą.

- Chyba żartujesz? Pytasz mnie, czy mi się podobasz? - powiedziałam ze śmiechem.

- Żartowałem. Miłego dnia! - rzucił i poszedł w stronę parkingu.

Szłam zamyślona, dźwigając torbę z ubraniami, butami i wodą. Dogonił mnie Patrick.

- Cześć! Tu jesteś! Czekałem na ciebie w środku! Daj tę torbę, ale najpierw daj buziaka, chyba, że chcesz ją nosić sama? - zażartował.

- Pocałuję cię i bez tego! - odpowiedziałam i śmiejąc się wycisnęłam mu na policzku całusa.

- Co to był za gość? - zapytał, wskazując na Michaela.

- A co, czyżbyś był zazdrosny?

- O ciebie, aniołeczku, zawsze.

- To nasz instruktor tańca. Przyszedł na zastępstwo pana Clarkea.

- Aha, no to ma szczęście, inaczej musiałbym go zabić!

- Koniecznie... to prawdziwa zbrodnia rozmawiać... Dziwię się, że jeszcze do tej pory nie wyjąłeś strzelby! -powiedziałam żartobliwie.

Do Alice jechaliśmy długo, bo były korki. Śnieg wciąż padał, więc samochody automatycznie poruszały się wolniej. W końcu zatrzymaliśmy się przy szpitalu. Weszliśmy do środka. Do pokoju, w którym leżała przyjaciółka szliśmy tym samym korytarzem, na którym Drake zastąpił mi drogę. Na samo wspomnienie zrobiło mi się słabo. Poczułam nagły strach. Myślałam, że zwymiotuję.

- Cześć, Alice, dzień dobry, panie Clarke - przywitałam się.

- Dzień dobry, Julie - odpowiedział ojciec Alice.

- Patrick. Miło mi - powiedział mój chłopak i uściśnął rękę panu Clarkebwi.

- Victor - odpowiedział ojciec Alice. - Nie miałem okazji ci podziękować, ale wiem, że to ty wyciągnąłeś Alice z pożaru.

- Tak, ale nie ma o czym mówić.

- Mimo wszystko dziękuję ci bardzo. Zostawię was samych, abyście mogli porozmawiać - powiedział i wyszedł.

Na czole i lewym policzku Alice były lekko widoczne ślady po poparzeniu. Byłam pewna, że będę mogła pomóc jej się ich pozbyć... Musiałam tylko zrobić to

tak, aby się nie zorientowała. Może, gdy będzie spała... ?
Zobaczmy.

- Jak się czujesz, kochana? Twój tata był bardzo niezadowolony, że go okłamałaś? W końcu powiedziałaś mu, że to u mnie spędzasz sylwestra.

- Nic nie powiedział na ten temat... - odpowiedziała zadowolona Alice.

- Wiesz już, kiedy wychodzisz?

- Chyba jutro, ale jedziemy z tatą do domu do New Jersey na kilka dni. Stwierdził, że powinniśmy trochę czasu spędzić razem. Wymyślił też, że odwiedzimy przy okazji babcię i ciotkę Amelię, siostrę ojca.

- To fajnie! - Szczerze się ucieszyłam. Uważałam, że bliższy kontakt z ojcem i rodziną dobrze zrobi Alice.

- Ale przyznaj, że to do niego niepodobne! Ponoć macie nowego prowadzącego? Szkoda, że go jeszcze nie poznałam... Podobno przystojniak? - pytała Alice, nie biorąc pod uwagę, że moja odpowiedź i tak będzie daleka od prawdy, bo obok stał Patrick. Na pewno był ciekawy, co odpowiem.

- Boski, ale... - powiedziałam i puściłam oko do Alice.

- No nie! Teraz to już naprawdę będę musiał go zabić - stwierdził żartobliwie Patrick.

- No co ty, nie będziesz musiał, tylko się z tobą prekomarzam - powiedziałam i pocałowałam go w policzek.

Roześmialiśmy się, a potem przez chwilę milczeliśmy. Pierwsza odezwała się Alice.

- Duże mam blizny? Straszę? - zapytała poważnie.

- No... straszysz. Jesteś prawdziwym potworem. Dziwię się, że odwiedza cię jeszcze personel szpitala - śmiałam się. - No co ty, prawie nic nie widać.

- To dobrze - odpowiedziała.

Pomyślałam o twarzy Drake'a. Miał on prawdziwe oparzenia i rzeczywiście straszyl.

- Twój tata pewnie się martwi... ? - zapytałam. Zawsze się zastanawiałam, jaki jest pan Clarke poza salą ćwiczeń, czy też taki oschły. Okazywanie troski kompletnie do niego nie pasowało.

- A no, jak widzisz, dobrze, że do łazienki za mną nie chodzi. Cały czas słyszę: uważaj, wolniej, nie męcz się, daj ja to zrobię, za wcześnie na takie ruchy. Co najmniej jakbym po katastrofie samochodowej leżała tu połamana, a nie tylko z blizną na twarzy - powiedziała.

Ale nie miałam złudzeń i wiedziałam, że po powrocie z urlopu da nam wszystkim wycisk na zajęciach.

- A ja myślałam, że twój tata jest taki, wiesz... ?

- Zimny i bez uczuć? - dokończyła, a ja kiwnęłam twierdząco głową.

Pomyślałam potem, że może nie powinnam w ogóle poruszać tego tematu. Byłam wścibska jak pani Stella.

- Bo taki jest. Sama go nie poznaję. - mówiła dalej Alice. - Gdy wrócę z New Jersey przed feriami, może gdzieś byśmy pojechali... ?

- O, super, że o to pytasz, bo bym zapomniała! Patrick wpadł na pomysł wyjazdu w góry, byłabyś chętna?

- Tylko z wami?

- No tak...

- Głupio by mi było, też chcę z osobą towarzyszącą - powiedziała i pokazała mi, śmiejąc się język.

- To działaj, kochana, działaj! - zachęciłam. - Co z Oskarem, jak on się czuje? - zapytałam, bo wiedziałam, że Alice, mówiąc o osobie towarzyszącej miała na myśli właśnie jego.

- Oskar już wyszedł ze szpitala. Wrócił do Nowego Jorku. Był u mnie wczoraj...

- Był tu?

- No... ale wiesz, on jest bardzo przygnębiony... Nawet nie wiem, czy powinnam mu zaproponować ten wyjazd. Zawsze wszędzie jeździł z tymi chłopakami. Może to dla niego za wcześnie? Jak myślisz?

- Myślę, że wyjazd możesz mu jak najbardziej zaproponować. Jeżeli powie, że nie, bo źle czułby się, bawiąc, gdy jego koledzy raptem miesiąc temu zginęli, to po prostu ci odmówi. Ale może będzie chciał wyjechać z nami.

- Masz rację. Może zadzwonię do niego teraz?

- Wiedziałam, że to zaproponujesz. Jesteś w gorącej wodzie kąpana - powiedziałam żartobliwie.

- To miłość mnie popędza... - odpowiedziała, udając poważną.

- Oj, Alice, Alice, sama nie wiem, może uzbrój się w cierpliwość i porozmawiaj z nim delikatnie, jak się spotkacie.

- Czyli jutro.

- Zadzwoń do mnie, jak będziesz znała jego odpowiedź. Teraz już niestety musimy lecieć. Muszę jeszcze wrócić na uczelnię na wykład z historii baletu. Nuda...

- Wiem - totalna. Leć.

- Trzymaj się, Alice i szybko wracaj do domu! - rzuciłam na koniec i wyszliśmy z Patrickiem na korytarz.

Poczułam strach, to miejsce nie pozwalało mi zapomnieć o Drake'u.

Rozdział dwunasty

Już dawno nic mi się nie śniło - aż do dzisiejszej nocy. Gdy się obudziłam bardzo dokładnie pamiętałam sen. Śniło mi się, że jestem uczestniczką jakiejś wycieczki. Chodziłam po starym zamczysku i razem z innymi turystami zwiedzałam ruiny. Przewodnik oprowadzał nas po wnętrzu budowli i opowiadał historię tego miejsca. Choć byłam w tłumie, czułam się stale obserwowana. Miałam wrażenie, że grozi mi niebezpieczeństwo. Wtedy podchodzkło mnie Michael, który w śnie był malarzem. Wyprowadza mnie z zamku i pyta, czy może mnie namalować. Ta propozycja mnie zdziwiła, ale oczywiście się zgodziłam. Kazał mi usiąść na jakiejś łące i na chwilę czymś się zająć. Miałam nie zwracać na niego uwagi. Tak zrobiłam. Zbierałam kwiaty i zapomniałam, że jest w pobliżu. W końcu usłyszałam, jak mnie wola. Podeszłam. Pokazał mi mój portret. Obraz był piękny a namalowana postać była bardzo do mnie podobna. Właściwie, to wyglądał, jakby to była moja fotografia, a nie przed chwilą namalowany portret. Nic nie byłoby w tym śnie nadzwyczajnego, gdybym na tym obrazie nie była przedstawiona z niepokójącą, czerwoną plamą wokół jednego

oka. Natychmiast odruchowo obejrzałam się w lustrze, ale oko wyglądało normalnie.

Włączyłam laptopa i zalogowałam się na Facebooku. Obejrzałam dodane przez znajomych zdjęcia. Otworzyłam skrzynkę odbiorczą - okazało się, że nie mam żadnej nowej wiadomości. Pojawiła się za to czerwona jedynka przy ikonie z dwoma ludzikami. Kliknęłam, bo ktoś widocznie zaprosił mnie do swoich znajomych. To był Michael. Michael?! Mój instruktor?! Nie wypadało nie przyjąć zaproszenia, w końcu miałam z nim zajęcia z tańca współczesnego, ale do moich przyjaciół też nie należał... Trudno. Wcisnęłam „akceptuj”. Na szczęście Patrick nie miał na tym portalu konta. Trochę to wszystko wydawało mi się dziwne, bo nie dość, że Michael przyśnił mi się dzisiejszej nocy, to jeszcze akurat tego ranka zaprosił mnie do grona znajomych. Za wiele, jak na osobę, z którą w życiu zamieniłam dwa zdania. Zaczęłam się przygotowywać do zajęć. Nadal nie było Alice. Pojechała z ojcem do New Jersey. Mogłam spokojnie skorzystać z łazienki bez kłótni, która z nas może zająć ją pierwsza. Ale tak naprawdę bardzo za nią tęskniłam.

Otworzyłam szafę i próbowałam znaleźć coś odpowiedniego do ubrania. Zawsze pomagała mi w tym Alice, ale teraz byłam skazana na siebie. Szybko ubrałam się w pierwsze lepsze czyste ciuchy, myśląc przy tym ciepło o Alice. W drodze na zajęcia rozmyślałam. Zastanawiałam się, jak powinnam się zachować wobec Michaela.

Nie mogłam powiedzieć do niego przy innych dziewczynach: „Cześć” bo podejrzewam, że natychmiast stałabym się ich największym wrogiem. Z drugiej strony nie chciałam przejść obok niego obojętnie. Postanowiłam poczekać na jego reakcję. Zauważyłam, że przed zajęciami z Michaeliem, moje koleżanki robią coraz mocniejsze makijaże. Punktualnie o ósmej pojawił się Michael. Minał dziewczyny, skinął głową na znak powitania, a do mnie puścił oko i się uśmiechnął. Stałam pod ścianą, więc żadna z koleżanek tego nie dostrzegła. Zachowanie Michaela było miłe, ale trochę mnie krępowało. Rozpoczęły się zajęcia. Później przeszliśmy do nowej choreografii. W układzie trzeba było wykonać kilka piruetów. Często traciłyśmy równowagę, co śmieszyło Michaela. Nie szło mi dzisiaj najlepiej, więc marzyłam, aby zajęcia skończyły się jak najszybciej. Każda z nas przyswajała przygotowaną przez Michaela choreografię, tak jak potrafiła najlepiej. Na szczęście, na zakończenie zajęć, próbował nas pocieszyć.

- Nie martwcie się, że szło wam dzisiaj gorzej. Specjalnie wprowadziłem kilka elementów trudniejszych, żebyście zaczęły się z nimi oswajać. Poza tym, im wyżej ustawicie sobie na początek poprzeczkę, tym szybciej ją przeskoczycie. Julie, czy dobrze widzisz?

- Tak, czemu pan pyta? - powiedziałam. Zwróciłam się do niego znów per pan, ale przy dziewczynach nie chciałam się do niego zwracać inaczej.

- Bo mrużysz oczy, jakbyś miała problemy ze wzrokiem. Może powinnaś wybrać się do okulisty? - zaproponował.

- Mrużę oczy? Nie zwróciłam na to uwagi, ale widzę bardzo dobrze, więc chyba coś się panu wydawało - odpowiedziałam szczerze zdziwiona.

- Nie wydawało mi się. Nie zwlekaj z wizytą u lekarza, idź zanim ci się wada pogłębi - ciągnął, a ja pomyślałam, że jeżeli będzie kontynuował, to uznam go za wariata.

- Nie czuję, aby mi coś dolegało, ale dziękuję za troskę - powiedziałam.

Michael uklonił się na znak zgody i w ten sposób zakończył temat mojej rzekomej wady wzroku. Skąd mu przyszła do głowy taka myśl!? Zawsze świetnie widziałam. Nikt w rodzinie nie nosił okularów, a i ja dotychczas nie miałam takiej potrzeby.

Wracając do akademika, przypomniałam sobie dzisiejszy sen, ale myśl ta szybko mi gdzieś umknęła. Uznałam to za zbieg okoliczności.

Gdy otworzyłam drzwi pokoju, zobaczyłam leżący na podłodze list. Widocznie ktoś wsunął go przez próg. Nadawcą był Patrick, a odbiorcą Judith Moore. Ktoś chciał, abym go przeczytała. Otworzyłam go i przeczytałam.

„Witaj, Judith!

Nie zastałem Cię w pokoju. Nie odbierasz telefonu. Szkoda, bo chciałem z Tobą porozmawiać. Julie mnie

nudzi... **PS.** Powtórzmy jutro, to co zrobiliśmy wczoraj?
Napisz SMS-a. Patrick"

Pomyślałam, że to jakieś bzdury i musiałabym być idiotką, aby uwierzyć w chociaż jedno napisane tam słowo. Chciałam pokazać ten list Patrickowi i zażądać wyjaśnień. Od razu pomyślałam, że list wrzuciła mi Judith. Tylko ona mogła mieć tak żaloszny pomysł. W żaden sposób mnie to nie zmartwiło. Nigdy nie przejmowałam się takimi prowokacjami. Judith była zazdrosna. Podobał jej się Patrick, jak niemal każdej dziewczynie, ale tylko ona pragnęła nas skłócić. Patrick miał za chwilę do mnie przyjść. Obiecał zabrać mnie na plan filmowy. Zawsze chciałam zobaczyć powstawanie filmu „od wewnątrz”.

Przyszedł punktualnie jak zawsze. Był tak cholernie przystojny... Zawsze się świetnie ubierał - w kolorowe T-shirty, nonszalancko rozpięte koszule lub marynarki.

- Cześć! Gotowa?!

- Gotowa, ale chcę ci coś pokazać - powiedziałam i podałam Patrickowi list. Śmiejąc się, stwierdziłam, że najwidoczniej Judith się nudzi.

- Co to?! - zapytał zdenerwowany.

- Karteczka, którą znalazłam na podłodze swojego pokoju. Ktoś wsunął mi ją pod drzwiami.

- To ta cała Judith?! Już nie pierwszy raz wpada jej do głowy głupi pomysł! Zajmę się tym, a ty się nie przejmuj - powiedział surowo, co mnie trochę zdziwiło, gdyż miałam ochotę potraktować to lekceważąco.

Poszliśmy na plan zdjęciowy. Posadził mnie na krześle, a sam zajął się powtarzaniem dialogów. Zazwyczaj obsadzali go w roli amantów, w których się świetnie sprawdzał. Był dobrym aktorem, bardzo utalentowanym. Rozstaliśmy się z Patrickiem późnym wieczorem. Odprowadził mnie pod same drzwi pokoju. Byłam mu niezmiernie wdzięczna - ostatnio bałam się ciemności.

Gdy obudziłam się następnego dnia wczesnym rankiem, usłyszałam harmider na korytarzu. Słyszałam kroki i rozmowy. W końcu usłyszałam pukanie do moich drzwi. Otworzyłam na wpół jeszcze śpiąca.

- Cześć, Julie. Jest u ciebie Judith? - zapytała Dorothy, jej współlokatorka.

- Judith? U mnie?! Nie ma jej - odpowiedziałam zdziwiona. - Czy coś się stało?

- Wyszła wczoraj wieczorem do koleżanek piętro niżej i nie wróciła. Tamte twierdzą, że do nich nie dotarła. Szczerze mówiąc, zaczynam się martwić. Powinnam gdzieś to zgłosić?

- A telefon? Próbowalaś do niej dzwonić? - dopytywałam, odganiając jednocześnie od siebie myśli, że mogłoby stać się jej coś złego.

- Tak, ale ma wyłączony. Jak zadzwoniłam pierwszy raz, to usłyszałam jakieś szumy, jak w starym telewizorze, a później ciągły sygnał. Wybrałam numer jeszcze raz, ale abonent już był niedostępny...! Co mam zrobić?! - pytała mocno zdenerwowana.

- Spokojnie, Dorothy, jeszcze nic nie wiadomo. Wejdz i siadaj, razem się zastanowimy - pocieszałam koleżankę, choć już przeczuwałam najgorsze. Dorothy miała w oczach łzy.

- Powiedz mi o Judith coś więcej... Spotykała się z kimś ? Pierwszy raz się zdarzyło, że nie wróciła na noc do pokoju?

- Pierwszy raz. Wiem, że się nie lubiłyście, ale ona nie była zła, Julie. Zakochała się chyba w twoim chłopaku.

- W Patricku? Wiem, Dorothy, zorientowałam się po tej karteczce, którą znalazłam w swoim pokoju.

- Ona od zawsze się w nim kochała. Tylko jej nie mów, gdy wróci, że to powiedziałam... Miała pełno jego plakatów. Powiesiła je sobie nad łóżkiem, a później, jak ty zaczęłaś się z nim spotykać, to wszystkie je podarła.

- Nie jestem na nią zła. Przez miłość człowiek robi różne, głupie rzeczy, których później żałuje. Wiem, że Judith nie chciała mi zrobić przykrości - powiedziałam.

- Czemu ostatnio dzieje się ciągle coś złego? - powiedziała zrozpaczona Dorothy. - Najpierw tajemnicza śmierć Martina, później pożar i śmierć chłopaków z wydziału dziennikarstwa, teraz zniknięcie Judith. Kiedy to się skończy?! Wszystko to jest bardzo dziwne!

- Zgadzam się z tobą, ale również nie potrafię tego wyjaśnić. Najlepsze, co możemy zrobić, to zadzwonić na policję. Może uda im się ją odnaleźć - powiedziałam.

Zadzwoniliśmy. Policja zareagowała bardzo szybko. Przyjechali do akademika i rozmawiali ze wszystkimi

po kolei. Nikt nie widział Judith. Zniknęła. Po prostu rozplynęła się w powietrzu. Najpierw podejrzewano, że ma chłopaka, o którym nikomu nic nie powiedziała, ale gdy nie pojawiła się po kolejnych trzech dniach, odrzucono te domysły. Rodzice Judith rozmawiali z nią przez telefon rano, w dniu, w którym nie wróciła do pokoju. Męczyły mnie wyrzuty sumienia. Była najmniej lubianą osobą na uczelni, ale jej zniknięcie było niepokojące. Byłam przerażona.

Na uczelni panował ponury nastrój. Wszyscy byli podejrzliwi i złękni. O wyjściu do klubu czy na koncert nie było mowy. Zamykaliśmy się w pokojach na noc, bo nie czuliśmy się bezpieczni. Wreszcie powoli wszystko zaczęło wracać do normy, ale nadal nie mogliśmy zapomnieć o ostatnich wydarzeniach.

Alice powróciła do akademika. Pan Clarke prowadził teraz zajęcia wymiennie z Michaeliem.

- Alice, czemu właściwie twój ojciec oddał niektóre zajęcia Michaelowi? Rezygnuje powoli z tańca? - spytałam pewnego dnia.

- Nie, po prostu po wielu latach odwiedził rodzinne strony, poszedł na grób mojej mamy i chyba zrozumiał, że czas najwyższy zmienić nieco swoje życie.

- Na grób twojej mamy? - zapytałam. Pierwszy raz o niej wspomniała. Miałam nadzieję, że mi coś o niej powie.

- Tak. Moja mama umarła pięć lat temu.

- Przepraszam, że zapytałam. Po prostu nie wspominałaś nigdy matki...

- Nic się nie stało. Miała raka. Już pogodziłam się z tym faktem, ale ojciec długo nie potrafił się z tym uporać. Rzucił się w wir pracy i chyba uważał, że to pozwoli mu zapomnieć. Dopiero po moim wypadku coś w nim pękło - powiedziała Alice.

Poczułam smutek. Bardzo współczułam Alice. Chwilę siedzieliśmy przygnębione. Zaczęłyśmy przeglądać gazety, gdy ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę! - krzyknęłyśmy jednocześnie. Do pokoju wszedł Patrick.

- Cześć, dziewczyny - powiedział, a jego ciemne oczy wydawały się niemal czarne.

- Cześć, co tu robisz? Miałeś być na nagraniu w Los Angeles. - spytałam.

- Wiem, ale są jakieś opóźnienia. Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

- Cieszę się. Po prostu ostatnie dni były okropne - tłumaczyłam. Byłam w złym humorze. Patrick odgarnął moje opadające włosy za ucho, po czym powiedział:

- Mam dla was propozycję i mam nadzieję, że Alice też się ona spodoba.

- W ciemno się na nic nie zgadzam - odpowiedziała Alice, pokazując Patrickowi język.

- Nawet jeżeli pomysł dotyczy wizyty u Oskara?

- Okej! Zgadzam się! - krzyknęła i natychmiast rzuciła gazetę w kąt pokoju.

- Gdyby Oskar wiedział, jak szalejesz na jego punkcie, to zacząłby się ciebie bać! - powiedziałam ze śmiechem. - Widziałeś to?! - zapytałam Patricka - Jak na nią działa imię Oskar?!

- Bo ja wiem, jak przykuć jej uwagę i oderwać od tych kobiecych pisemek.

- Możemy przejść do rzeczy!?! - niecierpliwiła się Alice.

- Pomyślałem, że możemy pójść do Oskara, wyciągnąć go z akademika, a potem pójść coś razem zjeść i pogadać o tym wyjeździe w góry.

- W góry?! Myślałyśmy, że to nieaktualne - powiedziałam.

- Dlaczego nieaktualne? - zapytał Patrick.

- No wiesz. Atmosfera tu jest dosyć żałobna...

- No właśnie! Trzeba to zmienić! Dajcie spokój! Wypadki się zdarzają, nic na to nie poradzimy. Powinniśmy jechać.

- No dobra. Można spróbować. Jak myślisz, Alice?

- Zobaczymy. Wiesz, że jak Oskar pojedzie, to ja też. Można spróbować.

Na dworze było wciąż zimno. Zbliżał się początek lutego i temperatura nadal była niska. Jechaliśmy samochodem Patricka, siedziałam obok kierowcy, a Alice z Oskarem z tyłu.

- Na jak długo chcecie w te góry jechać? - zapytał Oskar.

- Tylko na weekend. Pojeździlibyśmy na nartach,

oderwalibyśmy się trochę, odpoczęli, co o tym myślisz? - spytałam.

- Sam nie wiem. A kto jedzie? - dopytywał.

- Tylko nasza czwórka - powiedziałam.

- Myślałem, że pojedziemy w liczniejszym gronie - powiedział Oskar.

Alice zrobiła się w sekundzie czerwona, patrzyła w szybę, nie chcąc, abyśmy to zauważyli. Było jej przykro. Miała nadzieję, że Oskar zareaguje bardziej optymistycznie na myśl o weekendzie spędzonym w jej towarzystwie.

Nie zdążyłam nic powiedzieć, gdy Oskar spojrzał na Alice i zagadnął wesoło:

- Alice, a podzielisz się ze mną kołderką? - i szturchnął żartobliwie moją przyjaciółkę w bok. A jej w sekundzie oczy rozblęły.

- A chciałbyś, żebym podzieliła się z tobą swoją kołderką? - odpowiedziała równie żartobliwie.

- No jasne, że chciałbym. Czyli jak... osobny pokój dla waszej dwójki, osobny dla mnie i Alice... ? - żartował dalej.

- No nie, może aż tak się nie rozpędzajmy - powiedziałam nieco przestraszona pomysłem Oskara.

Wtedy odezwał się Patrick.

- Czyżbyś się bała, że cię wykorzystam, osłabioną urokami górskiego krajobrazu? - śmiał się.

- Myślę, że nawet góry, kominek, świece i wino nie osłabiają mojej czujności.

- To dobrze. Im twardsza, tym atrakcyjniejsza -podsumował.

- No nie wiem, ja tam tracę szybko cierpliwość -stwierdził poważnie Oskar.

- Jasne... Niby taki szybki? - wtrąciła Alice. - Wykorzystałbyś sytuację? Już ci wierzę... - kpiła.

- A chcesz się przekonać? - mówił z przekorą Oskar.

- Poczekaj, aż odurzą mnie góry, kominek, świece i wino. Może wtedy sprawdzimy twoją wiarygodność.

Rozmowa zakończyła się wybuchem śmiechu.

„Pojedziemy, to już postanowione”, pomyślałam.

Dojechaliśmy do jakiegoś lokalu. Serwowali tam frytki i hamburgery. Jedliśmy, śmiejąc się i rozmawiając. Nasz stolik uginał się od fast foodów i coli. W pewnej chwili otworzyły się drzwi. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę, bo nagle wpadło lodowate powietrze. Do środka wchodziła grupka rozradowanych osób. Wszyscy byli zakutani w grube kurtki i czapki, dlatego dopiero jak zaczęli się rozbierać rozpoznałam wśród nich Michaela. Patrzył w moją stronę.

- Cześć! - powiedział.

- Cześć!

Podszedł do naszego stolika. Przedstawił się i przywitał, podając rękę Patrickowi i Oskarowi. Alice już znał, więc tylko skinął jej głową. Miałam wrażenie, że dłużej zatrzymał wzrok na Patricku. Pewnie domyślił się, że to mój chłopak. Najdziwniejsze było to, że pożałowałam ... Jakbym wcale nie chciała, aby dowiedział

się, że mam chłopaka. Musiałam przyznać, że Michael miał w sobie coś, czego nie miał Patrick - wewnętrzne ciepło.

- Widzę, że wpadliście na szybki posiłek? Jestem ze znajomymi, nie chcę wam przeszkadzać. Miłego wieczoru.

- Dziękujemy, również życzymy miłego wieczoru i smacznego - odpowiedziałam, a on odwrócił się jeszcze na moment i lekko się uśmiechnął. Spojrzałam na Patricka. Najwidoczniej nie był zadowolony z tego spotkania, bo milczał i odprowadził Michaela wzrokiem.

- To ten wasz nowy instruktor? - zapytał w końcu.

- Tak - odpowiedziałam. - Dlaczego pytasz?

- Nic, nic, zauważyłem tylko, że jesteście spoufaleni - zauważył zdziwiony.

- Michael jest w twoim wieku, dopiero skończył studia.

- No nie wiem, nie wiem, nie podoba mi się to... - udawał urażonego.

- Patrick, nie marudź, tylko poczęstuj mnie frytkami, bo moje już się skończyły! - zażartowałam.

- Nie moja wina, że taki z ciebie obżartuch, trzeba było jeść powoli - powiedział, po czym włożył mi frytkę do ust, brudząc mnie ketchupem.

- Alice, ty też zgłodniałaś? Chciałabyś, żebym poczęstowała cię jedzeniem ze swojego talerza? - zapytał ironicznie Oskar.

- A poczęstowałbyś mnie? Czy tylko zachęcasz i czekasz, żeby powiedzieć „żartowałem” ? - Alice najwidoczniej знаła humory Oskara.

- Skąd wiedziałaś? Aż tak przewidywalny jestem?
-odpowiedział ze śmiechem.

- No wiesz, trochę cię już poznałam i wiem, że lubisz żartować
- stwierdziła Alice, a Oskar puścił do niej oko.

Niejednokrotnie złapałam się na tym, że podążam wzrokiem w stronę stolika, przy którym siedział mój instruktor ze znajomymi. Patrick i Michael bardzo się od siebie różnili, nie tylko wyglądem. Michael miał jasną karnację, blond włosy i niebieskie oczy, przy tym delikatną, chłopięcą jeszcze buzię. Natomiast karnacja Patricka była śniada, oczy miał czarne jak węgiel, głównie wieczorem, włosy ciemne, niedbale uczesane. Nie golił się regularnie, dlatego zdarzało mu się mieć lekki zarost. Nie przeszkadzało mi to. Zarost dodawał mu męskości i uroku. Mimo różnic, obydwójce byli nieprzeciętnie urodziwi. Michael cudownie tańczył, miał umięśnione, jędrne ciało. Poza tym nie wiedziałam dlaczego, ale lubiłam jego dotyk. Zdarzało się to często na zajęciach, gdy łapał za nogę, czy biodro, aby skorygować postawę lub pomóc przy rozciąganiu.

Michael był tak zajęty rozmową ze znajomymi, że ani razu nie spojrzał w naszym kierunku. Poza tym wiedział, że nie jestem sama i pewnie nie chciał, abym poczuła się skrepowana.

Patrick odwiózł nas do akademika. Dochodziła północ, ale nie czułam się śpiąca. Gdy Alice poszła pod prysznic, włączyłam laptopa. Przejrzałam internetowe portale, a następnie zalogowałam się na Facebooku. Po chwili pojawiło się okno dialogowe z wiadomością od Michaela. Zaczęliśmy rozmawiać.

- Cześć, dotarłaś bezpiecznie do akademika?

- Tak, a czemu pytasz?

- Z troski o podopieczną.

- Twoja podopieczna nie była sama, jej bezpieczeństwu nic nie zagrażało.

- Patrick Varner to twój chłopak?

- Tak...

- Długo jesteście razem? Nie to, żebym był ciekawski...

- O to Cię nie podejrzewam. Jesteśmy ze sobą prawie miesiąc. I skąd to nagle zainteresowanie młodą studentką? - napisałam.

Za chwilę otrzymałam odpowiedź.

- A od kiedy młody instruktor nie może rozmawiać z młodymi studentkami? Czy to przestępstwo, czy raczej chęć lepszego poznania utalentowanej tancerki?

- Czuję się mile zaskoczona!

- To spróbuję cię jeszcze bardziej zaskoczyć. Umówisz się ze mną na randkę?

- Wow! Miesiąc temu nie miałabym wątpliwości, ale teraz muszę stanowczo odmówić. Mam chłopaka.

- Rozumiem. Tak myślałem, ale chciałem spróbować. Życzę miłej nocy i do jutra.

Czułam się dziwnie. Zastanawiałam się, jaki byłby przebieg tej rozmowy, gdybym nie znała Patricka. Nie miałam jednak wątpliwości, że postąpiłam słusznie. Nie mogłabym spotykać się z innym chłopakiem! To byłoby nie fair w stosunku do obydwu.

Pomyślałam, że byłoby fajnie, gdyby Michael zainteresował się Alice, a ona, żeby zrezygnowała z podrywania Oskara.

Nie wspomniałam Alice o rozmowie z Michaelem. Bałam się, że jej mina na zajęciach z nim zdradzi moje gadulstwo. Poza tym, w przeciwieństwie do Alice byłam bardziej powściągliwa i mniej wylewna w takich sprawach.

Następnego dnia wstałam z bólem i zawrotami głowy. Coś działo się z moim wzrokiem. Wydawało mi się przez moment, że wszystko wokół widzę jak za mgłą. Musiałam jednak iść na zajęcia. Poranny wykład z wiedzy o kulturze podziałał na mnie usypiająco.

- Hej Julie, dobrze się czujesz? - usłyszałam Alice, która zajmowała miejsce obok mnie.

- Dobrze, tylko jestem śpiąca i głowa mnie trochę boli.

- Może masz migrenę. Czekał, zapytam Dorothy czy nie ma jakichś tabletek - zaproponowała i za moment podała mi jakąś białą pastylkę.

Popiłam ją wodą i czekałam, żeby ból minął. Starłam się skupić na wykładzie i słowach profesora

Dinklage'a, staruszka mówiącego niezwykle cichym głosem. Usnęłam. Nie wiem na jak długo. Obudziła mnie Alice, która stała nade mną i mnie szturchała. Wszyscy już zbierali się do wyjścia. Profesor najprawdopodobniej nie zauważył mojej drzemki albo był przyzwyczajony do zasypiających na jego wykładzie studentów. Przynajmniej po tym trwającym kilka minut śnie czułam się lepiej. Pulsujący ból minął i mogłam iść na kolejne zajęcia. Mieliśmy klasykę, później rytmikę i repertuar muzyczny, a na samym końcu taniec współczesny. Nie wiem dlaczego, ale właśnie na ostatnie zajęcia czekałam z niecierpliwością, dlatego gdy zobaczyłam zbliżającego się do sali pana Clarke'a, poczułam rozczarowanie.

- Co tu tak głośno! - zaczął i od razu wszystkie dziewczyny zamilkły.

- Proszę zająć swoje miejsca - ciągnął, jak zwykle opanowanym i stanowczym głosem. - Dorothy przesun się bardziej w prawo, bo zasłania cię Meg i nie widzę cię w lustrze. Zrobimy dzisiaj krótką rozgrzewkę i ćwiczenia na równowagę. Wchodzimy na releve, potem krok do przodu, ciężar ciała przechodzi na nogę prawą, później powoli przenosimy ciężar ciała na lewą, łączymy obie nogi i ple... Wszystko jest jasne?

Nikt się nie odezwał, a jedynie nieśmiało skinął głową. Wraz z powrotem pana Clarke'a skończyła się swobodna atmosfera na zajęciach. Akurat to ćwiczenie wychodziło dotychczas wszystkim dobrze, ale widok

pana Clarke'a działał na nas paralizująco. Taniec współczesny wykorzystuje elementy baletu, ale większy nacisk kładzie na emocje. Stąd ciągła irytacja pana Clarkea, gdy nie potrafiłyśmy wyrazić tego, co czujemy. Nie jest łatwo być autentycznym, gdy w głowie kłębią się całkiem inne myśli.

- Nie mam z wami regularnych zajęć, ale proszę przykładać się do ćwiczeń jak dawniej, bo wciąż to ja decyduję, która z was zaliczy ten przedmiot - powiedział bardzo poważnie.

Zawsze w takich chwilach wodził bladoniebieskimi oczami po sali. Może ich kolor nie zwracałby tak uwagi, gdyby nie jego kruczoczarne włosy i mleczna cera. Całość nabiera jakiegoś szczególnego wyrazu.

Wszystkie już przyzwyczałyśmy się do nieobecności Judith. Jednak gdy pan Clarke prosił tancerzy zajmujących miejsce w ostatnim rzędzie o przesunięcie się w prawą stronę, to tylko nieliczni zaczęli delikatnie drobić kroki w kierunku, w którym wskazał pan Victor. Judith zajmowała miejsce właśnie w ostatnim rzędzie, w prawym rogu sali. Każdy miał chyba nadzieję, że ona jeszcze wróci, i jak zwykle stanie w tamtym miejscu. Zastanawiałam się czasem, czy jej zaczepki i złośliwości były rzeczywiście aż tak dokuczliwe. Nadal wisiała na tablicy ogłoszeń kartka ze zdjęciem Judith i prośbą o jakikolwiek kontakt w razie, gdyby ktoś trafił na jej ślad.

Był koniec zajęć. Zeszliśmy do szatni. Czekałam, aż któraś z dziewczyn nie wytrzyma i podzieli się z resztą grupy swoim rozczarowaniem z powodu braku obecności nowego prowadzącego. Milczenie nie trwało długo.

- Szkoda, że nie było dzisiaj Michaela - zaczęła Meg. - Nie chodzi o to, że nie lubimy twojego ojca, Alice - dodała natychmiast - ale Michael mógłby się pojawiać, popatrzyłabym sobie na to piękne, męskie, muskularne ciało...

- Gdyby on słyszał nasze rozmowy... - powiedziała ze śmiechem Dorothy.

- Załamałby się - rzuciła Alice.

Wszystkie jednoznacznie zgadzały się z opinią Meg. Nawet ja, ale wolałam nie włączać się do zachwyków nad aparycją Michaela. Nie mogłam wygłaszać tak pochlebnych opinii na temat wyglądu innego faceta, gdy miałam chłopaka.

- A wyobrażacie sobie, gdyby on uczył nas partnerowania w tańcu... ? - rozmarzyła się jedna z dziewczyn.

- Byłoby cudownie, mógłby na mnie zademonstrować podnoszenia i obracać mną w powietrzu tyle czasu, ile by tylko zapragnął - odpowiedziała inna.

- Ile nagle chętnych do prezentacji by się znalazło! - zauważyła Dorothy i wszystkie zaczęłyśmy się śmiać.

Tymczasem weekend zbliżał się wielkimi krokami. W piątek, według planu, wyjeżdżaliśmy w góry, a dzisiaj była środa. Kiedy szliśmy przez campus Alice dopadły wątpliwości.

- A jak Oskar się rozmyśli?

- Nie rozmyśli się... - zapewniłam. - Przecież ustaliliśmy, że jedziemy. Okazałby się dupkiem, gdyby teraz nagle zrezygnował.

- A w ogóle, to zauważyłaś, że nie mam śladu po oparzeniach? Tak mi się ładnie wygoiły. Zobacz, nawet na policzku nic nie widać, a taką miałam ranę... - powiedziała nagle Alice i dotknęła swojej twarzy.

- No, rzeczywiście, nie ma śladu! - udałam zaskoczoną.

W nocy, kiedy Alice spała, wypróbowałam na niej swoje dziwne magiczne zdolności. Do tej pory nie mogłam uwierzyć, że coś takiego jest możliwe. Korciło mnie, żeby o wszystkim jej opowiedzieć, ale coś mnie powstrzymywało. Bałam się jej reakcji. A jak mnie wyśmieje? Nawet gdybym jej to udowodniła, to bałam się dalszych konsekwencji. Po prostu mogłoby to wywołać zbyt duże zamieszanie. Począwszy od lekarzy, skończywszy na teologach. Nie bez powodu trzyma się pewne rzeczy w tajemnicy. Zastanawiałam się czasem, dlaczego nie spotkałam jeszcze nikogo, kto miałby też takie niezwykle umiejętności jak ja, albo kogoś takiego jak Drake, Patrick i Thomas.

Nie wiedziałam, w jaki sposób Patrick dowiedział się kim jest. Skąd u niego pojawił się przymus robienia ludziom krzywdy, bo przecież go miał, zanim mnie poznał. Z rozmyślań wyrwała mnie Alice.

- Julie, a tak poważnie, to jaki zarezerwujemy pokój? Czterooosobowy?

- Szczerze mówiąc to nie wiem. Głupia sprawa. Nigdy w moim łóżku nie gościłam jeszcze chłopaka...

- Właśnie, ja też nie. A słyszałaś, co mówił Oskar w samochodzie? Nie mam zamiaru sprawdzać, czy rzeczywiście tylko żartował.

- Czyżbyś się przestraszyła? - powiedziałam ze śmiechem, bo to właśnie ona uwielbiała być odbierana jako ta odważna w sprawach damsko-męskich.

- Oj, nie śmiej się ze mnie. Wiesz, że to tylko takie gadanie, a nie na poważnie...

- Ty mały erotomanie gawędziarzu! Widzisz, lepiej przyznać się do tchórzostwa, niż później rozczarować napaleńca - mówiłam, przedrzeźniając Alice.

- Oskar nie jest napaleńcem!

- To znaczy, że się z nim jeszcze nie całowałaś? - zapytałam. - A na sylwestrze? Przecież poszliście na górę... ?

- O proszę. Julie okazała się wścibską babą... -stwierdziła Alice, nie chcąc początkowo wyjawić mi tajemnicy.

Gdyby całowała się z Oskarem, to na pewno bym już o tym wiedziała. Coś musiało nie pójść zgodnie z planem.

- Nie całowaliśmy się - ciągnęła. - Poszliśmy chyba na górę z takim zamiarem, ale rozmawialiśmy, nawet nie pamiętam o czym i zasnęliśmy.

- Ale numer! Kolejny powód, żeby nie pić na imprezach.

- Dokładnie, nigdy więcej alkoholu, bo później uciekają sprzed nosa takie okazje... - skwitowała i obie zaczęłyśmy się śmiać.

Rozdział trzynasty

Dziś był czwartek. Czułam się źle i to mnie martwiło. Dopadł mnie pulsujący ból głowy, który promieniował do prawego oka. Znowu czekało mnie faszzerowanie się tabletkami i krótka drzemka na wykładzie prowadzonym przez najstarszego człowieka na tej uczelni. Nie byłam w najlepszej kondycji, a przez to też w nienajlepszym nastroju. W przerwie między zajęciami zadzwoniła do mnie mama.

- Cześć, kochanie! - zaczęła jak zwykle.

- Cześć, mamó!

- Rozmawiałam z ojcem i doszliśmy do wniosku, że dobrze byłoby ten weekend spędzić w naszym domku w górach. To tak blisko Nowego Jorku, może dołączysz do nas? - zaproponowała, a mnie natychmiast zrobiło się smutno. Czy moje plany musiały się pokrywać z ich pomysłami? Tęskniłam za rodzicami, więc bardzo chętnie pojechałabym razem z nimi, ale nie tym razem.

- Niestety, mamó. Nie wiedziałam, że macie taki pomysł i umówiłam się w tym terminie na wyjazd, ale ze znajomymi...

- Nic się nie stało, córeczko. A z kim jedziesz? - dopytywała.
- Z dwoma kolegami i z Alice.
- Tylko we czwórkę? - pytała zdziwiona i tym razem wyczułam w jej głosie niepokój.
- Tak, czemu się dziwisz? - odpowiedziałam.
- Nic, nic. Uważaj tam tylko na siebie - zakończyła temat. Rozumiałyśmy się bez słów. Musiałam ją uspokoić...
- Mamo, nie martw się! To nic wielkiego. Nie zrobię żadnej głupoty. Ufasz mi, prawda?
- Ufam, ufam. Wiem, ale mówię tak na wszelki wypadek. A gdzie jedziecie?
- Godzinę drogi od was.
- O, to dobrze. W razie gdyby cokolwiek się działo, to koniecznie zadzwoń. Przyjedziemy wtedy po ciebie, dobrze?
- Dobrze, dobrze - odpowiedziałam. Chciałam już zakończyć rozmowę, bo głowa mi po prostu pękała. Nie miałam siły rozmawiać, ale też w żaden sposób nie chciałam się zdradzić, że nie czuję się zbyt dobrze.
Tego dnia miałam mieć jeszcze zajęcia z Michaeliem. Wiedziałam, że pan Clarke jest nieobecny, bo Alice wspominała, że ojciec wyjeżdża na jakieś pokazy. Gdy weszłam na salę i spojrzałam na Michaela, zorientowałam się, że patrzy na mnie dziwnie przerażonym wzrokiem. Szybko do mnie podszedł.

- Julie, chyba nie czujesz się dzisiaj dobrze, prawda? - zapytał bardzo zaniepokojony, niemal spanikowany. Przyglądał mi się bardzo uważnie.

- Prawda. Ale skąd to pytanie? Tak źle wyglądam?

- Tak jakby. Posiedź dzisiaj na ławce, a po zajęciach od razu idź do lekarza, dobrze?

- Raczej nie teraz - odpowiedziałam i nagle zamilkłam.

Bałam się, że zacznie drażnić temat i dopytywać się dlaczego. Nie miałam ochoty mówić mu o przygotowaniach do wyjazdu w góry i w związku z tym o braku czasu, bo zaraz zorientowałby się, że nie jadę na wycieczkę sama. A informowanie go o planach spędzenia wspólnego weekendu z Patrickiem, to nie byłoby dobry pomysł. Nie wiem sama, dlaczego przed Michaeliem robiłam z tej-prawy tajemnicę. Aż wstyd mi przed samą sobą, ale chyba po prostu w głębi duszy nie chciałam, żeby Michael przestał się mną interesować, a mogłoby tak się stać, gdyby dowiedział się, że nasz związek się rozwija. O dziwo, moja odpowiedź wywołała u niego inną reakcję.

- Julie, nie bagatelizuj sprawy! Idź jeszcze dziś do lekarza, dobrze?! Obiecuj mi to - powiedział z naciskiem.

- Okej, okej. Wzięłam leki, zaraz mi przejdzie - powiedziałam, ale do niego jakby moje słowa nie docierały. Pomyślałam, że mam do czynienia po prostu z nadopiekuńczym facetem. A swoją drogą, to czy rzeczywiście aż tak koszmarnie wyglądałam?

Całe zajęcia z tańca współczesnego przesiadywałam na ławce. Gdy przyglądałam się choreografii, to choć fatalnie się czułam, miałam ogromną ochotę dołączyć do grupy. Jednak gdy tylko zaczynałam wstawać z ławki, Michael od razu dawał mi znak wzrokiem, że mam się nie ruszać. Na koniec zajęć podszedł do mnie raz jeszcze...

- Pamiętaj, Julie, że obiecałaś nie zbagatelizować tej sprawy.

- Pamiętam, pamiętam i mam pytanie... - powiedziałam, jednocześnie łapiąc się za czoło.

- Tak...?

- Skąd wiedziałaś, że boli mnie głowa i skąd ta panika... ?

- Martwię się o ciebie i tyle - odpowiedział krótko i jakoś nadzwyczaj oschle. Zdziwiło mnie to bardzo. Pierwszy raz widziałam go w złym humorze.

Choć obiecałam Michaelowi wizytę u lekarza, to wiedziałam, że będę musiała przełożyć ją na następny tydzień. Miałam jedynie nadzieję, że to nic poważnego i weekend spędzę tak, jak zaplanowałam. Zresztą, kto martwiłby się bólem głowy?! Uznałam, że Michael jest przewrażliwiony i zbyt troskliwy.

Po powrocie do akademika zaczęłyśmy się z Alice przygotowywać do wyjazdu. Całe popołudnie spędziłyśmy w pralni, później w pokoju, pakując ubrania do toreb. Wycieczka miała trwać trzy dni, a my miałyśmy bagażu

na dwa tygodnie. Ból głowy minął, więc mogłam z powrotem cieszyć się wyjazdem. Następnego dnia zaraz po zajęciach mieliśmy wsiąść do samochodu i wyruszyć w góry. Byłam tak wszystkim zaabsorbowana, że całkowicie zapomniałam o Drake'u. Już dawno nie działo się nic niepokojącego. Bałam się tylko, że jest to tak zwana cisza przed burzą...

Wpiątek urwałyśmy się z Alice wcześniej z zajęć - to były nasze pierwsze w życiu wagary. Umówiłyśmy się z chłopakami na parkingu. Patrick miał podjechać po nas o dziesiątej.

- Julie, zmieści ci się do torby moja zielona bluza? -zapytała Alice.

- A po co ci kolejna bluza? - zapytałam.

- Bo nie potrafię się zdecydować, w której lepiej wyglądam. Poza tym może tamte zdążę pobrudzić..? - tłumaczyła, przybierając minę małego dziecka, które prosi mamę o kupno lalki.

- Na pewno ci się pobrudzą, wszystkie pięć na raz! -śmiałam się, ale oczywiście wcisnęłam bluzę Alice i obie męczyłyśmy się przez kolejne dziesięć minut z suwakami od naszych walizek. Wtedy przyszedł Patrick. Najwidoczniej wskazówki zegara minęły już godzinę dziesiątą.

- No, moje panie, gotowe do wyjazdu? - zaczął z entuzjazmem. - A no tak, te babskie bagaże! Pozwólcie, że ja to zrobię - zaproponował i w ciągu pięciu sekund wszyscy byliśmy gotowi do wyjścia. - Alice, nie zapomnij nart - powiedział przy samym wyjściu.

- **OMG**, zapomniałam! No to bym sobie pojeździła...
- Załatwilibyśmy ci sanki - zażartował Patrick.
- Bardzo śmieszne - rzuciła Alice i jak zwykle pokazała Patrickowi język. Ten udał, że zaraz jej go wyrwie i w dobrych nastrojach schodziliśmy z ciężkimi bagażami na dół.
- A w ogóle, to Oskar już czeka na parkingu?
- Ano czeka. Gdyby nie twoja obecność, Alice, to Oskar na pewno by z nami nie pojechał. Poza tym, wiesz... pamiętam twoją obietnicę o sprawdzaniu jego wiarygodności - naigrywał się Patrick, a Alice okładała go na żarty pięściami.

W końcu dotarliśmy zziajani na parking. Patrick otworzył bagażnik i wrzucaliśmy po kolei wszystkie walizki i narty. Śnieg cały czas padał, drogi były przez to dosyć niebezpieczne. Kierowcy maksymalnie zwalniali, więc się spodziewaliśmy, że dojedziemy do hotelu dopiero wieczorem.

- To jakz tymi pokojami? - zaczął bez ogródek Oskar.
- Jak to jak? Ty z Alice, a ja z Julie, bierzemy dwa dwuosobowe - powiedział Patrick.
- Tak tylko chciałem się upewnić - odpowiedział Oskar, a my z Alice popatrzyłyśmy na siebie przerażone. Za moment dostałam SMA-a od Alice, która siedziała na tylnym siedzeniu.

„Julie, oni chyba powariowali! Mam spać w jednym łóżku z Oskarem? Chyba potrzebuję porządnej ilości trunku... A ty się zgadzasz?”.

Za chwilę odpisałam:

„Nie przejmuj się tak, przecież nikt ci nie każe z nim cokolwiek robić! Ja z Patrickiem nie mam zamiaru... no co ty! J.”

„A jak Oskar zacznie, no wiesz... dobierać się do mnie?”.

„Nie myśl teraz o tym, zrobisz co będziesz chciała i jak będziesz czuła, okej?”.

- Dziewczyny, co tam tak piszecie? - zapytał nagle Patrick, który patrzył to na mnie, to w środkowe lustro na Alice.

- A nie interesuj się - odpowiedziałyśmy obie jednocześnie i w tym samym momencie dostałam kolejnego SMS-a. Byłam pewna, że to od Alice, ale na wyświetlaczu komórki pojawił się nieznany mi numer telefonu.

„Cześćrjulie. Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz? Nie było cię dzisiaj na zajęciach, więc zacząłem się martwić. Michael”.

Chyba moje zaskoczenie uwidoczniło się na mojej twarzy, bo Patrick spojrzał na mnie pytająco.

- Dawna znajoma odezwała się do mnie po wielu latach. Pyta, co u mnie i kiedy wracam do domu - skłamałam.

Patrick skinął głową i lekko się uśmiechnął. Nie wiem, czy mi uwierzył, ale nie drażył tematu, więc odetchnęłam z ulgą i spokojnie odpisałam Michaelowi.

„Cześć, Michael. Dzisiaj czuję się o wiele lepiej. Nie przyszłyśmy na zajęcia z Alice, bo na weekend

wyjeżdżamy w góry. Nie chciałyśmy jechać nocą, więc urwałyśmy się z twoich zajęć. Mam nadzieję, że nam wybaczysz. Przepraszamy i pozdrawiamy" - napisałam i wcisnęłam przycisk „wyślij”. Chciałam, żeby SMS brzmiał miło, ale bez przesady. Normalna, krótka, treściwa informacja.

Gdy dojechaliśmy na miejsce, okazało się, że w hotelu nie ma wolnych pokoi, ale kierownik poinformował nas, że jeden piętrowy domek stoi pusty. Nie zastanawialiśmy się pięciu minut. Wynajęliśmy drewnianą, uroczą chałupkę stojącą nieco w oddali od całego ośrodka. Dom otaczało parę hektarów zaśnieżonego, gęstego lasu. Była tam mała polanka, na której stała stara, zniszczona ławeczka. Dom miał werandę z drewnianymi krzesłami i stolikiem. W oddali rozpościerał się piękny krajobraz górski. Zza wysokich drzew było jedynie widać szczyty Appalachów. Cudownie. Wszyscy byliśmy pod ogromnym wrażeniem urody tego miejsca. Wdychałyśmy z Alice świeże, czyste powietrze. Pomyślałam, że mogłabym tutaj osiedlić się na starość.

W tym czasie chłopaki wyjmowali nasze bagaże. Nie mogliśmy się doczekać, aby obejrzeć wnętrze domku. Ściany i podłogi były pokryte drewnem. Na parterze mieściła się mała kuchnia, toaleta i duży pokój z dwoma łózkami. Stąd wchodziło się pięknymi schodami na górę. Na piętrze znajdowały się również dwa łóżka. Patrick po obejrzeniu wnętrza domku zdecydował,

że góra będzie do naszej dyspozycji. Alice i Oskar nie protestowali.

To był mój pierwszy wyjazd w gronie tylko znajomych. Nie można go było porównywać do rodzinnych wypadów.

Byłyśmy z Alice bardzo podekscytowane. Towarzyszyli nam chłopcy, w których byłyśmy ogromnie zakochane i wszystko mogło się wydarzyć! I nic nie mogło tego zakłócić! Nawet niebezpieczeństwo grożące mi ze strony Drake'a. Nawet diabelska natura Patricka, o której zresztą teraz prawie nie pamiętałam. Wydawało się mi, że mam nad wszystkim kontrolę...

- To co, dziewczyny, na narty już nie pojedziemy, bo nocą wyciągi w tej okolicy nie działają - powiedział Oskar.

- A na dworze jest strasznie zimno, więc proponowałabym nie wychylać nosa z za drzwi - dodała Alice.

- A ja bym poszedł do lasu i zorganizował dla nas pewną zabawę - zaczął Patrick.

Przeczuwałam, że zaraz padnie z jego ust dziwna propozycja.

- To znaczy jaką zabawę? - zapytała Alice.

- Taką... troje z nas ucieka i szuka kryjówki, a jedno z nas goni - zakończył Patrick.

Wszyscy spojrzeliśmy na niego niedowierzająco.

- Patrick, jest ciemno, zwariowałeś?! - zapytałam. Przez chwilę myślałam, że żartuje, ale jego wzrok i mina wskazywały na coś zupełnie innego.

- Nie żartuję, mogłoby być ciekawie - ciągnął. Patrzyliśmy na niego zdezorientowani.

- Dobra, tylko żartowałem, a was naprawdę strach obleciał. Co tam, Alice, boisz się ciemności? - zapytał, wlepiając w nią swoje czarne i nienaturalnie duże źrenice.

- Patrick, przestań! Co się z tobą dzieje?! - zawołałam, a on potrząsnął gwałtownie głową i zacisnął pięści, jakby się chciał przed czymś powstrzymać. Wtedy tego jeszcze nie rozumiałam. Chłopak się otrząsnął i przywołał na twarz łagodny uśmiech.

- Tylko żartowałem, naprawdę... - przekonywał. Poczulałam się nieswojo. Widziałam, że Alice i Oskar też dziwnie się przyglądają Patrickowi.

- To włączmy może jakiś film, co wy na to, dziewczyny? My z Oskarem czegoś poszukamy, a wy przygotujecie coś do jedzenia, okej? - rzucił Patrick obojętnym tonem.

- Okej, chodź, Alice! - Przywołałam ją do siebie wzrokiem.

- Ej, Patrick bywa przerażający, co? - zapytałam Alice, gdy robiłyśmy kanapki w kuchni.

- Bywa, bywa, ale przynajmniej przez to jest interesujący, nie sądzisz?

- Nie wiem, czy interesujący, ale mocno mnie wystraszył - skwitowałam i natychmiast zamilkłam, bo do kuchni wszedł Patrick. Pogłaskał mnie czule po głowie i pocałował. Nadal miałam lekko rozpalone policzki ze strachu.

- Księżniczki, pomóc wam w czymś? - zaproponował. -Julie, gorąco ci? - zapytał, przykładając dłoń do mojej twarzy.

Nie chciałam się przyznać, że mnie przestraszył. Nie chciałam, aby zaczął ze mnie drwić i nazwał mnie tchórzem.

- Nie, wszystko w porządku - skłamałam i odwzajemniłam pocałunek.

- Chodźcie - dodałam. - Jaki film wybraliście?

- Oskar wybrał chyba kolejną część *American Pie*.

- Aha - odpowiedziałam, chociaż nie oglądałam nawet pierwszej części.

Zsunęliśmy dwa łóżka, tak żeby wszyscy mogli wygodnie usiąść, przykryliśmy się kocami i zaczęliśmy oglądać film. To była całkiem zabawna komedia, ukoła moje nerwy, tym bardziej, że przez cały czas Patrick pieścił moje włosy, gdy leżałam, opierając głowę na jego kolanach. Czułam się fantastycznie. Alice z Oskarem siedzieli bardzo blisko siebie i co jakiś czas niby przypadkiem łapali się za ręce. Po obejrzeniu filmu stwierdziliśmy, że zagramy w kalambury. Chłopaki jednogłośnie wybrali kategorię: filmy i na nic zdały się moje protesty i prośby o zmianę na inną. Miałam problem z przedstawieniem najbardziej znanych tytułów, o odgadnięciu jakiegokolwiek nawet nie marzyłam. Zdecydowanie w tej zabawie brylował Patrick - nic dziwnego, znał wszystkie nowości, które właśnie weszły do kin i starsze, w których występował jako dziecko. Świetnie potrafił pokazywać

sceny. Ja, która stanowiłam drużynę z Alice nie miałam szans. Chłopaki byli górą i mieli ubaw jak dzieci.

- **Krzyki** - pytałyśmy.

- Nie.

- **Kevin sam w domu?**

- Dokładnie! Yeah! - krzyczał Patrick i przybijał „piątkę” z Oskarem.

- Pokazałeś akurat scenę, jak Kevin stoi przed lustrem, dlatego się pomyliłam. Uznałam, że to maska z **Krzyku** - powiedziała Alice.

- Dobra, dziewczyny! Już dziesiąta! Kończymy!

- Nareszcie! - krzyknęłyśmy jednocześnie z niewymowną ulgą.

Dochodziła godzina dwunasta. Zaplanowaliśmy wczesną pobudkę. Od rana mieliśmy jeździć na nartach. Wyciągi były czynne od godziny ósmej. Nie zamierzaliśmy tracić czasu. Zgodnie uznaliśmy, że im mniej ludzi na stoku, tym lepiej, dlatego chcieliśmy wyruszyć o siódmej trzydzieści.

Patrzyłyśmy na siebie z Alice porozumiewawczo. Miałam za moment pójść z Patrickiem na górę, a ona miała zostać na dole z Oskarem. Poczułam ukłucie z brzuchu, Alice najwyraźniej też się denerwowała. Obie zamknęłyśmy się w łazience.

Potrzebowałyśmy chwili na pogadanie. Mówiłyśmy szeptem i śmiałyśmy się z naszych lęków. Puściłyśmy wodę do wanny i usiadłyśmy, zanurzając jedynie nogi. Alice wyjęła kosmetyczkę i podała mi moją golarkę.

- Ej dziewczyny, co wy tam robicie?! - krzyknął Oskar.

- Zaraz wychodzimy, nie musicie wszystkiego wiedzieć - odpowiedziała Alice. Chłopaki już się nie odezwali, ale słyszałyśmy, że coś gadają.

- Julie, chyba nie zamierzasz położyć się obok Patricka w tej bawełnianej piżamce w tulipanki?

- To nie noc poślubna, tylko wypad w góry z przyjaciółmi, a ta piżamka jest przynajmniej ciepła - powiedziałam.

Tymczasem Alice wyjęła granatową, koronkową koszulę z jedwabiu, sięgającą do połowy uda i podała mi ją.

- Masz. Wiedziałam, że te sprawy muszę wziąć w swoje ręce.

- Dziękuję, jest prześliczna, ale naprawdę nie musiałaś... -

- Nic nie gadaj, tylko bierz i ma ci się podobać.

- Podoba! bardzo dziękuję - powiedziałam i uścisnęłam przyjaciółkę. Alice założyła podobną do mojej koszulę. Jej miała wstążeczkę pod biustem i łososiowy kolor. Zanim wyszliśmy z łazienki przejrzałyśmy się jeszcze w lustrze. Zastanawiałam się, czy nie wyglądam zbyt prowokująco, ale stwierdziłam, że raz się żyje. Chciałam się podobać Patrickowi. Obie rozpuściłyśmy włosy. Wyglądałyśmy bardzo ponętnie, dzięki tańcowi miałyśmy piękne sylwetki i zgrabne ciała. Gdy wyszliśmy z łazienki, pod drzwiami stał Patrick. Na nasz widok poruszył brwiami i zażartował:

- To może ja się pospieszę, żeby mi Julie nie zasnęła - i puścił do mnie oko.

- Bardzo śmieszne! - Odwróciłam się i weszłam na górę,

życząc Alice i Oskarowi dobrej nocy. Zauważyłam, że odkąd oglądaliśmy film, ich łóżka pozostały złączone.

Gdy Patrick wszedł na górę, stałam, gapiąc się w okno. Denerwowałam się, ale odczuwałam przyjemne podniecenie...

- Co tam, aniołku, dostrzegłaś? - usłyszałam głos za moimi plecami.

- Nic, zastanawiałam się, jakbym zareagowała, gdyby z lasu ktoś się teraz wyłonił - powiedziałam, naprędce wymyślając historyjkę iście z horrorów.

W rzeczywistości gapiłam się na ośnieżone drzewa i nie myślałam wcale o facecie, który nas śledzi, ale o Patricku stojącym tuż za moimi plecami. Co zrobi, jak będzie się zachowywał dzisiejszej nocy? Z dołu dochodziły szepty, co jakiś czas słyszałam stłumiony śmiech Alice.

- Zimno tu. To dobry pretekst, aby spać razem - zażartował Patrick.

Usłyszałam szuranie łóżka o podłogę. Patrick do-suwał jeden mebel do drugiego, po czym wskoczył pod kołdrę i skinieniem głowy zaprosił mnie do siebie. Nieśmiało odchyliłam kołdrę i się pod nią wsunęłam. Patrick przytulił mnie i zaczął pocierać moje ramiona, żeby pomóc mi pozbyć się gęsiej skórki. Drżałam, było mi zimno, ale bliskość jego ciała sprawiała, że szybko

zrobiło mi się gorąco. Nasze nogi się splotły. Po raz pierwszy byłam z facetem tak blisko. Czułam jego zapach, oddech i szampon, którym mył przed chwilą włosy.

- Nie bój się, Julie. Wystarczy mi, że jesteś tu obok -szepnął, najwidoczniej wyczuwając moje skrepowanie i mój strach.

Nie chciałam, żeby uznał mnie za nieczułą, dlatego idąc za impulsem, odwróciłam się do niego twarzą, zbliżyłam usta do jego ust i powiedziałam:

- Nie boję się, wcale się nie boję - zapewniłam.

Pocałował mnie w czoło i puścił do mnie oko. Domyślił się, że nie mówię prawdy. Zamknęłam powieki i próbowałam usnąć. To nie było łatwe. Wciąż analizowałam całą sytuację. Dopiero po godzinie, gdy usłyszałam jego równomierny oddech, wiedziałam, że Patrick śpi. Byłam tym faktem mocno rozczarowana. Owszem, bałam się, ale jednocześnie poczułam się zawiedziona. Zastanawiałam się nad tym, czy może nie spełniłam jego oczekiwań. Nie mogłam uwierzyć w to, że tak po prostu poddał się i nie próbował mnie tej nocy uwieść. Czasem zachowywał się tak dziwnie... jakby ze mną w coś pogrywał.

Rozdział czternasty

Nad ranem wyrwał mnie nagle ze snu dzwonek telefonu. To był ojciec.

- Córeczko! Nic ci nie jest?! - krzyczał mocno zaniepokojony.

- Tata? Coś się stało?!

- Chodzi o mamę! Przyszedł do nas jakiś mężczyzna i twierdzi, że cię zna! Kazał mi do ciebie zadzwonić, bo powiedział, że inaczej skrzywdzi mamę!

- Boże, to Drake! Tato, już jadę! Rób wszystko, co ci każe!

- Cześć, maleńka... - usłyszałam ohydny, zimny głos Drake'a.

- Mamusia czeka na ciebie... - ciągnął. - Radzę się pospieszyć, bo zdradzę rodzicom niejedną tajemnicę, począwszy od tożsamości twojego chloptasia. To jak, za godzinkę jesteś? Inaczej zostaniesz sierotą! - powiedział z naciskiem, a mnie łzy napłynęły do oczu.

- Proszę! Nie rób im krzywdy!

- Nie zamierzam, chyba że się nie pojawisz za godzinę!

- Już jadę! Proszę, nie krzywdź ich!

- Tik-tak, kochana, tik-tak...

Natychmiast, gdy tylko odłożyłam słuchawkę sięgnęłam po kluczyk od samochodu. Patrick już stał przy drzwiach gotowy do wyjścia. Nigdy nie widziałam, żeby prowadził samochód z taką prędkością. Nie obeszło się bez poślizgów. Kilkakrotnie nami zarzuciło. Bardzo się bałam, musiałam dotrzeć do domu na czas. W drodze po raz kolejny zadzwonił telefon. Trudno mi było go utrzymać w drżącej dłoni.

- Dobrze, że wzięłaś ze sobą tego zdrajcę! I chyba ci się nie roi w twojej główce, że zdołasz mnie utopić w oceanie?!

- Nie zamierzałam...

- Nie kłam, bo to nieładnie - po czym usłyszałam ciągły sygnał.

- Patrick, on czyta w moich myślach, nawet na odległość, w twoich też potrafi?

- Nie, aż tak się nie różnimy. Nie może czytać w moich myślach. Julie, nawet nie wiesz jak mi przykro... Nie chciałem czegoś takiego.

- Mogliśmy to przewidzieć. Wiadomo, że rodzice są dla mnie najważniejsi. Może nawet w myślach sama podsunęłam mu ten pomysł. Co my sobie wyobrażaliśmy? To koniec!

Domek rodziców został zbudowany na skraju urwiska. Wokół był tylko las i ocean. Pustka, nie byłoby mowy o wezwaniu pomocy. Nikt by tu tak szybko nie dojechał. Zresztą, kto dałby radę pokonać Drake'a? Przecież

nie policja! Uchyliłam delikatnie drzwi wejściowe. Nie było nic słychać. Bałam się wejść. Spodziewałam się najgorszego. Weszłam z Patrickiem do środka. Mała Issie beztrąsko bawiła się lalkami na podłodze. Na nasz widok uśmiechnęła się nieśmiało i podbiegła do mnie.

- Cześć, kochanie! Gdzie są rodzice? - zapytałam szeptem, chociaż wiedziałam, że Drake i tak mnie słyszy.

- Są z jakimś miłym panem. Patrz! Dał mi misia i powiedział, że będzie mi o nim przypominał - mówiła ucieszonym, piskliwym głosem, spoglądając z ciekawością na Patricka. Uśmiechnęłam się i pokiwałam głową. Poczułam ulgę. Przynajmniej Issie była cała i zdrowa. Nie mogłam uwierzyć, że ktoś może być aż tak przesiąknięty złem. Drake mnie naprawdę przerażał! Dygotałam ze strachu. Weszliśmy do salonu. Zobaczyłam płonące drewno w kominku.

„No tak, pomyślałam - ogień musi mu zawsze towarzyszyć... W głębi pokoju przywiązani do krzeseł, zakneblowani chusteczkami siedzieli rodzice.

- Cóż, Patricku! Zabawimy się teraz w ten niegdyś ulubiony przez ciebie sposób? Przepadasz przecież za takimi rozrywkami! Zobacz! Nie wygląda ci to znajomo?

- Zamknij się, Drake! Przestań! - krzyknął Patrick, który w tej chwili wydawał mi się zupełnie obcy. Nie tak wyobrażałam sobie pierwsze spotkanie rodziców z moim chłopakiem.

- Gdzie jest Julie? Znikła? To tak ze mną sobie pogrywa ...?!- powiedział gniewnie.

Stałam przerażona tuż obok Patricka. Znów byłam dla niego niewidzialna. Jakbym odruchowo siebie chroniła. Musiałam pomóc rodzicom! Byłam zdecydowana nawet zginąć z rąk Drake' a.

- Julie, hop, hop! Zaraz mamusi odetniemy paluszka. Albo nie! To byłoby zbyt banalne! Gdzie macie piłę? O! Dzięki, tatuśku. Okazuje się, że w szopie za domem.

Ojciec patrzył przerażony na Drake' a. Ten natomiast spojrział w okno i po chwili piła zmaterializowała się w jego rękach.

„O Boże!”, pomyślałam - po co mu ta piła!?

- A no, Julie, pozbawimy mamę nóżki! - oznajmił Drake.

Mama wpadła w panikę, ale nie była w stanie nic zrobić. Łzy spływały jej ciurkiem po policzkach. Poruszała całym krzesłem, próbując uwolnić się z więzów. Jej starania spełzły na niczym. Ojciec zamknął oczy. Nie mógł patrzeć na to, co zaraz miało się wydarzyć. Drake przyłożył piłę do uda matki.

- Przestań, Drake! Nie rób tego! Zostaw moją mamę! Ona nic ci nie zrobiła. Błagam! - wrzeszczałam i z rozpaczyny padłam przed nim na kolana, chociaż tego nie mógł widzieć. Nie wiedziałam, co robić! Byłam tylko aniołem, który potrafił leczyć rany, ale nie mógł uchronić od bólu. Nie wiedziałam, dlaczego Drake chce mnie zabić.

Czemu zależało mu na śmierci kogoś tak słabego jak ja? Przecież w żaden sposób mu nie zagrażałam.

Rodzice rozglądali się zdezorientowani. Nie widzieli mnie ani nie słyszeli. Niczego nie rozumieli. Pomyślałam, że jedyne, co mogę zrobić, to po prostu siłą woli się ukazać, poddać się Drakeowi i w ten sposób ocalić rodziców. Patrick stał tuż obok, ale w żaden sposób nie reagował. Nie wiem w jaki sposób to zrobiłam, ale nagle stałam się widzialna. Drake wlepił we mnie spojrzenie dzikiego zwierza, gotowego do ataku. Było ono tak intensywne i paraliżujące, że natychmiast osunęłam się na podłogę. Poczułam ucisk w piersiach, jakby ktoś zgniatał mi serce. Usłyszałam jeszcze piski i szamotanie się mamy, później odgłos tłukącego się szkła, i krzyki. Słyszałam głosy dwóch mężczyzn, głosy bardzo dobrze mi znane. To był Patrick i Drake, ale później dołączył do nich ktoś jeszcze....

To był Thomas? I wtedy straciłam przytomność.

Rozdział piętnasty

Julie leżała nieprzytomna na podłodze. Rodzice dziewczyny patrzyli na córkę z przerażeniem. Nie wiedzieli kim byli ci mężczyźni i dlaczego skrzywdzili ich dziecko. Wciąż nie rozumieli, że ich los jest w rękach tych obcych ludzi. Nie byli w stanie o niczym myśleć. Pragnęli jedynie uwolnić się z więzów, aby sprawdzić, czy ich córka jeszcze oddycha.

Zakneblowane usta nie pozwalały im nic powiedzieć, ich krzyk był bezgłośny! Nikt nie zwracał na nich uwagi.

Obok Julie leżał Thomas, który próbował coś powiedzieć, ale z jego ust wydobyło się tylko ze świstem powietrze. Padł ofiarą podstępного planu Drake'a, który przewidział, że Thomas podejmie próbę ratowania Julie. Że zasłoni ją własnym ciałem przed jego morderczym wzrokiem.

Kilka lat wcześniej Thomas stracił w podobnych okolicznościach miłość swojego życia. Zakochał się w Kate, pod wpływem której zaczął się zmieniać, zapominając powoli, kim jest. Kate nie była aniołem, tylko zwykłą dziewczyną. Ale przeznaczeniem demonów nie była miłość i dobro. To Drake ustalał reguły i nie mógł

pozwolić, aby Thomas się zmienił. Zabił więc Kate, tak samo jak teraz chciał zabić Julie. A teraz zemścił się na Thomasie i zabił go, gdy ten osłonił dziewczynę. Thomas oddał swoje życie, aby Patrick nie stracił Julie.

Patrick stał z boku i wszystkiemu się przyglądał z zagadkowym uśmiechem...

Pozostali dwaj mężczyźni prowadzili niezrozumiałą dla rodziców Julie rozmowę. Jeden z nich, wyższy, z ohydnie poparzoną twarzą, wydawał się triumfować. Twarz dodatkowo szpecił krzywy uśmiech. Śmiał się z tego drugiego, młodszego.

- Dwóch bezmyślnych braciszków dało się złapać na najprostszą przynętę! Wystarczy pokazać wam dziewczynę z ładną buzią i już zachowujecie się jak głupcy. Thomas nie zdołał uratować swojej ukochanej, to przynajmniej za twoją oddał życie! Głupiec! Naiwniak! Nie wiedział, że go zgniotę jak robaka?! Naprawdę uwierzył, że ma ze mną szanse?! - szydził Drake.

- Ty też jesteś żaloszny, Drake! - powiedział spokojnie Patrick. Nagle się wyprostował, wydawało się, jakby nagle urósł. Chłopak nie okazywał strachu, chociaż stał przed najpotworniejszym i najbardziej bezwzględny z wszystkich demonem. Drake przymrużył lekko oczy. Wydawało się, że postawa Patricka zbiła go z tropu, a nawet lekko zaniepokoiła. Mierzyli się przez chwilę w milczeniu wzrokiem. Nagle Drake z wściekłością na twarzy rzucił się z impetem na Patricka. Ten

zachwiał się na nogach. Drake był bardziej masywny i dysponował większą mocą. Rozległ się huk i brzęk tłuczonego szkła.

W salonie zostali tylko przywiązani do krzeseł rodzice oraz leżący na podłodze Thomas i nieprzytomna Julie. Przez wytłuczone okno wlatywało lodowate powietrze. Zaległa cisza. Drake się nie pojawił.

Rozdział szesnasty

- To my kochanie, obudź się proszę!

- Czy tak już będzie zawsze?! Mamy o nią wiecznie drzeć?

Ostatnio wypadki zdają się nie mieć końca.

To były głosy rodziców. A więc żyłam i rodzicom też nic się nie stało.

- Patrick! Patrick! Proszę, nie! - zaczęłam krzyczeć i płakać. - Co z nim się stało?! Mamo! - To były pierwsze słowa, jakie wydusiłam z siebie po odzyskaniu przytomności.

Usiadłam na łóżku. Miałam mokrą od łez twarz. Czułam panikę. Byłam przerażona. Chciałam natychmiast się dowiedzieć, co stało się z Patrickiem. Pragnęłam, aby żył. Musiał żyć!

- Mamo, czemu nic nie mówisz?! Tato?! Gdzie jest Patrick?! - krzyczałam spanikowana.

- Patricka nie ma. Nikt go nie widział od trzech dni. Przypuszczamy, że....

- To nieprawda! To niemożliwe! On na pewno żyje!

- Córeczko, ubierz się ciepło. Coś ci z ojcem chcemy pokazać...

Rodzice pomogli mi się ubrać. Ojciec zniósł mnie na rękach na dół. Salon wyglądał jak dawniej, jakby nic się tu nie wydarzyło. Wyszliśmy na zewnątrz. Nadal było poniżej zera. Ojciec postawił mnie na ziemi. Podtrzymywali mnie z obu stron i zaczęli opowiadać...

- Tędy, kochanie, wypadli, obydwoje - mówiła matka, wskazując okno salonu. - Ten wielki...

- Drake - podpowiedziałam.

- Tak, ten Drake... był bardzo silny i ciężki i gdy rzucił się z impetem na Patricka, to futryna nie wytrzymała i... Usłyszeliśmy tylko wrzask i plusk wody - ciągnęła mama.

Słyszając to spociałam się ze strachu. Woda to naturalny wróg Patricka i jemu podobnych. Jeżeli wpadł do wody to nie było dla niego ratunku. W wodzie byli słabi, tracili w niej siły. Jeżeli tam wpadł... to na pewno zginął... Podeszliśmy na skraj skarpy. Patrzyłam na ocean. Fale rozbijały się o skały z dużą siłą. Wolałam nie wyobrażać, co mogłoby się stać z ciałem Patricka.

- Widzisz tam? Czerwoną plamę na tym głazie?

- Mamo, chyba nie chcesz mi powiedzieć, że to...

- Nie, to nie jest krew Patricka... to krew tego drugiego...

- Drake a? On nie wleciał do wody, ale nie żyje?! -Nie mogłam w to uwierzyć. Zabicie Drake'a nie mogło być aż tak proste! Gdyby wpadł do wody, to co innego, ale nie wpadł! I mimo to nie żył?! Wydawało mi się to mało prawdopodobne! Był zbyt potężny, aby tak po

prostu zginąć, spadając z kilku metrów. Zabiła go wysokość?! Czy to możliwe? Czy mogła być tego dowodem ta plama krwi? Gdzie był Patrick w takim razie?! Musiałam się tego dowiedzieć.

- Mamo, a Patrick?

- Patricka policja nie odnalazła. Kochanie... - mówiła mama coraz ciszej - wiesz, oni wypadli razem przez to okno. Myślimy z ojcem, ale to tylko przypuszczenia, że Patrick wpadł do oceanu...

Miałam ochotę krzyczeć i płakać. Pragnęłam zostać sama. Nie mogłam w to wszystko uwierzyć.

Przez trzy kolejne dni odzyskiwałam siły. Codziennie wychodziłam i stawałam nad przepaścią. Modliłam się, aby Patrick jakimś cudem wyłonił się z wody. Ale wszystko wyglądało jak dawniej. Cisza zakłócana jedynie odgłosami natury. Czułam się źle, byłam coraz słabsza. Nie miałam na nic ochoty. Płakałam z byle powodu i męczyły mnie silne bóle głowy. Marzyłam o powrocie do akademika i do codziennych zajęć. Może dzięki nim zapominałabym o tym, co się tu, w górach, wydarzyło.

Często pisał do mnie Michael, przez te ostatnie trzy dni właściwie codziennie. Pytał jak się czuję i czy na pewno wszystko u mnie w porządku. Mówiąc szczerze, jego SMS-y mnie denerwowały. Nie chciałam jego troski i zainteresowania. Pragnęłam powrotu Patricka, tylko na tym mi zależało! Fakt, że już nigdy go miałam nie zobaczyć, po prostu mnie przerażał, paraliżował, odbierał jakiegokolwiek chęci do życia.

Rozmawiałam też z Alice. Nie musiałam jej niczego opowiadać, bo jak się okazało, razem z Oskarem przyjechali za nami do domku moich rodziców. Domyślili się, że musiało się stać coś złego. To oni pomogli rodzicom wyswobodzić się z więzów. Nawet nie przyszło mi do głowy, aby zapytać rodziców, jakim cudem zdołali się uwolnić.

Zacząłam powoli odzyskiwać siły. Coraz śmielej i coraz częściej wspominałam ten straszny dzień. Analizowałam każdą sekundę. Próbowałam przypomnieć moment, kiedy po raz ostatni widziałam Patricka. Zawsze w takich chwilach ogarniało mnie dziwne uczucie lęku, jakiś nakaz, aby przestać o tym myśleć. Męczyło mnie jakieś przeczucie...

Zbliżał się wieczór. Siedziałam z książką w ręce na łóżku i bezmyślnie przekładałam kolejne strony. Nie potrafiłam skupić się na treści. Byłam niespokojna. Zerkałam co chwila na telefon komórkowy. Albo siedziałam nieruchomo z zamkniętymi oczami, albo patrzyłam na ścianę, i tak w kółko. Dopiero widok ohydneho pająka pełzającego po szafce obok mojego łóżka zbudził mnie z tego stanu. Natychmiast sięgnęłam po kaptur, aby go utłuc.

I wtedy nagle poczułam, że nie jestem w pokoju sama. Serce zabiło mi mocniej. Bałam się powrotu Drake'a. Obawiałam się z powrotem usiąść na łóżku. Nagle usłyszałam czyjeś kroki. Stałam cała zesztywniała

ze strachu. Przez chwilę straciłam oddech, zamarłam. I oto przede mną stał uśmiechnięty... Patrick!

- Patrick?! Co ty tu robisz?! - zapytałam zdumiona, ale z wielką ulgą.

- Przyszedłem się upewnić, że mojemu aniołkowi nic się nie stało - powiedział spokojnie.

- Patrick, ty żyjesz?! - spytałam, nie wierząc, że to on. Jakim cudem się tu znalazł, jak wszedł... ? Przez zamknięte drzwi? Przez zamknięte okno?!

- Co z Drake'em? Nie mogę uwierzyć, że jesteś tu cały i zdrowy! - wykrzyknęłam i rzuciłam mu się w ramiona.

- Siadaj, opowiem ci wszystko od początku - powiedział i usiadł obok mnie.

Wyglądał na całego i zdrowego. Oczy mu błyszczały spod ciemnych, długich rzęs. Nie mogłam się na niego napatrzeć.

- Gdy zobaczyłem w salonie twoich związanych rodziców i stojącego nad nimi Drake'a, wiedziałem, że skończy się to tragicznie. Nic nie mogłem zrobić. Sam jeden nie byłem w stanie go pokonać. Dopiero przybycie Thomasa dało mi odrobinę nadziei. Szkoda, że się ujawniłaś. Reakcja Drake'a była natychmiastowa. Od razu ciebie zaatakował. Myślałem, że Thomas pomoże mi pokonać Drake'a, ale mój brat wybrał inaczej. Zasłonił najpierw ciebie, zamiast rzucić się na wroga. Może zabrzmiało to dziwnie, ale postąpił bezmyślnie. Powinien najpierw pomóc mi pokonać Drake'a. Wtedy byłabyś bezpieczna. A tak skazał się na śmierć, a mnie zostawił

z Drake'em samego. Normalnie nie miałbym szans. Myślałem, że już wszystko stracone. Thomas umarł szybko. Drake nie czekał ani chwili. Chciał zabić i mnie, potem zabiłby ciebie. Ale impet, z jakim mnie zaatakował, wyrzucił nas za okno. Prosto w głąbie oceanu. Rezultat mógł być tylko jeden. Oboje powinniśmy zginąć. W końcu to była woda... Widziałem, jak Drake idzie na dno, widziałem to, Julie! I dopiero po chwili się zorientowałem, że ja nadal żyję. Nie topiłem się... Pamiętasz, jak rozmawialiśmy kiedyś, że nie wiem jeszcze, jaką posiadam umiejętność?

- Tak, pamiętam - odpowiedziałam, słuchając w napięciu jego relacji.

- Otóż spadłem do wody, podobnie jak Drake, siła uderzenia była niewiarygodna. Wpadliśmy bardzo głęboko. Brakowało mi powietrza w płucach. Wiedziałem, że jak spróbuję wziąć oddech, to nałykam się wody, a wtedy byłoby już po mnie. Ale tak się nie stało, Julie... Okazało się, że mogłem oddychać pod wodą. Julie, zamieniłem się w rekina! Mogę przybierać postać czegokolwiek zapragnę, mogę być nawet wirusem. Tym pajakiem byłem ja! A ty chciałaś go zabić! Prawie ci się to udało! - krzyknął i zaczął się śmiać. - Zdążyłem już opłynąć cały ocean. Zajęło mi to trzy dni...
- dodał.

Wtedy coś mnie tknęło. Trzy dni pływał sobie po oceanie, nie wiedząc czy przeżyłam? Cieszył się swoją nową umiejętnością tak bardzo, że nie przyszło mu do głowy zainteresować się mną, moim zdrowiem?

A teraz zakradł się od postacią pająka do mojego pokoju ... Poza tym w wodzie tacy jak on tracą swoje zdolności, a nie je odkrywają. Skoro Drake się utopił, to skąd krew na skale?! Chyba miałam przerażoną minę. Przypomniałam sobie chwilę, kiedy zanim straciłam przytomność, zobaczyłam Patricka... To był moment, kiedy Thomas zasłonił mnie przed śmiertelnym wzrokiem Drake'a... Patrick wtedy się tak dziwnie uśmiechnął, jakby się cieszył. Mógł być kimkolwiek zechce? Nawet wirusem? Musiałam się upewnić, musiałam rozwiać swoje wątpliwości...

- Patrick, mam jeszcze ostatnie pytanie...

- A mianowicie... ? - zapytał.

- Czy miałeś jakiś związek ze śmiercią Martina? - spytałam z niepokojem.

- A znasz takie przysłowie: Trzymaj się blisko przyjaciół, wrogów jeszcze bliżej?

- To znaczy, że Martin był twoim wrogiem?

- Nie, głuptasku, ty nim jesteś - odpowiedział i spojrzał na mnie pełnym nienawiści wzrokiem.

Zaczęło mi pulsować w głowie... Zdawałam sobie sprawę, że to nie Drake był najgorszym z najgorszych, ale Patrick. I to Patrick był winny nie tylko śmierci Martina, ale również śmierci Judith. Myślałam, że za chwilę oszaleję. Nie mogłam uwierzyć, że dałam się tak zmanipulować, że nie zaufałam swojej intuicji. Przecież podświadomość podpowiadała mi, że mam do czynienia z jakimś graczem, a ja ją zlekceważyłam!

W tym natłoku przerażających informacji, zapomniałam, że wciąż naprzeciwko mnie stoi wpatrzony we mnie Patrick. Pod wpływem jego wzroku nogi zaczęły się pode mną uginać, a oczy zaszyły mgłą. Ale stało się coś jeszcze... miałam wrażenie, że nie jestem tu całkiem sama, że obok mnie stoi... Michael.

KONIEC